

**ISAKIEWICZ**



Elżbieta Isakiewicz

# PIEKŁO OCALONYCH



Książka ta przypomina historie Żydów,  
którzy przeżyli w Polsce Holocaust,  
zebrane i uzupełnione w latach 2000–2018





Dofinansowano ze środków  
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**

Mai i Mateuszowi, moim dzieciom

אם  
אם







sklepie galanteryjno-bławatnym mojej matki bele tkanin piętrzyły się pod sufit, wydzielając jedwabistą woń cichej, dumnej powagi. Podświetlane słonecznymi pasmami południa przedzierającego się do mrocznego wnętrza przez wystawową szybę, nasączały się tłustymi barwami, które miało się ochotę zlizywać jak lody. W rogu, najbliżej wejścia, stały manekiny ze zwyczajnymi, prostymi sukniami. Byłem pewny, że nocami te bezgłowe lalki chichoczą i tańczą. Suknie szyła dla sklepu Salomea Kowalczykowa, właścicielka niedalekiej, małej pracowni krawieckiej, Polka. Jej mąż, Stanisław, miał posadę na poczcie. Każdy z ich pięciu synów grał na innym instrumencie. Nasze rodziny często u siebie bywały, a orkiestra Kowalczyków wygrywała po posiłku biesiadne melodie. Lubiłem zwłaszcza smętną, rzęsiłą przemowę skrzypiec.

Sklep wraz z mieszkaniem, w którym się urodziłem, mieściły się przy ulicy Mogilskiej, w polskiej dzielnicy,

lecz matka nadawała naszemu życiu ton francuski. Wszystko przez Besançon, dokąd na skutek skinienia losu trafiła z krakowskich peryferii. Jej ojciec bowiem – a nasz dziadek, przez ten sam los obdarowany czterema córkami – w 1916, po nieoczekiwanej śmierci babki, która zachorowała na tyfus, został sam. Gdy skończyła się pierwsza wojna światowa, odwiedził go mieszkający we Francji brat zmarłej. – Żeby ci ulżyć – zaproponował – wezmę ze sobą jedną z twoich córek do Besançon.

Wybór padł na Gustę, moją matkę. Przez trzy lata pobytu w odległym kraju nauczyła się języka i tamtejszych manier, które musieliśmy później przyswajać przy nieustającym wtórze westchnień: – Och, Besançon... – jakby utkwiło tam coś cennego, co zwykle zostaje, gdzie nas nie ma, a co omaszcza gorzko-słodką tkankę tęsknoty.

Ojciec mój, Leopold Allerhand, przyjmował tę matczyną słabość ze spokojem, w czym być może pomagało mu jego własne niespełnienie – urwany wątek pewnej historii. Studiował medycynę, gdy zaczęła się pierwsza wojna i został zmobilizowany, ale zaraz dostał się do rosyjskiej niewoli w miejscowości Gródek Jagielloński koło Lwowa, skąd wywieźli go na Sybir, gdzie doczekał końca wojny. Po powrocie do Krakowa wznowił studia, lecz wybuchła wojna polsko-bolszewicka i zaciągnął się do wojska jako ochotnik.

(Rodzina Allerhandów, przypominał, żyje w tym kraju od czterech wieków, nie godzi się zostawić ojczyzny w potrzebie). – Ech, uciekła mi medycyna, uciekła – kiwał głową nad stołem z wielkim porcelanowym żyrandolem, z którego spływało żółte, syte światło. Zapisał się na kursy ekonomiczne, by zostać statecznym urzędnikiem. Potem stracił posadę i zaczął pracować z matką. Niebawem przeprowadziliśmy się na Topolową, róg Rakowickiej, gdzie rodzice objęli większy sklep po zmarłym dziadku. Tutaj też stały manekiny ubrane w suknie. Nieraz przymierzała je Maria Kwiatkowa, sąsiadka z Topolowej. Słyszałem te szybkie, szmerzące kobiece rozmowy towarzyszące transakcjom kupna i sprzedaży, pełne zadowolenia i ekscytacji. Kwiatkowie, Polacy, odwiedzali nas, a my ich – nawet w Boże Narodzenie. Ich córka Irena była o rok młodsza ode mnie, a Rysiek, syn, o jakieś pięć lat. Moje siostry bliźniaczki bawiły się z nimi w chowanego, mój ojciec i Franciszek Kwiatek, maszynista kolejowy, rozprawiali o polityce. Zazdrościłem Kwiatkowi panowania nad majestatycznym, potężnym cielskiem lokomotywy.



Pierwszego lub drugiego września 1939 ojciec pożegnał się z nami. Pojechał do swojej jednostki, do Przemysła, bo ogłoszono mobilizację. Wkrótce dostał się do niemieckiej niewoli w Tarnowie. Reszta rodziny została na Rakowickiej.

Niemcy natychmiast wprowadzili antyżydowskie restrykcje: obowiązek noszenia opasek z gwiazdą Dawida od dwunastego roku życia i odśnieżania ulic – także dla kupców, lekarzy, adwokatów – nakazano czyszczenie trotuarów szczoteczką do zębów. Pracujących poganiano i bito. Żydowskie dzieci usunięto ze szkół.

Później zarządzono inwentaryzację sklepów. Matka uczyniła to przy pomocy zaprzyjaźnionych, mieszkających w naszej kamienicy Polek. Żeby cokolwiek uratować, owijała mnie i siostry sklepowymi materiałami, zakładała na nie płaszczy i tak otuleni szliśmy do Kwiatków – wiele razy w tę i z powrotem. Potem Niemcy zabrali wszystko do dwóch ogromnych wozów drabiniastych. W dziennym świetle tkaniny pobłyskiwały jak zmarszczenia na powierzchni wody. Zrzucone bezładnie nagie manekiny, choć bez głów, wyglądały, jakby jechały na ścięciu. – Zobacz, gdzie oni to wiozą – szepnęła do mnie matka. Śledziłem więc ostatnią drogę naszego sklepu. Wyładowano go na Floriańskiej, w wielkiej hurtowni, która przed wojną należała do Żydówki Szrajberowej, nazywanej Szrajberką.

Na utrzymanie i wysyłanie ojcu paczek matka przeznacziała pieniądze z pokątnego handlu ocalonymi tekstyliami i trochę nabiałem. Pewnego dnia dostaliśmy wiadomość, że wraz z setkami innych jeńców będą wieźć ojca przez Kraków do Niemiec i matka zabrała nas, troje dzieci, na dworzec. Uścisnęliśmy się

w gwarze i harmidrze, pośród sapania i gwizdów parowozów, elektryzujących komend megafonów. – Opiekuj się kobietami – nakazał ojciec, a potem powieźli go do Arnswalde, następnie do oflagu II C w Woldenbergu, gdzie więziono dziesięć tysięcy polskich oficerów, w tym Tadeusza Kudlińskiego, dziennikarza, i Mariana Brandysa, pisarza.

Wojna mojego ojca miała do końca potoczyć się w niewoli, w uwięzionym cieniu naszych losów, w udręce niepewności.



A tu zaczęto rozpowiadać, że powstaną getta i zostaniemy wysiedleni. To nieprawdopodobne, komentowało się, w Krakowie mieszkało przecież siedemdziesiąt tysięcy Żydów, ponad jedna czwarta ludności. Pobożni Żydzi, w chałatach, z pejsami i brodami zasiedlali dzielnicę Kazimierz – sądziliśmy, że to tam Niemcy utworzą getto, tymczasem kazali Polakom opróżnić siedemnaście ulic po drugiej stronie Wisły, w dzielnicy Podgórze, i to do niej przesiedlili Żydów. Zrobiło się bardzo ciasno: piętnaście tysięcy ludzi na obszarze, który mieścił przedtem trzy tysiące. Niemcy pozostawili więc wybór: albo przenieść się do getta, albo opuścić miasto. – Będziemy na wolności, póki się da – orzekła matka. I powędrowaliśmy na peryferie, do Czyżyn. Wynajęliśmy ciupeńkie mieszkanie w pobliżu wielkiego młyna Wasserbergerów,

zarekwirowanego przez Niemców, który mełł wodę upartym, stękliwym dźwiękiem. Trzeba było z czegoś żyć, więc szmuglowaliśmy z matką mąkę do Krakowa, niosąc worki na plecach. Jednak wkrótce Niemcy przyłączyli Czyżyny do miasta i podążyliśmy dziesięć kilometrów dalej, do wsi Mogiła.

Powiadano, że kto pracuje, ten przeżyje. Miałem trzynaście i pół roku. Moi rówieśnicy zatrudnili się u chłopca, na roli, pod zarządem bauera niemieckiego, ja poszedłem do cięższej roboty. Matka uważała, że jeśli będę pracował dla wojska, Niemcy wezmą to pod uwagę, dlatego co rano jeździłem na lotnisko w Rakowicach i wracałem do domu ze specjalną przepustką, ale później robotników skoszarowano. W ten sposób znalazłem się w obozie pracy.



W czerwcu i październiku 1942 w getcie miały miejsce wysiedlenia – za każdym razem wyprowadzono kilka tysięcy ludzi – chodziły słuchy, że wywieziono ich do Bełżca, na zagazowanie. Moja matka, niepodobna do Żydówki, jak cała nasza rodzina, podeszła z Polakami pod bramę getta. Wróciła na wieś roztrzęsiona, ze strasznymi wieściami: zabrano też brata ojca, tak chorowitego, że jako jedyny nie mógł pójść do wojska, również jego żonę i synka – wszyscy zginęli. Nie powiedzieliśmy o tym babci, chcieliśmy, jak długo to możliwe, przechować ją w minionym świecie.



Przebywamy w Mogile już rok, kiedy zarządzają przeniesienie Żydów z okolic Krakowa do Wieliczki. Docieramy tam furmanką wynajętą od miejscowego chłopca, ponurego, brodatego, który pogania konia w ściętym, lodowatym milczeniu. W Wieliczce są już tysiące, w jednym pokoju po trzy, cztery rodziny, powietrze drży od przepowiedni: wkrótce będą wysiedlać do Bełżca. – Panie Reiner – zwraca się matka do dyrektora szpitala żydowskiego, kolegi ojca ze studiów medycznych – niech pan przyjmie naszą babcię. – Bo starców podobno ze szpitali nie wygarniali, bali się tam wchodzić ze strachu przed chorobami. Reiner się godzi.

Wieliczka jest już obstawiona jednostkami SS, lecz niektóre firmy zbrojeniowe i te z lotniska wysyłają samochody, żeby zabrać swoich robotników – gdy firmy nie działają z powodu braku siły roboczej, zarządzających nimi Niemców kieruje się na front. Ludzie o tym wiedzą, więc otaczają auta, pertraktują ze Szwabami: „zabierzcie nas z rodzinami do Krakowa”. Jedni wysupłują zaszyte w kieszeniach złote monety, inni srebrne łyżeczki, jakieś futrzane kołnierzyki, moja matka obrączkę. Udało się, jedziemy do getta.

Nazajutrz w Wieliczce zacznie się akcja, esesmani wkroczą do szpitala i zastrzelą wszystkich leżących. Tak zginie nasza babcia. Może przysnęła, może we

śnie strofowała synów za to, że nie umyli rąk przed wieczerzą, a zaprzęsły świat zasnuwał się mglistym wieczornym bielmem.



W październiku 1942 nie było wątpliwości, że znów szykują wysiedlenie. Matka wywiozła bliźniaczki do Mogiły. Obiecała znajomym Polakom (znali nasze pochodzenie), że za dwa, trzy dni je odbierze. Planowała przedostać się ze mną przez druty getta, zabrać dziewczynki i ukryć się w lesie, w partyzantce, gdziekolwiek. Ale kiedy próbowaliśmy przecisnąć się wąską leją pod siatką kolczastą, nagle pojawili się rozstawieni co parę metrów esesmani – musieliśmy zrezygnować.

Akcja rusza następnej nocy. Żydowscy i polscy policjanci otrzymują rozkaz doprowadzić na plac Zgody sześć tysięcy Żydów, ale łapani uciekają i chowają się. Wtedy do akcji przystępują Niemcy – wyciągając osiem tysięcy. O piątej rano wał w nasze drzwi. W drodze na plac, na Targowej, matka okazuje oficerowi SS pismo przysłane przez ojca z niewoli, informujące, że w Polsce i całej Europie obowiązuje konwencja genewska z początku wieku, zgodnie z którą rodziny oficerów wziętych do niewoli w warunkach wojennych podlegają ochronie. Niemiec drze ten papier na strzępy, kijem bambusowym uderza matkę po głowie i daje znak żołnierzowi, żeby prowadził nas dalej.



Wtem megafony wykrzykują, że ci, co pracują w fabrykach zbrojeniowych, między innymi na lotnisku, mają natychmiast zgłosić się do punktu zbornego na ulicę Węgierską. Ale ja nie chcę się już rozdzielać z matką, mam przecież opiekować się kobietami i tam, na placu Zgody, jestem z mamą jedno, jak w łonie, jak u źródła. Zmierzamy więc, wspierając się, słaniając (nie spaliśmy dwie noce) na ten plac, którego nazwa obejmuje nas szyderczym, dławiącym uściskiem, skąd parnym, zastygłym popołudniem prowadzą nas w szeregach na stację Kraków Płaszów, a tam, bijąc i popychając, ładują wszystkich do brudnych, zaśmieconych wagonów towarowych bez ławek, później ryglują drzwi. Ale ludzie nie mieszczą się w wagonach, dlatego Niemcy znów rozsuwają drzwi i smagają nas pejczami, żebyśmy się ścisnęli – i do każdego wagonu doładowują jeszcze po dwadzieścia osób. Trwa to kilka godzin, rozwleczonej, cuchnącej potem i wysączającej się z ran krwią. Wreszcie pociąg rusza, jedzie powoli, zatrzymuje się to tu, to tam. Na nieodległej stacji polscy robotnicy pracują na torach kolejowych, ludzie w wagonach krzyczą do nich przez małe prostokątne okienka: – Wody, wody, wody! – Trochę brudnej wody! – wołają po żydowsku dzieci i Polacy napełniają wiadra, targają je do wagonów – tym razem Niemcy na to pozwalają – a kto ma garnuszek czy butelkę, podaje przez okienko. Potem, na trasie, zaczyna rodzic

kobieta, słychać jęki i płacz (ciekawe, czy narodziny w piekle dają fory we wstępie do nieba), a pod wieczór, gdzieś w Puszczy Niepołomickiej, dwóch chłopców, trochę ode mnie starszych, otwiera okienko (szczęściem niezadrutowane) i wysmykuje się przez nie, najpierw jeden, później drugi. Ktoś w wagonie mówi, że to bracia Leserkiewicz, a ja, nie wiedząc czemu, zapamiętuję to nazwisko, jakbym chwycił talizman. – Skacz – nakazuje wtedy matka. – Nie wyskoczę. – Skacz. – Nie. – Jakże mam skakać, skoro jesteśmy jedno, lecz ona tłumaczy monotennie: – Przecież my nie wrócimy, ojciec w niewoli, bliźniaczki w Mogile same, ukrywającym je Polakom grozi śmierć, może przekażą je na policję albo odeślą w siną dal, będziesz musiał je odnaleźć. – I patrzy na mnie z cierpliwym ponagleniem, ze straszłą siłą – nie sposób się tej sile oprzeć.

W Tarnowie pociąg ma długi, męczący przestój, w końcu szarpie, nabiera szybkości, lecz ja jestem już przygotowany. Ktoś pomaga mi wgramolić się na okienny parapet, przekręcam się, głowę i tułów wystawiam na zewnątrz, nogi zwisają mi jeszcze po stronie wagonu, szybko je podciągam i skaczę.

Noc jest jasna, patrzę, jak połyka pociąg za zakrętem, opalizujący cyferblat zegarka wskazuje za pięć pierwszą, od pięćdziesięciu pięciu minut trwa dwudziesty dziewiąty dzień października 1942, doświadczam kary odłączenia, wiem, że nie zobaczę już matki.



Moszczę się w brzdach pola ziemniaczanego, przesypiam cztery godziny. W szarówce brzasku przesu-  
wają się sylwetki zmierzających na stację robotników,  
zdejmuję opaskę, wtapiam się w tłum, nikt nie do-  
strzega we mnie Żyda, także później, gdy jadę pocią-  
giem do Krakowa, ale jestem słaby, bliski omdlenia,  
więc idę do ubikacji, siadam na zamkniętym sedesie,  
żeby złapać oddech, i nie mogę wstać. Na zbiorniku  
widnieje napis: „Woda niezdatna do picia”, lecz jestem  
spragniony i wypijam jej chyba z litr. Pasażerowie do-  
bijają się do drzwi, w końcu je otwieram, stoję w ko-  
rytarzu przy oknie, cuci mnie zimny pęd powietrza.  
Rogatki Krakowa, chaotycznie rozrzucone, jakby nie-  
pewne swych przeznaczeń, wyłaniają się z przestrzeni  
niczym pod batutą dyrygenta zaskoczonych brakiem  
właściwych nut.



Poszedłem do Kwiatków. Najadłem się u nich, wy-  
spąłem, jednak w tej dzielnicy wszyscy mnie znali,  
gdyby ktoś mnie wydał, Kwiatków skazano by razem  
ze mną na śmierć. Pojechałem do Mogiły. – A gdzie  
mamusia? Gdzie ona jest? – rozświergotały się siostry.

– Nie cieszycie się, że mnie widzicie? – zrobiłem  
głupią minę, jak wtedy, gdy chciałem je rozśmieszyć. –  
Mamusia obiecała, że też wyskoczy z pociągu – To była  
prawda, obiecała.

W getcie, w Judenracie (radzie żydowskiej powołanej przez Niemców do pomocy w realizacji ich poleceń w sprawach zaopatrzenia, służby zdrowia i organizowania wysyłki ludzi do obozów pracy) pracował spokrewniony z nami lekarz o nazwisku Krantz. Poprosiłem, żeby zorganizował jakieś lokum dla mnie i bliźniaczek. Załatwił mi kawałek pokoju przy rodzinie, koło placu Zgody, na Targowej jeden, w kamienicy, pod którą Niemiec uderzył matkę bambusowym kijem. Rano wychodziłem do pracy na lotnisko, wieczorem wracałem. Siostry cały dzień spędzały w domu. Ale gdy ludzie znów zaczęli szeptać, że w getcie będzie się działo, ponownie zwróciłem się do Krantza. – Oddaj bliźniaczki do kinderheimu – poradził. Nie zgodziłem się, bo w czasie poprzedniej akcji Niemcy dzieci z tej placówki wywieźli do Oświęcimia i tego samego dnia wszystkie zlikwidowali. Nadal więc mieszkaliśmy razem.

Na początku grudnia Niemcy kazali pracownikom lotniska stawić się na miejsce zbiórki z osobistymi rzeczami i już nas nie wypuścili. Tak powstał prawdziwy obóz pracy, później przekształcony w obóz koncentracyjny: placówka centralnego obozu w Płaszowie. Siostry zostały w getcie same.



Czasem udawało mi się wymykać na aryjską stronę, do Kwiatków. Przechowywaliśmy u nich rzeczy,

które udało się przeszmugłować w czasie likwidacji sklepu i teraz na moje polecenie lub według uznania Kwiatkowej etapami je sprzedawaliśmy – niektóre, najzupełniej uczciwie, zakupili sami. Za te pieniądze przysyłali mi paczki do obozu i ojcu do niewoli, pomagali też jednej z moich siostr. Kiedy wybierałem się w drogę powrotną, Kwiatkowa wysyłała syna na dół, żeby sprawdził, czy nikt podejrzany wokół kamienicy się nie kręci i dopiero wtedy przyzwalała: – Oluś, wychodź. – I wychodziłem na te swoje pokrętnie ścieżki, chyłkiem przemierzane, lękiem oszutrowane, czujne.

Przedostanie się do miasta graniczyło już z cudem. Odłączałem się od grupy, gdy prowadzili nas z baraków na pole startowe, gdzie wykonywało się różne ziemne prace. Chowałem się za krzak, a potem przemykałem do ogrodu i przeskakiwałem przez druty.

Czasem słyszałem świst przelatujących tuż-tuż kul – każda mogła unieść mój los w przestworza, lecz pociski, rozgrzane, wściekłe, padały obok, zapachem śmierci znacząc drogę mej ucieczki. Coraz częściej umykałem do Kowalczyków, którzy rozpoznawali możliwości wysłania moich siostr na wschód Polski, do małej miejscowości Monasterzyska niedaleko Stanisławowa, bo nie miałem pieniędzy, żeby załatwić im aryjskie papiery. Kowalczykowie zwerbowali pewną kobietę, która – nie wiedząc, że przewozi Żydówki – przetransportowała za opłatą najpierw

jedną, a później drugą. W Monasterzyskach ulokowano je w oddzielnych domach, miały udawać, że się nie znają, jednak niebawem ludzie zaczęli coś podejrzewać. Raz, że bliźniaczki chodziły w takich samych sukienkach (Kowalczykowa przefarbowała odzież jednej, lecz farby szybko puściły), tłumacząc, że obydwie są z Krakowa, a tam Niemcy rzucają na rynek identyczne ubrania, dwa, że nosiły majtki, a przed wojną – zarzekały się tutejsze Polki – majtki wkładały tylko Żydówki. Siostry zapewniały, że w dużych miastach to ogólnie przyjęte, co najwyraźniej nie przekonało miejscowych, bo kazali jednej z bliźniaczek przywieźć z Krakowa papiery poświadczające, że obie są Polkami. Pojechała. Prosto z dworca poszła do Kowalczyków, którzy ulokowali ją pod łóżkiem. Gdy pukałem do ich drzwi, Kowalczykowa najpierw pytała: kto tam?, a usłyszawszy odpowiedź, wołała z ulgą: – Myszka, wyłaż spod łóżka, Myszka wyjdź z szafy. – Pewnego dnia zakomunikowała: – Ktoś zobaczył cię w oknie albo zdradził cię odgłos kroków, w każdym razie sąsiadki rozpowiadają, że przetrzymujemy Żydówkę. Musisz iść.

Patrzyli z okna, jak oddala się w deszczu krokiem bez celu, szybkim i skulonym, a potem znika za rogiem niby odłączony cień. Ułożyła się do snu niedaleko naszego przedwojennego mieszkania w starych poaustriackich koszarach otoczonych przez ugorzaste

pola. Później jedną czy dwie noce przechowała ją pewna kobieta o nazwisku Hnidowa, a potem przynosiła jej na pole chleb i kwaśne mleko, ale że to jesień, ziąb, Myszka zachorowała na zapalenie płuc. W końcu przyjęła ją pod swój dach przy Sławkowskiej Helena Przebindowska, siostra Kowalczyka. Troje jej dzieci, Urszula, Mirosława i najmłodszy Eluś o wszystkim wiedziały i milczały jak grób. Przebindowska, wdowa, żeby utrzymać tę gromadkę, brała jakieś rzeczy do chałupniczego składania, a Kwiatkova podsuwała jej na przeżycie niewielkie fundusze ze sprzedaży matczynych tkanin. I Myszka wydobrzała. Helena załatwiła jej pracę w kwiaciarni. Roznosiła kwiaty w innej dzielnicy, żeby jej nie rozpoznano. Dziwne to były kwiaty, zawstydzone, niepojęte.



Tymczasem o drugiej siostrze słuch zaginął. Ludzie, u których przebywała – Polka i Ukrainiec – po roku kazali jej wracać do Krakowa.

Siada w przedziale, struchlała, bo bez dokumentów, obok młody ksiądz w sutannie, znajomy z Monasterzysk, Alfons Walkiewicz – powiedziała mu kiedyś, że jej tatuś, oficer polski, jest w niewoli, a mamusia w Oświęcimiu za handel słoniną. A tu wchodzą Niemcy, żądają papierów. – To moja siostra – zapewnia ksiądz i Niemcy opuszczają przedział. W Kocmyrzo wie niedaleko Krakowa Walkiewicz miał znajomych,

wymyślił, że ją do nich zawiezie. Genowefa Kunegunda Kłosowska i jej mąż Roman prowadzili bufet. Przyjęli siostrę jak kogoś z rodziny, zaczęła nawet chodzić do szkoły. Spała w jednym łóżku z ich służącą Czesią, rodem z Sanoka. Przed snem opowiadały sobie własne historie, czasem znacząco popękane, niespójne, okrężne – tak, że obie wywnioskowały: ta druga jest Żydówką, ale nie zdradziły się z tym, bo nieufność chroniła życie. Była całunem okrywającym prawdę.



Przewożą mnie z jednego obozu do drugiego. Po lotnisku trafiaam do małego, blisko getta, przy ulicy Zabłocie. Segreguję i ładuję do wagonów druty telefoniczne, izolatory i słupy, które Niemcy wysyłają na front wschodni, w kierunku Kijowa. Kwiatkowie posyłają mi paczki. Dogadałem się z Polakiem, który w imieniu Niemców dozorował naszą pracę i mógł opuszczać obóz. To on odwiedza Kwiatków. Ci przekazują mu paczki i niewielkie sumy dla mnie na dodatkową porcję chleba – Polak dostaje z tego dziesięć procent za fatygę.

Później transportują nas do Wieliczki. Tu rozbieramy baraki, ładujemy ciężkie skrzynie zmagazynowane w podziemiach kopalni soli i meble, też przewożone do Niemiec.

W październiku 1944 jestem w Płaszowie. Wojna się kończy, Niemcy się zwijają. Od marca 1943



do końca 1944 na potęgę mordują Żydów, a także Polaków przywiezionych z Montelupich. Trupy wrzucają do masowych grobów. Po kapitulacji na rozkaz swego dowódcy wydobędą zwłoki, ułożą na palach i spalą. Straszliwy smród wsiąknie w mury, osiądzie na drzewach. Wiatr długo jeszcze będzie wykręcać z nim szaleńcze piruety.



W piątym obozie, do którego trafiam, w Gross-Rosen, panują okropne warunki. Zostajemy – tak się to nazywa – specjalistami od produkcji amunicji. Po trzech dniach przewożą naszą grupę siedmiuset mężczyzn do obozu w Brünnlitz. Praca tu lekka, nie mordują, głodujemy, jedzenia jednak jest więcej. Okaze się później, że znaleźliśmy się na liście Schindlera, Austriaka w służbie niemieckiej, który ratował Żydów w kierowanych przez siebie obozach. Yad Vashem przyzna mu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Na własne życzenie zostanie pochowany na cmentarzu katolickim w Jerozolimie.



Zaraz po wojnie zgłaszam się do Kwiatków. Ojciec wrócił z niewoli, powiadamiają mnie od progu, dostał pokoić przy rodzinie na ulicy Bandurskiego, dołączyła już do niego Myszka. Biegnę tam. Ojciec jest wciąż w mundurze polskiego oficera, Myszka w brązowej wełnianej sukience uszytej z tkaniny z nieistniejącego

od dawna sklepu. A mama?! Co z mamą, z tą, z którą byłem jedno?! Bruzdy na policzkach ojca wyglądają jak głęboko wrosnięte w skórę drzazgi. – Kwiatek mówi, że podobno jakaś kobieta wyskoczyła z wagonu w okolicy Rzeszowa – bruzdy przemieszczają się niemal niewidocznie, sprawia to wrażenie wybudzania – i zabiła się na miejscu. Może to była wasza matka.

– Oby była! – zrywam się znad stołu i pędzę ulicą przed siebie, potrącam kogoś, potem wracam. Ojciec pije herbatę z blaszanego kubka. – Spragnionys? – pyta.



Chcieliśmy teraz odebrać z Kocmyrzowa drugą siostrę, ale Kłosowscy zamknęli bufet i pojechali do Bydgoszczy. Szczęściem jeden nasz powinowaty wystarał się o ich adres.

Wysiadam z pociągu wieczorem – ciepłym, nierychliwie przyjmującym ciemność – i odnajduję schronisko, dostaję tu miejsce na sienniku, kawę i chleb z masłem. Niczego więcej mi nie trzeba. Leżąc na legowisku, zanurzam się w sen jak w miękkiej, ciepłej, źrebięco pogodnej wodzie. Rano staję pod domem wskazanym w adresie i cierpliwie czekam. Wreszcie – siostra wynurza się z klatki schodowej z wiadrem śmieci i śmieszonym, rozkudłaczonym pieskiem. Zachodzę od tyłu, lśnią w słońcu jej jasne włosy. – Witam panią! – zaczepiam wesoło, a ona odwraca się

i drętwieje jak przy spotkaniu z duchem lub czymś, co nagle nas przerasta. Później rozpląkuje się i ja też.

Zagnieździł się więc wszyscy w pokoiku na Bandurskiego. Ojciec jako akwizytor zbierający zamówienia na bakelitowe pudełka na kosmetyki zarabiał bardzo mało, przez dwa lata nie mógł uciuć na cywilne ubranie. Ja, uczeń gimnazjum, zacząłem udzielać korepetycji z łaciny i matematyki. Siostry zapisały się do organizacji żydowskiej Gordonia i z nią w 1948 wyjechały do Izraela. W 1957 dołączyłem do nich z ojcem, Krysią, moją żoną, i naszym trzyletnim synkiem. Miałem już wtedy stopień doktora nauk medycznych – tak być może uśmierzyło się jedno z niespełnień ojca.



Dla wszystkich trzech rodzin, które nas ratowały: Kwiatków, Kowalczyków i Przebindowskich wystaraliśmy się o tytuł Sprawiedliwych. Córkę Heleny Przebindowskiej Mirosławę i jej męża gościliśmy w Izraelu. Ksiądz Alfons Walkiewicz odwiedził nas trzy razy. Organizowaliśmy wtedy pamiętne spotkania. Raz przyszedł słynny ksiądz Daniel Rufeisen z Hajfy, Żyd, a także nasza koleżanka Polka i jeszcze jeden młody kapłan z kościoła Karmelitów w Krakowie, więc okazało się, że w tym gronie jesteśmy z Krysią jedynymi niechrześcijanami, ale żona przygotowała kotlety wieprzowe z ziemniakami – jak w Polsce – i tym, co je jedli, trzęsły się uszy.

Synowie Kowalczyków z szacunku dla czasu schodzą się u najstarszego z nich w każde sobotnie popołudnie – jeden z braci konserwuje wiekowe zegary, żeby nie zanikła ich cierpliwa, kiełznająca zamęt sztuka przemijania. Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata co dwa, trzy miesiące przechowuje inny z nich – taka to, powiadają, dla nich chluba. – No, Oluś, gdybyś ty mieszkał w Krakowie, to byś się zapisał na piątego brata – stwierdzili kiedyś.

Oboje z Krysią regularnie jeździmy do Polski i będziemy to czynić aż do śmierci. Nasze dorosłe dzieci (córka urodzona w Izraelu) mówią po polsku. Niekiedy myślę: Izrael to przystanek w podróży między Polską a tamtym światem.

Historia Aleksandra Allerhanda, zmarłego w 2016.



Przed rokiem 1939,  
Żydzi z Przeworska, autor nieznany.

עַתָּה  
וְזָמַן  
תָּשׂוּ





**B**alkony dworu cadyka Altera, o lekkiej, choć żelaznej konstrukcji, wymykały się z oszklonych drzwi niby spragnione perspektywy umysły i zdawało mi się zawsze, że od ciężaru tego pragnienia lada chwila spadną albo odwrotnie: wystrzelą w górę, w przestworza. Góra Kalwaria, podwarszawskie miasteczko, gdzie mieszkaliśmy przy ulicy, której nazwy nie pamiętam, zaraz w drugiej kamienicy za rabinem, była jednym z najważniejszych w Polsce centrów chasydyzmu. Naokoło mijało się długie majestatyczne brody, które jako dziecko chciałem pociągać dla sprawdzenia, czy są prawdziwe, jednak mi na to nie pozwolano, ponieważ majestatu się nie testuje.

Moja rodzina przyjaźniła się z rodziną adwokata Albina Mioduskiego. Miał żonę, dwie córki i dom na peryferiach, niedaleko szpitala. Schodziło się tam w murliściej, rześkiej woni, jaką rozsnuwała pobliska rzeka, nawet w pełnym słońcu chroniąc ciała przed spiekotą. Przyrzeczne zarośla puchły wiosną od śpiewu

słowików – tego wielotonalnego, wyposażonego w straszliwą siłę żądania, żeby wrogowie omijali gniazdo szerokim łukiem. (Ze wszystkich znanych mi ptasich odgłosów słowiczy w wyjątkowy sposób łączy heroizm i bajkowość, wadzi się z niebem).

Kiedy w 1940 trafiliśmy do getta, ja, trzynastoletni, napisałem do Mioduskiego karteczkę z prośbą o jedzenie i wiadomości z aryjskiej strony. Odezwał się, dostarczał paczki, w końcu zaproponował, że nas ukryje, tylko żebyśmy z bratem, dziesięcioletnim, przed akcją uciekli.

Siedzieliśmy u Mioduskich tydzień, w części przedzielonej deskami i dyktą piwnicy, karmieni przez gospodarzy i ich córki. Wiezorami wychodziliśmy na podwórze nabrać wody ze studni. Woda kołysała się cicho w czarnej czeluści cembrowiny, błyskając do nas mrocznym echem głębi. Dźwięk wiadra zderzającego się z powierzchnią przeszywał dreszczem, jakby odrywał się od uwieczonych pod ziemią tajemnic. Siódmego dnia, gdy nieśliśmy już wypełnione wiadra, mnie i brata dostrzegli koledzy ze szkoły. – *Jude! Jude!* – wołali, ich wskazujące palce celowały w nasze uciekające plecy. Z porzuconych wiader połała się na trawę woda i bieląła w księżycowym świetle.

Czy Mioduscy dowiedzieli się, dlaczego tak nagle zniknęliśmy, nie wiem. (Nigdy więcej nie miałem z nimi kontaktu).

Potem tułaliśmy się jak zwierzęta, szukając jam i tamten tydzień – któremu towarzyszyły obfitość wody, ciepło kaszy dostarczanej nam w glinianym garncu i dobiegające znad rzeki dramatyczne piękno słowiczej perswazji – oddalał się, by z czasem powracać, rzeźbiąc w pamięci tkliwy kadr.

Z tego, co mi wiadomo, dwa balkony na dworze cadyka Altera przetrwały, podobnie jak dwóch jeszcze kalwaryjskich Żydów. Jednemu, który do dziś uchodzi za Polaka, pomagała polska żona. Drugi, też ożeniony z Polką, pracował na cmentarzu żydowskim, gdzie krzątał się wokół kości przodków, bo współcześni mu krewni i znajomi poszli z dymem, w świat bez grobów, bez kształtów, bez cieni, świat odurzony pejzażem jaskrawej pustki.

Historia Izraela Rozenbluma, zmarłego w 2015.



ע

ם

עזל



**N**a Boże Narodzenie w największym pokoju naszego mieszkania stawiało się drzewko i przychodził Święty Mikołaj. W jednej choinkowej bombce, ogromnej jak globus, srebrnej, dostrzegłam skrzydlatego anioła. W domu mówiło się tylko po polsku, śpiewało legionowe piosenki. Synagogę odwiedzaliśmy jedynie w duże żydowskie święta, w dzielnicy w większości zasiedlonej przez Żydów. Ojciec mój, piłsudczyk, ukończył Wyższą Szkołę Handlową. W uznaniu zasług dostał od polskiego rządu trafikę w Wieliczce. Matka, po uniwersyteckiej filozofii, była gospodynią domu.

Nie miałam rodzeństwa, lecz w Wieliczce mieszkało mnóstwo moich ciotek. Krewni matki osiedli w Krakowie. Wybuch wojny dla niespełna siedmioletki wydawał się ekscytujący: latarki, przyciemnienia, dziwny, ruchliwy nastrój. Najpierw uciekliśmy, jak wszyscy. Szosy wypełniały tabuny ludzi, którzy szli i szli, w tę i z powrotem, chyba bez kierunku.

Dziwny exodus, wyglądający jak pochód ogłuszonych. Po kilku dniach wróciliśmy. Zastaliśmy przedwstępną ciszę. Niebawem przełamał ją turkot motorów – weszli Niemcy, w tych swoich hełmach, dopasowanych mundurach, lśniących butach z cholewami. Pojawiły się motocykle i ciężarówki. Potem znowu nastała cisza, głębsza już, porażona prądem. Rozeszła się w niej wieść, że wyciągnęli z domów żydowskich trzydziestu mężczyzn i rozstrzelali ich za miastem.

I ponownie było cicho.

Niemcy zarządzili, że żydowskim dzieciom nie wolno się uczyć. Pani nauczycielka była delikatna, powiedziała o tym tylko mojej mamie. Żydzi nie posłuchali, uczęszczali na tajne komplety w prywatnych mieszkaniach. Nauczycielki rozglądały się, czy ktoś nas nie śledzi. Nadal pachniało to zabawą, nie wiedziałam, że za takie nauczanie grozi śmierć – nauczycielom i dzieciom.

W mieście niby nic się nie działo, nawet otwarto znów żydowskie sklepy, wciąż żyliśmy we własnym mieszkaniu i nadal cisza nocy i dni wiązała czas i przestrzeń. W naszej kamienicy wszyscy oprócz nas byli Polakami. Na dole mieszkał mierniczy przysięgły – bardzo mi to imponowało, bo nie dość, że mierniczy, to jeszcze przysięgły – miał nawet tabliczkę na drzwiach, a później został folksdojczem. Wynajął pokój jakiemś niemieckiemu oficerowi. Kiedy szliśmy schodami, otwierał drzwi i okropnie bluzgał, wrzeszczał.



Wprowadzano już ograniczenia dla Żydów: zabroniono im siadać na ławce i jeździć komunikacją miejską, w końcu nakazano, żeby na prawym ramieniu nosili białą opaskę. Mnie to jeszcze nie dotyczyło, bo byłam mała, ale rodziców tak, dlatego krępowaliśmy się z nimi pokazywać – byli naznaczeni. Bawiłam się tylko z polskimi koleżankami.

Potem kazano Żydom oddać wszystkie futra. Mama przekazała tylko kołnierze, a duże futra zaniosiła na przechowanie sąsiadce. Tymczasem krakowska rodzina mamy – w tym babcia Andzia i prababcia Karolina – zdecydowała, że zapłaci Niemcom okup i dołączy do nas, do Wieliczki, gdzie nie było getta. Zostawili wszystko i przyjechali. Byłam bardzo szczęśliwa – ciotki i wujkowie, kuzyni, babcie pod jednym dachem! Oddaliśmy im całe mieszkanie, sami zajęliśmy jeden pokój.



Z nastaniem 1942 Niemcy zaczęli rozwiązywać problem żydowski, to znaczy masowo mordować. Rozeszły się pogłoski, że szykują akcję. Co to za akcja, jaka akcja – nic nie rozumiałam. Coś strasznego zawisło w powietrzu, cisza kurczyła się, gęstniejąc, rozglądała się w popłochu, jakby szukała ujścia, twarze dorosłych przyjmowały jej odcień. – Schowamy się – postanowił ojciec. W budynku sądowym, który należał do jego rodziny, w jednej z niewykorzystanych

sal urządzono skrytkę. Schroniliśmy się tam w kilka osób, zasłoniliśmy drzwi dużym kredensem. Za oknami dojrzywał sad, lato wcielało się w brzęczenie pszczoł, w ptasi jazgot, w krótkie parne noce, w ostre, wywołujące łzawienie słońce. Po raz pierwszy poczułam strach. Dziecko zawsze czegoś się boi, lecz ten nowy miał smak niedojrzałego agrestu. Dorośli przewidywali, że gdy nas otoczą albo podpalą, trzeba będzie skakać przez okno. Jednego dnia woźny, który miał dostarczać nam wodę i jedzenie, oświadczył: – Proszę państwa, ja nie mogę was tutaj trzymać, ja się boję, rozejdźcie się.

Opuściliśmy gmach sądu i szliśmy cichymi, spokojnymi ulicami, prawie białymi w upartym słońcu. Nie było dokąd uciec, wróciliśmy do domu. Na drzwiach mieszkań widniały karteczki informujące, że lokal jest aryjski. Też chciałam znaleźć się za takimi drzwiami; czułam, że nasze już nas nie chronią. Mama błagała, żebyśmy zamieszkała u mojej polskiej koleżanki, której matka, pani Duszczyńska, zgodziła się mnie przyjąć. Nie chciałam, ale w końcu zgodziłam się i mama mnie tam zaprowadziła. Odeszła, a mnie opłotła samotność. Nie mogłam nigdzie wychodzić, nawet do ogrodu, gdzie wciąż wcielało się lato. W nocy zdecydowałam, że ucieknę.

O brzasku otwieram okno i wyskakuję bezpiecznie, bo mieszkanie jest na parterze. Znowu te ciche,

senne ulice, drzewa, ludzie, budynki i cienie wyglądają normalnie, na swoim miejscu, okrzepłe w swoim istnieniu, jeszcze solidniejsze, większe. Zbliżam się do domu, a tam przez okno wygląda mama i schodzi otworzyć mi bramę: – Dlaczego wróciłeś?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie rozumiałam, dlaczego mama mnie nie chce.



Niemcy oblepili miasto komunikatami, że Żydzi mają stawić się określonego dnia i w wyznaczonym miejscu z pieniędzmi i innymi kosztownościami. Powiadomiono też Polaków, że każdy, kto ukryje Żyda, będzie karany śmiercią. Polak, który weźmie na przechowanie rzecz należącą do Żyda, będzie karany śmiercią. Polak, który wejdzie w jakikolwiek kontakt z Żydem, będzie karany śmiercią – to wszystko napisane dużymi literami.

Pod wieczór dzwonek do drzwi, to pani Duszczyńska. Pyta tak samo jak mama: – Dlaczego uciekałeś? – A rodzice zaczęli ją błagać, żeby wzięła mnie jeszcze raz. Na to ona: – Dobrze, ale wyjdziemy osobno, bo po ulicach chodzą niemieckie patrole.

– Idź, idź pierwsza – wypycha mnie matka, szybko, bez pożegnania. – Wy też uciekajcie – powtarzam w jeszcze większym pośpiechu. Potem czekam na tę panią w kącie pewnej klatki schodowej, gdzie mieszkał dentysta Chrzanowski. Nie dociera tu światło.

Ciemność wessała mnie i obezwładniła, tkwię w jej nieruchomej paszczy. Już wiem, że biorę udział w grze na śmierć i życie. Wreszcie słyszę kroki. Przysięgam, że więcej nie ucieknę.

Raniutko, jeszcze przed świtem, budzą mnie i komunikują, że jedziemy do Krakowa. Matka pani Duszczyńskiej ubiera mnie w płaszczki swojej wnuczki Wandy, a mojej koleżanki, żeby ludzie brali mnie za nią. Zakłada mi kapelusik. Lato wcielało się w siebie, a ja wcielałam się w cudzą postać.

Wychodzimy. Na nieodległym skrzyżowaniu zbity tłum podąża gdzieś w kompletnej ciszy, nie dobiega stamtąd żaden dźwięk: jakby cisza, osnuwając tę ciżbę niewidzialną przędzą, unosiła ją ponad ziemią. – Co to? – pytam. – Nie patrz w tamtą stronę. To Żydzi.

Byłam przekonana, że nie ma wśród nich moich rodziców, obiecali przecież uciec.

W Krakowie zapukałyśmy do jakiejś pani. Moja opiekunka zapewniła ją, że jestem córką sąsiadów, a ponieważ moja matka umiera, muszę pozostać w oddaleniu. Później odjechała. Nowa pani była miła i dobra, dała mi mleko; mleko jest zdrowe dla dzieci. Z zewnątrz dochodził przeraźliwy zgrzyt tramwajów, które kolebały się na zakręcie, w pokoju tykał ciężko stary zegar.

Nazajutrz pojawiła się pani Duszczyńska. Dała mi coś na uspokojenie i wyszłyśmy do miasta. Chodziłyśmy po kościołach w poszukiwaniu kogoś, kto by mi

wystawił metrykę. Moja opiekunka bardzo się starała i po kilku dniach ją zdobyła. Imię zostało to samo, nazwisko było inne: Nowakowska. Kazano mi nauczyć się, że mój ojciec to Jan, a matka Ludwika z Gajewskich.

Miał się mną zająć pewien lekarz, Kunicki, zaprzyjaźniony z moim prawdziwym ojcem (spotykali się, wymieniali wieści i gazety). Przyjął od moich rodziców cały dobytek, pieniądze i klejnoty, lecz nagle wycofał się, zapowiedział, że odda mnie do getta. – Po moim trupie! – zagroziła Duszczyńska, zrobiła mu straszną awanturę i częściowo skapitulował: – Dobrze, jak pani znajdzie dla niej miejsce w Warszawie, będę płacił.

W pociągu do Warszawy w naszym wagonie siedzieli Niemcy. Jeden z nich wywindował mnie na półkę i przykrył swoim płaszczem, żebym spała. Ten otulający mnie płaszcz zastępował każdy dokument.

W Warszawie Duszczyńska zostawiła mnie u pewnych ludzi. Gospodyni wiedziała, że jestem Żydówką i mi dokuczała – z jednej strony ratowała mi życie, a z drugiej tak dokuczała! Przedrzeźniała mowę żydowską zepsutą polszczyzną, na przykład: „Mamele, daj kobyle siana, jak kobyle nie zje siana, to ty zjedz siama”. Protestowałam, bo u nas w domu mówiło się po polsku bardzo poprawnie. Poza tym zawsze miałam na imię Marysia, a ona: – To niemożliwe, na pewno nazywałaś się Sara albo Rebeka. – Obiecywałam

sobie, że jak mama wróci, to ją tu przyprowadzę, żeby zaświadczyła.

Następnego dnia był rosyjski nalot. Sowietci zamierzali zniszczyć strategiczne punkty niemieckie, ale zrzucali bomby niedokładnie, dlatego spadały na domy cywilne. Nigdy dotąd nie przeżyłam bombardowania. Zeszliśmy do schronu. Gdy wybucha bomba, słycać najpierw przeraźliwy huk, a później w popłochu, w furii trzęsie się ziemia. Za każdym razem wołałam „Jezus, Maria!”, sądząc, że daję tym świadectwo niezaprzeczalnej aryjskości, lecz gdy wróciliśmy na górę, pouczone mnie, że polskie dzieci tak nie krzyczą, bo nie muszą dowodzić swego katolicyzmu. Potem odwiedziła nas jakaś pani, której zostałam przedstawiona jako Maria Nowakowska. – O, znałam rodzinę Nowakowskich – przypomniała sobie. – I ten pan nazywał się Jan. – Przytaknęłam. – Miał brata. Miałaś stryjka?

Nie nauczyłam się tego, bliska płaczu wydusiłam: – Nie wiem.

Po jej wyjściu dostałam burę: nie wolno odpowiadać „nie wiem”, tylko „tak” albo „nie”. Między „tak” i „nie” gnieździła się śmierć.

Wiedziałam, że to tylko czasowe miejsce, bo ktoś wkrótce mnie zabierze. Faktycznie, po kilku tygodniach pojawiła się miła kobieta o nazwisku Chmurowa, zawiozła mnie do swojego domu, na krańcu

Warszawy, na Kole, jak wiele innych: schludnych, podobnych, przy spokojnych, zielonych uliczkach okrytych ciszą, która znów mnie odnalazła i ogarnęła czymś słodkawym i miękkim. Była to dzielnica oficerska – mężczyźni nie żyli lub pozostawali w niewoli, mieszkaly tam same kobiety, dlatego ulicami przesuwaly się damskie kapelusze, płynęły w ciszy.

Zostałam przedstawiona sąsiadom. Raz grałam w piłkę w ogrodzie z dziewczynką o imieniu Basia, gdy sąsiadka z naprzeciwka przyjrzała mi się wnikliwie i zwróciła się do mojej opiekunki: – Pani przechowuje żydowskie dziecko. Ona wykonuje rękami żydowskie ruchy.

– Niech pani nie rozpowszechnia takich bredni – odparła Chmurowa bez mrugnięcia powieką – bo dzieci przestaną się z nią bawić. – I tamta się zamknęła.

Moja opiekunka była mądra. Pozwalała mi jeździć tramwajami, chodzić po mieście, zachowywać się normalnie. – Im będziesz pewniejsza siebie, tym lepiej – powtarzała. I taka się stawałam.



W tym czasie dowiedziałam się, że istnieje konspiracja, walczące podziemie. W naszym domu bezstannie pojawiały się nielegalne gazetki. Fascynowało mnie, że ludzie się nie poddają. Słyszałam, że dzieci były się w obronie oblężonej Warszawy i też chciałam walczyć. Przejeżdżając tramwajem koło murów getta,

zza których wylaniały się górne partie fasad kamienic, myślałam o ich lokatorach: oni. Odpychałam żydostwo, bo żydostwo oznaczało zagrożenie.



W Wigilię Bożego Narodzenia Chmurowa przygotowała wieczerzę i zaprosiła samotną sąsiadkę. Czułam się swobodnie, śpiewałam kolędy. Po kolacji rozmawiały w cztery oczy. Sąsiadka nie miała wątpliwości, że jestem żydowskim dzieckiem. Zapewniła, że nikomu nie powie. A ja tak nad sobą pracowałam, żeby uwiarygodnić swoją polskość! Poruszałam się sztywno, kołkowato, w nienaturalnym pionie, bo twierdzono, że Żydówki ścinają obcasy, udzielałam prostych odpowiedzi, bo mówiono, że Żydzi odpowiadają pytaniem na pytanie, śpiewałam kolędy, ponieważ Żydzi ich nie znali – i zostałam rozpoznana. Chmurowa jednak nie poddawała się, dbała o szczegóły. Na przykład aryjskie dzieci nosiły futrzane kołnierze do płaszczy (Żydzi futer już nie mieli), więc przyszyła mi kawałek baranka. Szczegóły tkwały strategię przeżycia.

Wiosną 1943 wybuchło w getcie powstanie. Warszawę spowił czarny dym, wieczorem w rozlanej na niebie czerwonej łunie kotłowały się, fermentowały odgłosy walki: strzały i wybuchy. Następnie przyjechały czołgi. W podziemnych gazetkach zamieszczano relacje z toczących się bitew: o Żydach, którzy porwali za broń, pisano z czcią, a ja przyzwyczaiłam się, że z Żydów



się śmiano. Lecz gdy walki się skończyły, po mieście zaczęły krążyć dowcipy, choćby taki: „Żydzi jadą na stracenie, jeden wyciąga butelkę z wodą kolońską i oblewa się. – Coś ty, zwariował? – inni na to. – Nie zwariowałem, ale jak ma być ze mnie mydło, niech będzie perfumowane”.

Temat żydowski nie tracił na sile. W powietrzu krzyżowały się, wirowały pogłoski: tu złapali Żyda, tam wystrzelali całą polską rodzinę, bo Żyda ukrywała. Pewnego dnia pod nasz dom zajechała dorożka, wysiadła z niej stara kobieta w czerni, z woalką, wkroczyła do jednego z pokoi i już stamtąd nie wyszła. Często mnie wołała, żebym dotrzymała jej towarzysztwa, ale wolałam spędzać czas z Basią. Raz czymś mnie zwabiła, nauczyła grać w karty, w wojnę i okręty, i odtąd zaglądałam już do niej codziennie. Spostrzegłam, że ma nową książeczkę do nabożeństwa i zrozumiałam, że jest Żydówką, bo książeczki starych bogobojnych kobiet są jak one: pożółkłe, podniszczone, fragmentami zmięte.

Niedługo kobieta w czerni zachorowała. O wezwaniu lekarza nie było mowy, bo nie miała dobrego wyglądu, więc Chmurowa pielęgnowała ją sama. Pochowali ją ze wszystkimi honorami na cmentarzu katolickim. Leży tam do dziś.

Potem przyszła jakaś Żydówka Ewa, żona adwokata, snobka, chwaliła się, że bogata. Odwiedzała na Kole

doroślą córkę, która wyglądała niczym dziesięć Żydówek, a paradowała po Warszawie, jakby nigdy nic. Raz nie wytrzymałam i jej przygryzłam. Widocznie wiedziała, że jestem Żydówką, bo odparowała: – Żebyś ty swoich rodziców nie znalazła!

W ogródku kwiczał kupiony nielegalnie przez Chmurową prosiak, którego ukrywałyśmy w altance. Zniosłam mu jedzenie – na widok rondla z uciechy piszczał i wywijał ogonkiem. Nazwałyśmy go Maciek. Lubiłam go, a Ewy nie.



Po wakacjach w 1943 Chmurowa postanowiła, że zapisze mnie do szkoły – dziecko, które chodzi do szkoły, to nie Żyd. Ale ja miałam jedynie metrykę, a oni żądali świadectwa z poprzednich klas. Nie znałam ani nauczycieli, ani dzieci – bałam się.

Nad miastem wciąż wisiała łuna i przypominała szal uwity z ostatnich oddechów. Pani Kamińska, nasza sąsiadka, która też trzymała Żydów, wyszeptowała Chmurowej w kuchni, że w lasku na Kole dzieci znalazły chłopczyka, uciekiniera z getta. Otoczyły go i zaczęły wyzywać, i straszyć, że wydadzą go Niemcom. Chłopiec usiadł i podciął sobie żyły. Wszystko słyszałam. Dlatego lękałam się dzieci, najbardziej jednak księdza. Znałam wprawdzie zasady religii, modlitwy i pieśni, lecz nigdy nie uczyłam się katechizmu. Na szczęście nikt mnie nie odpytywał, a dzieci przyjęły mnie

dobrze. Może Chmurowa napomknęła im, że jestem sierotą albo ciężko chorą, coś w tym stylu.

Później Chmurowa, która miała córkę Wandę, starszą ode mnie o osiem lat, obwieściła, że pójdę do harcerstwa. Ucieszyłam się. Nie chodziło już o moje życie, o moje pochodzenie, tylko o nową treść życia, o przyszłość, tę niematerialną fikcję dającą się rzeźbić dłutem wyobraźni, podczas gdy terażniejszość tkwiła jak gwóźdź u trumny, realna i sztywna.

Trafiłam do Drugiej Warszawskiej Chorągwi Harcererek, do Hufca Grzybów i Zastępu Kwiatów. Zbiórki w prywatnych domach, lekcje, jak połykać papier na wypadek wsypy, różne gry – uwielbiałam to. Cisza oddalała się, machała mi dłonią.



W wakacje 1944 usłyszeliśmy armaty zbliżającego się frontu. Niemcy – brudni, nieogoleni, ranni – zaczęli uciekać, jeden pchał rower, inny siedział na furmance. Cała Warszawa wyległa na ulice patrzeć.

Pierwszego sierpnia Wanda poleciła: – Dotrzesz z rozkazem na Chmielną, do Iśki. Spiesz się, bądź przed piątą w domu.

Szukałam i szukałam tej Iśki, starszej harcerki, w końcu znalazłam na Brackiej i, szczęśliwa, oddałam rozkaz. Spełniłam misję, mogłam wracać. Złapałam jakiś tramwaj, ale rozległy się strzały i motorniczy zatrzymał się na Młynarskiej – stamtąd na Koło

jeszcze daleko. A tu kule sypią się ze wszystkich stron, ludzie gdzieś biegną, ktoś woła, że to powstanie, obok osuwa się trafiona w głowę kobieta. Próbuję podążać w kierunku domu, lecz bruk dudni od strzałów, pociski rozpryskują się na murach kamienic. Umykam na ulicę równoległą do Wolskiej, tam Niemcy już podpalają domy, wściekle, bez litości, ogień trawi z pasją wnętrzości dotychczasowego ładu. Budynek płoną z obu stron, okienne futryny padają na środek ulicy i roztrzaskują się, a z nimi zachowane w nich, bezpowrotne widoki. Przejść się nie da. Ludzie przebijają otwory w piwnicach, z jednej z nich usiłuję wydość się na zewnątrz, jednak już na rogu zatrzymuje mnie pożar. Mieszkańcy budują barykadę, pomagam. (Niemcy atakowali ją tygrysami – ciężkimi czołgami. Sprowadzili do miasta nowe siły, oddziały SS złożone z przestępców).

Wracam do schronu, nic nie widzę, więc wdrapuję się na górę, na strych. Barykady zajmują całą szerokość ulicy. Przesiaduję trochę na strychu, trochę w piwnicy. Ktoś daje mi kromkę chleba z masłem czy marmoladą – słodycz miesza się z pyłem.

Po czterech dniach Niemcy przerywają walki uliczne, zaczynają bombardować z powietrza. Wtedy biegnę w stronę Koła, biegnę, klucząc, może ktoś pokazał mi drogę, nie wiem. Gdy tam docieram, wita mnie cisza, nieruchawa, wsłuchana w siebie jak stary

człowiek z obrazu Kramskoja *Zapatrzył się*; dzielnica wciąż pozostaje nietknięta. Jestem bohaterką dnia: widziałam walczącą Warszawę, muszę bez końca opowiadać. Chmurowa martwi się o córkę.

Niebawem Niemcy przyszli i tu. Ogłosili przez megafony, że mieszkańcy mają opuścić Koło z białymi chustami w rękach. Maćka, jako nielegalnego, włożyliśmy do worka (rzucił się w nim i dusił okropnie) i wyruszyliśmy. Pod wieczór dotarliśmy na jakąś wieś. Maciek już nie żył, piekliśmy go w ognisku pod stołem. Kęsy mięsa utykały w gardle.

Po dwóch dniach wróciliśmy na Koło, ale wyrzucili nas ponownie. I znów wędrowka pod Warszawę, na działkę Czechowskich, naszych sąsiadów. Stał tam malutki, drewniany, jednopokojowy domeczek. Rozłożyliśmy się na słomie, a dużo nas było, wykopywaliśmy kartofle i codziennie je jadaliśmy, jak na pikniku w przedśionku piekła.

Z działki rozpościerał się widok na płonącą Warszawę – Niemcy podpalali kolejne dzielnice. Odgłosy walk tu nie docierały i miało się wrażenie, że pali się tam czerwona cisza.

Powstanie trwało dwa miesiące, potem upadło i doszły nas wieści, że Polakom udało się zawrzeć z Niemcami porozumienie i że na mocy konwencji genewskiej ocaleni powstańcy trafią do niewoli. – Może Wandeczkę wzięli, idziemy szukać – zdecydowała Chmurowa.

Chodziłyśmy codziennie i pytałyśmy o Wandę, bo nie znałyśmy pseudonimów walczących.

Jednego dnia w październiku, gdy tak wędrowałyśmy bez nadziei w zimnych strugach deszczu, ktoś zawołał: – Marysia! Mama!

Chmurowa błagała, żeby Wanda nie szła do niewoli. A ona: – Ja chcę jak tatuś. – W końcu uległa. Uciekła nocą, dotarła na działkę. Obie postanowiły, że dłużej tu nie zostaną, bo chłód i nie ma co jeść, i że pojedą do krewnych w tę część Polski, którą Niemcy przyłączyli do Rzeszy. Ale mnie nie mogły ze sobą zabrać, nawet babcię, matkę pani Chmurowej, zostawiły. Podwoziły mnie jednak do Krakowa. Tam Chmurowa wręczyła mi karteczkę z jakimś adresem. Pożegnaliśmy się szybko, jak ludzie spieszący skryć się pod dach przed nadciągającą ulewą.



Stoję na stacji kolejowej, sama, z kartką w kieszonce płaszczka. Muszę czekać do rana, bo obowiązuje godzina policyjna. Zauważa mnie Ukrainiec w niemieckiej służbie i nagabuje: – A ty skąd, dziewczynko? A dokąd to, dziewczynko? A coś ty za jedna, dziewczynko?

Mam jedenaście lat, nie jestem duża, czuję, że już po mnie, że nie wydam się z łap tego draba. A on krąży wokół mnie jak sęp, przywołuje swojego kolegę, proponują, że pójdziemy na herbatkę – niechybnie chcą zgwałcić. Czmycham do ubikacji dla kobiet, a Ukrainiec

za mną. Wzrok ma szklisty, podpity, przewiercający, trzyma rękę na klamce, stoi w rozkroku. Schylam się i śmigam mu pod tą ręką, pędzę do przydworcowego bunkra. Nikogo tam nie ma, śmierdzi ekskrementami. Tkwią tak kilka godzin, wreszcie decyduję się wyjść, czując na plecach jego oddech, znowu biegnę.

W końcu pojawiaam się pod adresem z karteczki, właścicielka mieszkania nie kryje zdumienia. – Tutaj ma przyjść po mnie pani Kunicka – wygłaszam komunikat przekazany mi przez Chmurową. Ale Kunicka (żona tego lekarza, co wziął pieniądze od moich rodziców i za mnie płacił) zapowiada od razu, że jak nie znajdzie mi miejsca, odda mnie gestapo. Znalazła jednak, u pewnej niezwykle pobożnej wdowy.

Zawsze chętnie chodziłam do kościoła, do dziś znam na pamięć wszystkie modlitwy, nawet po łacinie, lecz ta pani była dewotką i, wiedząc, kim jestem, ciągle naganiała mnie do pacierzy i czytania *Żywotów Świętych* albo historii o Żydach, którzy oszukiwali, o Żydach, którzy zdradzali.

Jednego dnia w schronie (odgłosy detonacji stawały się coraz donioślejsze) ktoś się odezwał: – Teraz znowu zobaczymy tych pejsaczy. – Pomyślałam, że przekonam rodziców, by już nie byli Żydami.

Wojna zbliżała się do kresu, w jesiennym powietrzu czuło się woń jej zwalistego, ociekającego krwią cielska.



Wchodzą Rosjanie, na ulice wylegają tłumy, nie rozumiem dlaczego. Nagle ktoś mnie woła – to mój duzo starszy kuzyn, przeżył, na mój widok bardzo się ucieszył, poprosił o adres, ale bylam nauczona, że nie wolno ujawniac miejsc pobytu, nie dalam. – Kto to byl? – dociekala pani pobożna. – I czego chcial? – Żeby m go odwiedzila, mieszka z jeszcze innym kuzynem. – Wobec tego – twarz pobożnej wydłużyla się, nabierając gniewnej treści – muszę cię ostrzec, że Żydzi wołają otroc dziecko, które stalo się chrześcijaninem, niż pozwolić mu żyć. Zwykle częstują herbatką z trucizną.

Wspomniałam jednak swoich rodziców, ich nieobecność i moją tęsknotę i poszłam. Zadzwońlam do drzwi, kuzyn szczęśliwy: – Marysiu, dobrze, że jesteś, chodź, napijesz się herbaty.

Usłyszałam to i w nogi. Wołał za mną: – Poczekaj, zostaw chociaż adres! – a ja biegłam, biegłam, biegłam.

W styczniu 1945 Kuniccy już za mnie nie płacili i trafiłam do przytułku. Pewna para z Łodzi chciała mnie adoptować, ale okazało się, że po prostu szukają służącej. Wtedy postanowiłam wrócić do Warszawy. Rozglądałam się naokoło, niczego nie rozpoznawałam w ruinach – miasta nie było. Ludzie poruszali się, wydeptując w gruzowisku ścieżki. Do ścieżek przycumowywali sklecone z byle czego, koślawe budki,



na których kolebały się ręcznie sporządzone szyldy: „Wykonuję manicure”, „Świeże zupy”, „Fryzjer”. Życie jak bluszcz oplatało kłacza zgliszcz z nieubłaganym, błogosławionym okrucieństwem odwiecznego cyklu następstw.

Ruszyłam na Koło. Dochodząc do domu, spotkałam sąsiadkę Kamińską. – Pani Chmurowa jeszcze nie dotarła, ale chętnie cię przyjmę – zaprosiła. – Możesz też wrócić do Żydów.

Zatem wiedziała.



Próbowałam załatwić sobie miejsce w klasztorze, bo mieli tam szkoły i internaty na poziomie. Nie wiedziałam, że opieka społeczna, do której się zgłosiłam po skierowanie, takimi placówkami nie dysponuje. W końcu dostałam adres urszulanek koło Piaseczna. Do szkoły trzeba było chodzić piechotą, a ja nie miałam żadnego ciepłego ubrania, na nogi wkładałam drewniaki. Klasztor żył z datków, straszna panowała bieda. Na Boże Narodzenie w szkole urządzali przyjęcie dla dzieci. Bezdomnym kazali podnieść palec. Wstydziłam się, ale podniosłam, bo dawali paczuszki z jedzeniem. Zjadłam wszystko po drodze do klasztoru. Czekala tam Wanda Chmurówna. Zawiozła mnie do innego domu dziecka, porządnego, świeckiego, dla rodzin wojskowych. Pani kierowniczką podpytywała: – Ty nie Żydówka? – Nie, ja nie Żydówka.

Póóniej dom przeniesiono do Opolu. Jedna z krewnych wysłała mi tam pocztówkę: „Marysiu, wyjeżdżam, chcę cię jeszcze zobaczyć. Ciocia Schenker”. – A co to za ciocia, ta Schenker? – zainteresowała się kierowniczką w obecności wszystkich, przy obiedzie. Zapewniłam, że to pomyłka, nie uwierzyła, zaleciła, żebyam pojechała do Krakowa i wyjaśniła sprawę.

Odnalazłam ciotkę, która miała już papiery zezwalające na opuszczenie kraju, i oświadczyłam, że wracam tam, skąd przybyłam. – Możesz być katoliczką, kim chcesz – zakomunikowała chłodnym, wilgotnym tonem, jakby połknęła kawałek jesieni – ale ja wyjeżdżam.

Wtedy odezwała się znajoma ciotki: – Skoro ona chce się wyprzeć rodziny – wskazała na mnie – to rodzina nie będzie chciała nic wiedzieć o niej. – I to słowo „rodzina” podziałało jak uderzenie w twarz, przecież tak długo już nikogo nie miałam. Dlatego choć ciotka wyjechała, a ja zostałam, to w ochronie z żydowskimi dziećmi. Patrzyłam na nie z góry. Przeszkadzało mi, że mają kręcone włosy i semickie głowy.

Wkrótce wujek mieszkający w Belgii posłał po mnie umyślnego, a niedługo po moim przyjeździe oddał mnie do domu dziecka. Jeszcze później bez pytania podpisał za mnie zgodę na wyjazd do Izraela. Ja tu nie przyjechałam, mnie tu dostarczyli. Za tą świadomością tłucze się cały ogrom ciszy.

W Izraelu przez jakiś czas mieszkałam z wujkiem i jego rodziną. Źle się ze mną obchodzili, bezustannie mieli o coś pretensje, krytykowali. Nie interesowali się moimi polskimi losami. Ich córka narzekała, że z braku miejsca musi spać na stole – a przecież miała rodziców! Nie było żadnego porównania między tym, co przeżyli oni, z dala od obozów koncentracyjnych, a tym, co przeszliśmy my. Nikt nie porównywał, bo nie pytali. Pytania poupychali w ciszę.



Po raz pierwszy od wojny przyjechałam do Polski w 1990. Szukałam mojej szkolnej koleżanki Wandy, córki pani Duszczyńskiej (wiedziałam, że matka już nie żyje). Byłam w Wieliczce, Krakowie – zero wieści. Dwa lata później dostałam od niej list; ktoś jej powiedział o moich poszukiwaniach, ktoś inny podał mój adres.

W 1997 spotkałyśmy się w Polsce. Wtedy dowiedziałam się, że Niemiec, który otulił mnie płaszczem w pociągu z Wieliczki do Warszawy, przystawiał się do Duszczyńskiej i nie chciał, żebym przeszkadzała mu w zalotach. Odczepił się dopiero, kiedy zaczęła udawać suchoty. – Ja bym chciała, żeby moja mama otrzymała pośmiertnie medal Sprawiedliwej – powiedziała Wanda. Postarałam się o to.

Chmurowa umarła, ale jej córka odwiedziła mnie dwukrotnie, utrzymywałyśmy stały kontakt. To od niej wiem, że akcję uratowania mi życia – podobnie

jak jednej z moich kuzynek, którą ulokowano u Polaków za pośrednictwem Zofii Kossak-Szczuckiej – zorganizowała Żegota. Wanda też odebrała medal Sprawiedliwej w imieniu matki. W Jerozolimie odbyła się wzruszająca ceremonia. Posadzili drzewko. Wanda, kiedyś idealistka, taka promienna, była już wtedy przygasła.

O rodzicach zagiął słuch – cały transport z Wieliczki, który mijałam, gdy Duszczyńska prowadziła mnie na dworzec, wywieziono do obozu zagłady w Bełżcu.



W 1985 wyjęłam ze skrzynki pocztowej kopertę:

*Kochana Pani Mario,*

*Przebywam czasowo w USA i piszę do Pani, ponieważ mam do spełnienia ważną misję, powierzoną moim Rodzicom w Polsce przez Pani Mamusię i Ojca w czasach okupacji w 1942 roku w Wieliczce. Owa misja to przekazanie Pani listu, który załączam. Pani Tatuś znał dobrze moich Rodziców i czasem przychodził z Panią do nas, na ulicę Limanowskiego. Ja, wówczas kilkuletnia, bawiłam się z Panią w ogrodzie, czego Pani, parę lat młodsza, może nie pamiętać. Dobrze kojarzą Panią także moje koleżanki: Marysia Stałowczykówna i Marysia Baburkówna (mieli wytwórnę win i soków koło warzelni soli).*

*Nasi ojcowie wyprawiali nas z domu, gdyż nie chciano, aby dzieci słuchały o pewnych rzeczach. Mój Ojciec (nieżyjący już od ćwierć wieku) brał udział w tajnym nauczaniu jako profesor gimnazjalny i miał ścisłe kontakty z Armią Krajową. Przypuszczam, że Pani Tatuś również.*

*Pewnego deszczowego wieczoru Pani Tatuś odwiedził nas sam, oparł głowę na rączce parasola i mówił coś do mego Ojca, po czym głośno zakał. Ojciec natychmiast kazał mi opuścić pokój. Byłam przerażona, dotąd nie widziałam płaczącego mężczyzny. Był to ostatni wieczór przed ewakuacją rodzin żydowskich z miasta.*

*Na drugi dzień rozpętało się piekło – wszystkich wywieziono, a tych, co ukryli się w domach, pozabijano. Domy żydowskie splądrowano. Nastąpiła wielka rozpacz. Wieliczka prawie opustoszała. Po jakimś czasie zobaczyłam w domu list Pani Ojca pozostawiony u nas w ten pamiętny wieczór. Tata nie wiedział, co się z Państwem stało. Sądziliśmy, że wszyscy zginęli. Wspominaliśmy Was czasem i opiekowali się listem. Po zakończeniu wojny, za czasów Stalina, nie było szans na znalezienie jego adresatów, relacje z tak zwanym Zachodem były dla szarych ludzi niedostępne. W 1959 roku zmarł mój Ojciec, a ja wyszłam za mąż i przenieśliśmy się do Gdyni.*

*Mama pozostała w Wieliczce, potem zamieszkała ze mną. Tak mijały lata.*

*W 1981 roku przyjechałam do USA na ślub koleżanki w Bostonie, ale stan wojenny zatrzymał mnie tam przez dziesięć miesięcy, w czasie których musiałam podjąć jakąś pracę, aby nie być dla przyjaciół ciężarem. Wówczas w Nowym Jorku los zetknął mnie z Panem Oskarem Schenkerem, którego żona, po przebytej chorobie, potrzebowała doraźnej pomocy w domu. Moja znajoma Polka z Nowego Jorku przedstawiła mnie Panom Aleksandrowi i Oskarowi Schenkerom i gdy Pani wróciła ze szpitala, zatrudniono mnie. Ponieważ Pan Oskar znał Kraków i Wieliczkę, zgadaliśmy się na temat wojny i różnych znajomych osób – padło też Państwa nazwisko. Zrelacjonowałam całą tę historię, nie kojarząc jednak nazwiska Pana Oskara Schenkera z adresatem listu, o którym opowiadałam. Nie zdziwiłabym się nawet, gdyby moja opowieść wydała się im nieprawdziwa. Po powrocie do Polski poprosiłam Mamę, żeby wydobyła list z rodzinnych archiwaliów. Jakież było moje zdumienie, gdy w nagłówku ujrzałam nazwiska Pana Schenkera i jego brata! Z realizacją misji musiałam jednak czekać na stosowną chwilę, która nastąpiła dwa lata później, gdy znów los zawiódł mnie do Ameryki,*

*na Alaskę. List zabrałam ze sobą, a jego kopię przesałam Panom Aleksandrowi i Oskarowi. Również i ich zdziwienie nie miało granic, wszyscy byliśmy wzruszeni (rozmawialiśmy, niestety, telefonicznie).*

*Piszę do Pani niezwłocznie po otrzymaniu od Pana Aleksandra Pani adresu, gdyż zgodnie z życzeniem Panów Schenkerów pragnę jak najszybciej ów cenny dokument Pani doręczyć.*

*Droga Pani Mario, proszę wybaczyć nieforemne i pospiesznie sklecone zdania, ale po prostu się spieszę. Jeśli zechciałaby Pani nawiązać ze mną kontakt, poniżej załączam adres. Pragnę również prosić Panią o powiadomienie mnie, czy list Pani rodziców dotarł do Pani rąk, o co prosiła też moja Mama. Łączę dla Pani dużo serdeczności i oczekuję wiadomości.*

*Wiesława Wajdowa  
University of Alaska  
Fairbanks, Alaska 99701, USA*

**Moi rodzice pisali do braci Schenkerów:**

*(Nowy Jork, Fabryka Czekolady)*

*Kochani Kuzynowie!*

*Piszę do Was w tragicznej chwili naszego wysiedlenia. Córkę moją Marysię ulokowałam*

*u znajomych. Bóg z nią! Gdyby nas po wojnie nie było, zaopiekujcie się nią! Bądźcie zdrowi i pamiętajcie o niej!*

*Heńka Perlberger  
25 VIII 1942 rok*

*Moi bardzo Kochani!  
Nie mogę w tej strasznej chwili pisać. Błagam  
Was tylko, byście o ile możliwości odszukali i zajęli  
się moim jedynym dzieckiem.*

*Śmielek*

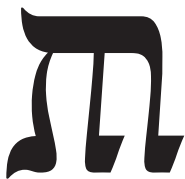
**W taki oto sposób, tyle lat po wojnie, z cizy jak z zahibernowanego kokonu wykluła się ich obolała miłość.**

Historia Marii Perlberger-Shmuel.



זא  
בא  
שא





atka moja, Lusia Hornstein, miała dziwny akcent. Była to jakaś bezkątna, soczysta mowa. Jednak to, co matczyne, z natury swej posiada właściwości tkliwe. Zestarzejesz się, a głos, zapach skóry i wszystko, czym nasiąknąłeś od stanu płodowego, wyda ci się dobre i pożądane. Dlatego akcent matki traktowałem jak jej dłoń czy podbródek. Z innych odmienności: nie lubiła żółtego, a ludziom zwykle się ten kolor podoba. Poza tym nasza rodzina mieściła się w *american style of life*, z *fine* na ustach, owym zaklęciem świata pomyślności i sukcesu, i przywartym do niego białozębym uśmiechem.

Pewnego dnia, siedem lat przed swą śmiercią, matka rzekła: – Jestem z Europy Wschodniej. Z Polski.

Z moich kolan zsunęła się gazeta. (Jej szelest był chropawy, suchy, jakby wypełniony opadłym listowiem). Oto, co ukrywała:

Uciekiniarka z lwowskiego getta, do Warszawy przedostała się na fałszywych papierach. Tak znalazła

się po nieoznakowanej, aryjskiej stronie. Oznakowanych żółtymi gwiazdami na ramieniu Niemcy otoczyli murem getta. Po ucieczce Lusie Hornstein wiele razy spozierała na swe ramię, upewniając się, że nie ma tam żółtej plamy. Niekiedy ulegała wrażeniu, jakby rękaw ciemnego płaszcza zażółcił się – wtedy przyspieszała kroku, aby umknąć z otwartej przestrzeni. Lokum, które wynajmowała wspólnie z kilkoma osobami (wszystkimi na lewych dokumentach) mieściło się w solidnej kamienicy z elementami art déco ze złoczonego brązu – świadectwie przywiązania do wykwinutu – i szarpanymi dziurami po ostrzale – dowodami grasującej śmierci. W mieszkaniu był jeszcze kot (któż wie, jak się przyplątał), młody, szary – byt na wskroś na jedno i drugie obojętny. Mieszkanie należało do oficera polskiego podziemia o imieniu Zbigniew. (Choć być może innym; kamuflaż jest ojcem konspiracji, a jego matką blaga). Przed świętami Bożego Narodzenia przyniósł swym lokatorom folię, papier i ścinki tkanin. Sporządzili z nich ozdoby choinkowe, które sprzedawano w strefie nieoznakowanych. Między świętami żyli z papierosów. Pewna właścicielka kiosku *tabacco* zaopatrywała ich w tytoń, który całymi dniami upychali w gilzy. Zdarzało się, że upadnie jakiś papieros i turla się po podłodze, a kot rzuca się za nim w komiczną pogoń i Lusie Hornstein myśli: jedyne bezkrwawe łowy w Warszawie.

Mieszkanie opuszczano niezwykle rzadko. Jednej niedzieli dwoje lokatorów zakomunikowało pozostałym: – Wychodzimy.

Dzień, jak to bywa z niedzielami, chadzał w naftalinowej woni i miał koloryt pomarańczowy, a jeśli tak się tylko wydawało, to znaczy, że też brał udział w maskaradzie.

Lusia Hornstein, która podążała z towarzyszącym jej konspiratorem pod wskazany przez Zbigniewa adres, by przekazać zamelinowanym tam rozkazy podziemia, zastanawiała się, czy jej kroki, z trudem trzymające się umiarkowanego tempa i zbyt niecierpliwie uderzające o bruk, z dostateczną wiarygodnością wczuwają się w rolę niedzielnych spacerowiczów, skłonnych okupacyjną rzeczywistość zasnuć wonią naftaliny i owym pomarańczowym całunem świątecznego popołudnia. Zadanie wypełniono jednak bez przeszkód.

Wracali przed szóstą. Dachy grzęzły w dymach. Chwackie skrzydła wróbli rajcowały w ocalałych, studziennych podwórzach miasta. Nagle męczyzna w kapeluszu i kraciastej marynarce wyłania się z bramy kamienicy ze sztukaterią art déco i zachodzi im drogę: – Jesteście Żydami. Oddam was gestapo. – To mieszkający w tym samym budynku Polak. Zajmował się handlem. Pod jednym okiem miał znamię, które wyglądało jak czarna łąza.

Towarzysz Lusi Hornstein czyni taki gest, jakby chciał klepnąć Polaka po plecach. – Chodź z nami na drugie piętro – proponuje. – Mam trochę pieniędzy, dogadamy się. – Poszli.

– Zamknęłam się w łazience z Krzysią – opowiadała z tym dziwnym akcentem Lusia Hornstein siedem lat przed śmiercią. Z Krzysią, w ukrytej tożsamości Deborą, wspólnie działały w podziemiu. Los Krzysi spełni kiedyś funkcję katalizatora czasu. A teraz we dwie nasłuchują z łazienki, co dzieje się w mieszkaniu. W największym pokoju, w ciemności, mężczyzna w kraciastej marynarce wyjmuje rewolwer i grozi: – Zastrzele was.

Raptem pokój zalewa snop światła – wygląda to, jakby obecni tam zawisli na białym ostrzu w czarnej zapadni. – Ręce do góry! – słycać rozkaz od strony sforsowanych drzwi. Tupot ciężkich butów, sucha, mączna konsystencja bezdechu, błysk kocich ślepiów, lśnienie kolb zlewają się w jeden stop, w bryłę, którą rozszczepia głos gestapowca: – Kto tu ma broń?

Mężczyzna w kraciastej marynarce zdążył schować rewolwer, lecz Niemiec znajduje go od razu i dokonuje się wstępny akt kary: ciosy, zadawane jeden po drugim przez innego z tajniaków, płamią kraciastą marynarkę krwią. Jej bryzgi przędą się po podłodze ku wyjściu i dalej, po stopniach klatki schodowej, aż do policyjnego samochodu. Dowodzący

Niemiec tymczasem przeszukuje mieszkanie (koci ogon, który wystaje spod kredensu, jest jak skrawek cienia odłupany od całości), wali w drzwi łazienki: – Wychodzić!

Lusia Hornstein i Debora-Krzysia dołączają do pozostałych lokatorów skupionych w kręgu światła. Palce gestapowca z ostentacyjną pedanterią przekładają kartki trefnych kenkart. Lusia Hornstein wie, że jej zakupiona tożsamość polskiej katoliczki z Wilna odeń się od niej pod wpływem dociekliwych pytań.

(Jedynie tożsamość wyparta nigdy się ciebie nie wyprze, jej cechą jest śmiercionośna wierność, przylegająca do właściciela w zajadłym uścisku tkanek, w gorączkach tęsknoty).

Już, jej kolej. Gestapowiec siedzi na krześle, wyciąga rękę po dokumenty i przygląda się podającej śledczym, ołowianym wzrokiem. Nagle mały, szary kot, wydobywszy się spod kredensu, wskakuje mu na ramię, muska ogonem ucho. Zaczynają się pląsy kociego ogona i ludzkiej dłoni. Kompozycja zgięć, wypukleń i wygięć zwierzęcego grzbietu, pod batutą których ręka człowieka wykonuje partię uległej kochanicy. Z drugiego ramienia z cichym pobrzękiem zsuwa się broń i gestapowiec odkłada ją machinalnie – mocny akord orkiestrującego tła, odnotowany przez znieruchomiałą widownię. Kot jak dzięcioł wczepia się w poły munduru, by za chwilę zsunąć się

na kolana nieznajomego i rozłozyc tu swój swawolny brzuch, a potem chwytac się guzików i szarpać nimi zajadle. Hasanka na zaminowanym polu. Zabawa w kotka i myszkę z odwróconym przydziałem ról. Gestapowiec wybucha śmiechem – salwy śmiechu zataczają się w przestrzeni grubym brzemienym tonem i wygasają pulsacyjnie. Nie wiadomo, jak długo – to czas na manowcach. Palce Lusi Hornstein ściskające dowód nabytej tożsamości są pergaminowe i drętwe. Gestapowiec głaska kota i kiwa głową na stojącego obok kamrata. Szczęk żelastwa sygnalizuje, że dalszego ciągu nie będzie. Melanż finalnych chrzestów, szorowań, skrzypień milknie za drzwiami jak za kurtyną – klatka schodowa niesie ich wygasające echo. Kot przysiada na podłodze, wpatruje się w drzwi, jakby upewniał się, że to kres zabawy, a potem daje nura w ciemność.

– Poszli – szepce ktoś z niedowierzaniem. Nabyte tożsamości, rozrzucone po stole, z wolna wracają do portfeli i toreb.

– Trzeba uciekać – odzywa się Zbigniew. – Ten handlarz na przesłuchaniu nas wsypie.

Pakują się, skrętnie, szybko. – Co będzie, to będzie. Ja nigdzie się nie ruszam – komunikuje Lusja Hornstein.

– Ja też – dodaje Debora-Krzysia. – Przecież nie mamy dokąd pójść.



Niebawem wybuchło polskie powstanie i poszły walczyć. Gdy padło, uciekały kanałami ściekowymi, potykając się o trupy. Niemcy czyhali przy włączach i dobijali żywych. Nabyte i ukryte tożsamości, pojednane, barwiły ziemię na czerwono i w ciemności, zwłaszcza deszczowej, brodzącej w kałużach błota Lusi Hornstein zdawało się, że zanurza stopy w gęstej krwi.

Raz, kiedy trzymając się za ręce, przedzierały się przez ruiny, spadła bomba. Krzysię rzuciło w jedną stronę, Lusię Hornstein w drugą. Przywaloną po szyję gruzem, ledwie przytomną, odkopali ludzie. Debory-Krzysi nie znaleziono – tylko strzępy jej pisanego po polsku pamiętnika, który niosła w plecaku. – Czysty zbieg okoliczności, że ja upadłam na tę stronę, a ona na inną – powtarzała Lusie Hornstein. – Czysty zbieg okoliczności, że wtedy w mieszkaniu na drodze gestapowca stanął kot.

W rezultacie owych zbiegów okoliczności nadpalony dziennik Debory-Krzysi, przez dziesięciolecia przechowywany przez moją matkę Lusię Hornstein w tajemnicy, ja, jej syn Frank przekazałem Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie. W taki sposób ukryta tożsamość Debory dokonała transferu w czasie.

W 2013 spisaną relację z wojennego losu Lusi Hornstein, tę, którą usłyszałem siedem lat przed jej śmiercią, dostarczyłem do Muzeum Powstania

Warszawskiego, na skutek czego szary kot wertuje karty historii.

Historia Lusi Hornstein, zmarłej w 1998, opowiedziana przez jej syna Franka Hornsteina, członka Izby Reprezentantów stanu Minnesota w USA, podczas jego podróży do Polski.

FA  
BRV  
KA



**Z**aczyna lać, wałą pioruny, wydaje się, że z głębi ziemi, że to ona, nie niebo, się rozstępuje. Strzelanina ustała, widać Niemcy umknęli przed burzą do budynku. Zostałem pod trupami. Przemyka mi przez głowę, że jak wrócą, to zasypią tę jamę i mnie półżywego, dlatego teraz, kiedy ich nie ma i noc osłania miejsce zbrodni, muszę się wydostać. Pokonuję opór sztywniejących ciał, wdrapuję się ku górze po cudzych ramionach, głowach, kończynach. Dostrzegam już obmyte deszczem, lśniące w ciemności liście niedalekiego zagajnika, uciekam. Nie ma dnia, żeby ta scena nie wracała do mnie, jedyne go Żyda, który wydobył się z tego grobu.

Cała moja rodzina przeżyła. Młodsza siostra mieszka koło Tel Awiwu, braciszek po wojnie osiadł w Argentynie i nigdy nie odwiedził Izraela. Tu umarli rodzice, ojciec dawno temu na serce, mamie obiecywałem wielkie przyjęcie na stulecie, ale spodobało się jej opuścić ten świat w wieku lat dziewięćdziesięciu

dziewięciu. Przypadki splecione w sieć ocalenia kroczyły z nami przez zamęt.

Naszą ojczyzną od zawsze była Jagielnica, mała miejscowość w pobliżu Czortkowa, niedaleko Tarnopola. Ojciec pracował w lwowskiej firmie, która wytwarzała konstrukcje żelazne wykorzystywane na budowach. Traf chciał, że z ramienia tego przedsiębiorstwa zatrudniono go przy stawianiu bloków mających służyć obróbce tytoniu w fabryce w naszej Jagielnicy. O, wielka była ta tytoniowa fabryka – pracowała w niej cała okolica. (W Polsce państwo miało na tytoń monopol i wszyscy, którzy go uprawiali, musieli odsprzedawać zbiory). Kiedy budynki stanęły, zaproponowano ojcu, aby sprawował nad nimi nadzór techniczny. Do monopolu z reguły nie przyjmowano Żydów, więc uznaliśmy to za wydarzenie.

W czerwcu 1941 we Lwowie kwitły drzewa akacjowe – ich mdlący zapach wił się w gardle, w płucach. Byłem w szkole, gdy rozniosła się wieść o wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Z czterema kolegami, których rodzice, jak moi, mieszkali ponad dwieście kilometrów od Lwowa, postanowiłem nie czekać na Niemców i wyruszyć w kierunku domu. Ledwie zdążyliśmy dojść do Złoczowa, a otoczyli miasto – Niemcy preferowali taktykę okrążania miast – dlatego nie mogliśmy opuścić jego granic. W Złoczowie zatrzymałem się u wujka.

Trzy dni później, po ciężkim bombardowaniu, wkraczają. Strach, panika, woń akacji pożarły dymy pogorzeliisk. Za oddziałami wojskowymi przybywa jednostka SS. Na ulicach pojawiają się obwieszczenia: nazajutrz o ósmej rano wszyscy Żydzi mają zgłosić się do pracy na placu Magistrackim, a ci, co się nie stawią, zostaną rozstrzelani. Nie możemy uwierzyć: jak to? nie przychodzisz do pracy i kula w łeb? To niedorzeczne, pukają się w czoło jedni, niektórzy przestrzegają, że to pułapka. My z wujostwem zostajemy. Rano, około wpół do dziesiątej, walenie w drzwi – nie otwieramy, ale oni je wyważają. Wpada esesman i dwóch Ukraińców, jeden z nich krzyczy: – Żydzi, prawda?! – Setki Ukraińców zadeklarowało pomoc Niemcom w wyłapywaniu Żydów, bo tylko oni, będąc sąsiadami, wiedzieli, kto jest Polakiem, a kto nie. Wygarniają nas na ulicę, a tam już masa innych, prowadzonych w ten sam sposób, płynie w niewiadomym kierunku pospieszną, płochliwą falą. Ciotka przeczuwa, że wloką nas na peryferie, do zamku – bo w szesnastowiecznym siedlisku Sobieskich, wystającym ponad Złoczów stożkowatą, łagodną czaszą centralnej kopuły, Sowietci urządzili więzienie NKWD.

Zbliżamy się, ustawieni w kolejce Żydzi posuwają się z wolna ku wrotom otwierającym więzienne podwórze. Przy wejściu, po obydwu stronach, Niemcy solidnymi pałami okładają każdego wchodzącego,

ile sił – jestem już niedaleko, widzę, jak ludzie kryją w ramionach głowy, zasłaniają rękami twarze. Drżę, ale prostuję plecy, zamykam oczy i czekam na ciosy. Mija sekunda, dwie, trzy i nic nie czuję oprócz rozdzierających skronie werblowych uderzeń własnego tętna. W końcu słyszę: – Biegnij naprzód! – i błyskawicznie pnę się po schodkach, które prowadzą na dziedziniec. Dlaczego nie zostałem pobity, nie wiem – może przez te wyprostowane plecy?

Podwórce, obrzeżone budynkami, niemal w całości zajmuje gigantyczna, wypełniona trupami jama. Żydzi, którzy dostali się tu przede mną, chodzą po nich, udeptują, wyciągają i przenoszą na krańce dołu, skąd inni dźwigają je w kierunku ulicy i ładują na podstawione furmanki. Wskakuję do jamy i też ciągnę trupa – tak do wieczora. – Ruscy – wyjaśnił mi jeden starszy Żyd, który też ciągnął. Sowietom zabrakło czasu, żeby wyekspediować wszystkich pojmanych – Ukraińców, Żydów, Polaków – na Sybir, więc ich wystrzelali.

Po zmierzchu dwóch esesmanów biegnie w pobliże jamy, otwierają ogień z karabinów maszynowych – błyski omiatają ciemność. Wtem coś gorącego i piekącego zaczyna pełznąć mi po boku, to jasne, oberwałem, ale w tej chwili czyjeś spadające ciało spycha mnie w głąb dołu – po kilku sekundach jestem już przykryty zwłokami. Podniosę się, muszę się podnieść tylko po to, żeby dostać kulę, nie być pogrzebanym



zywcem – natężam się, wysilam i... tracę przytomność. Gdy ją odzyskuję, próbuję jeszcze raz, i znowu. Wtedy rozlegają się te grzmoty jak z podziemia, z podskórnego piekła, a może z dna tej wysłanej trupami jamy i ulewa wygania Niemców do budynku, a ja wydostaję się na skraj i uciekam – jedyny Żyd ocalały z grobu.



Ranny, przemykam ciemnymi ulicami do mieszkania ciotki – bo poprzedniego dnia Niemcy puścili kobiety wolno, jama nie pomieściłaby więcej trupów. Ciotka histerycznie krzyczy – ktoś widział, że mnie zastrzelili, a ja tu stoję we krwi, żywy. Lecz po dwóch tygodniach zdecydowałem, że Złoczów opuszczę. Miasto uginało się od plakatów z zakazami dla Żydów: nie wolno poruszać się bez opaski z gwiazdą Dawida, nie wolno tego, nie wolno tamtego – nie mogłem się z tym pogodzić, wiedziałem, że prędzej czy później wpadnę i zabiją mnie. – Pójdę do Woroniaków – oznajmiłem ciotce. To nieodległa wioska, cicha, zabita dechami, człowiek tam, pomyślałem, nie będzie musiał na każdym kroku się pilnować.

Ruszam więc, a po drodze zagaduje mnie chłopak podążający w tym samym kierunku. Rano sprzedawał na targu jarzyny, teraz wraca. Jak usłyszałem, że Polak, aż mi się chciało zawołać „Panie Boże, łaskawys!” – bo w Woroniakach mieszkało dużo Ukraińców – i opowiadam mu, żem ze Lwowa i że bomba

zniszczyła mój dom, bliskich grzebiąc pod gruzami, dlatego tymczasowo szukam pracy w wiosce, w gospodarstwie. On na to, że przydam się u nich, gdyż jako jedyny syn roboty ma w nadmiarze. I tak nająłem się w tej rodzinie do żniw, a oni traktowali mnie niby drugiego syna. Wołali mnie, zgodnie z tym, jak się przedstawiłem, Seweryn (bo jestem urodzony pierwszego stycznia, a dowiedziałem się, że w zwyczaju katolickim wypada chrzczyć noworodka ósmego dnia imieniem świętego z kalendarza).

Kłosa tego lata były pełne, ziarna jędrne, ziemia gorąca, wschody rzeńskie, rosiste – i wszystko to jakby oddzielne wobec tego, co się działo, obojętne, także wtedy, gdy w wiosce pojawiła się pogłoska, że ten Seweryn, co z kosą po polu Walczaków lata, to Żyd. Zapowiedziałem gospodarzom, że nazajutrz w pilnej sprawie jadę do Lwowa i tej nocy nie spałem już w chałupie, tylko w szopie na podwórzu – a przez szczelinę w deskach zaglądało granatowe niebo i jedna jaskrawa gwiazda.



Zjadłem ostatnie śniadanie: grysik, czyli kaszkę z dodatkiem masła i pół litra mleka – bardzo to lubiłem – i tak pożegnałem się z Woroniakami.

Chciałem dotrzeć do rodziców, którzy otrzymywali ode mnie kartki bez adresu zwrotnego, więc wiedzieli, że żyję. I znowu przez przypadek, jakby Bóg ją zesłał, spotkałem na swej drodze ciężarówkę zmierzającą

do Jagielnicy. Przyjechaliśmy już w ciemnościach, wysiadłem. Jakies pięć minut od domu słyszę: – *Halt!* – Staję, dwóch ukraińskich policjantów, przeklinając, wygraża w moją stronę: – Jak śmiesz, skurwysynu, po godzinie policyjnej ulicami chodzić! – Struchlałem, u mnie w wiosce nie było policyjnej godziny, tylko zachody i świty. Wracam z daleka, wyjaśniam, i jak mnie puszczą, za chwilę będę u siebie. Jeden nieznacznie kiwa głową, więc ruszam, ale drugi chwytą mnie za rękę: – Tak łatwo się, bratku, nie wywiniesz, pięć złotych kary zapłacisz na posterunku. – A mnie w gwałtownym przeczuciu robi się przed oczami czarno. Znałem ten budynek, kiedyś to był żydowski dom, teraz ci dwaj wprowadzają mnie do środka, kierują do stołu, na którym nie zdążam położyć pieniędzy, bo ktoś krzyczy z kąta: – To Żyd! – Nie wyglądałem jak Żyd, ale ten, kto woła, wie, doskonale wie, kim jestem, bo to Dermański, Ukrainiec, rówieśnik ze szkoły powszechnej. – Gdzie twoja opaska? – jakiś typ raz i drugi zdziela mnie pięścią w twarz, inny powala i kopie, znów widzę gwiazdy, lecz nie takie, jak w Woroniakach – tamte były chłodne, te parzą i kłują powieki. Biją mnie i biją, jestem pewny, że zabijają, w końcu zrzucają ze schodów do piwnicy. Ociekam krwią, tak opuchłem, że prawie oślepiłem. Leżę na klepisku, otępiały, gdy raptem ktoś otwiera piwniczny skobel i wylewa na mnie wiadro wody, a ta działa ożywczo, jak zapalnik uwalniający

energię wybuchu, która prostuje moje nogi i każe im w furii biegać naokoło ścian. Nagle dostrzegam małe okienko pod sufitem, podciągam się tam, wymacuję żelazny szczebel, zeskakuję, muszę wytrzeć twarz, wsuwam dłoń do kieszeni spodni i... znajduję swój skautowski scyzoryk – no tak, zapomnieli mnie przeszukać, od razu zabrali się do bicia. Zaczynam obmacywać drzwi, na obrzeżu futryny wyczuwam coś niby wygięte gwoździe – to jasne, że wspierają podkówkę, która podtrzymuje wiszącą na zewnątrz kłódkę. Teraz trzeba te gwoździe podpiłować scyzorykiem; nie wiem, jak długo piłuję, parę godzin pewnie, aż kłódka wysuwa się ze skobla, pociągając ze sobą kawałek przylegających do niego drzwi. Wydostawszy się na zewnątrz, ten wycięty fragment z kłódką wciskam z powrotem, by nie domyślili się, że w środku nikogo nie ma. Potem wspinam się na górę, do pokoju, w którym mnie katowali, i próbuję przekręcić klucz w głównych, dzielących mnie od ulicy drzwiach, lecz klucz utyka, nie drgnie ani w tę, ani w tamtą. No to otwieram okno, staję na parapecie, grunt wydaje się odległy, zawisły w otchłani, też wiszącej w niezmierzonej ciemności – dlatego skaczę, bo to jedyne, co jawi się pewne: ta czeluść przygarniająca, wabiąca schronieniem, i – ocalały – biegnę do domu, delikatnie pukam w okno, żeby nie wystraszyć rodziców, bo jest trzecia nad ranem. A oni na widok mojej krwawiącej, nabrzmiałej gęby w płacz,

lament. Z początku chciałem tylko coś zjeść, zaspokoić pragnienie i powędrować dalej, jednak zmieniłem zdanie – przecież szubrawcy i tak przyjdą, zaaresztują rodziców, żeby zmusić mnie do powrotu – zostałem. Zasnąłem natychmiast najgłębszym z możliwych snem, który niczego nie roi, nic nie pamięta, jakby zanurzył się w niebycie, wrócił do przedistnienia. Wydobywały mnie stamtąd, powoli, uporczywie, uderzenia w plecy.

Otwieram oczy, w pokoju przejrzysta jasność letniego poranka, nade mną dwóch Ukraińców, tych samych, co wczoraj zgarnęli mnie z ulicy. Przed posterunkiem tłum, bo już rozeszło się po miasteczku, że jakiś Żyd uciekł policji, i wyczekuje ciągu dalszego. Komendant (jedeny, który mnie nie bił) zaprasza, żebym usiadł w pokoju (dlaczego on taki uprzejmy? co tu się dzieje? – zachodzę w głowę), zamyka drzwi na klucz, zapala papierosa: – Chłopaku, nikt cię więcej nie ruszy, tylko przyznaj się, jak tyś stąd wyszedł. – Dym wije się leniwie i oblepia sztukaterię pod sufitem, ja się wije, gdy opowiadam, jak to ktoś w nocy odblokował kłódkę i kazał mi iść wolno, a komendant zrywa się z krzesła, chwytając mnie za kark i ryczy: – Prawdę, gówniarzu, gadaj, nie bajki!

Boję się. Przysięgam, że nie jestem przestępcą, a oni chcieli mnie zabić, więc zebrałem resztkę sił i wyszedłem, lecz przecież nie uciekłem, bo uciekać nie mam przed czym. On wlepia we mnie baczny wzrok i odzywa

się po ukraińsku: – Ty mi się, łobuzie, podobasz. – Potem wzywa policjanta i poleca mu, żeby zszedł na dół i przyniósł ten kawałek drewna dla niepoznaki wciśniętego w piwniczne drzwi. Dopiero gdy to drewno zobaczył, uwierzył.

W piwnicy siedziałem jeszcze dwa dni, a później zwolnili mnie pod warunkiem, że będę się meldował trzy razy dziennie. Tak zaczęło się moje życie jako Żyda, Żyda, co wydobył się z grobu, obóz pracy tu i obóz pracy tam, ucieczki. W obozach nie instalowano pieców krematoryjnych i gazu, jak w Oświęcimiu, ale codziennie zabijali mnóstwo ludzi – strzelali, wieszali. Okolice była usłana obozami, z największego – sto kilometrów od Tarnopola, pięćdziesiąt od Lwowa, położonego w Kamionce – też uciekłem. Znajdowali mnie, bo trudno cały czas tkwić w lesie, a tam, gdzie bór nie chronił pomroką, denuncjowali Ukraińcy: – To Żydek.



Ojciec nadal pracował w Jagielnicy, w fabryce. Na drugi dzień po tym, jak przejęli ją Niemcy, posłali po niego. – Jeszcze w Krakowie o panu słyszałem – przywitał się z nim Ludwig Semrad, ożeniony z Polką z Krakowa Austriak, który zarządzał teraz fabryką. – Nie obchodzi mnie, że jest pan Żydem, proszę wykonywać obowiązki jak dotąd.

Kiedy zaczęły się akcje, za sprawą Wandy Semradowej jej mąż przyjął też do fabryki moją matkę, siostrę

i brata – pracowali przy sortowaniu tytoniu. Wieczorami wracali do pobliskiego obozu, by o świcie stawić się w zakładzie. W końcu Semrad zezwolił, żebym dołączył do nich i ja.

Pracowaliśmy więc, nieświadomi, gdzie jest front, karmiąc się jedynie pogłóskami, że Rosjanie kroczą naprzód. Polakom i Żydom zabraniano słuchać radia, a ja chciałem wiedzieć – nie ma innego sposobu na taki głód, tylko się dowiedzieć. Wyrobiłem sobie złodziejski klucz-wytrych, ustawiałem się dyskretnie w pobliżu budynku, w którym kwaterowali Niemcy, i obserwowałem, kiedy kto opuszcza fabryczny teren, wtedy wbiegałem do jego mieszkania i szukałem radia Londyn. Potem zachodziłem do Władka Kowalowa, Polaka, i przekazywałem wieści.

Znałem go sprzed wojny, ze szkoły mechanicznej we Lwowie, z warsztatów, z głupich chłopięcych gadek o dupie Maryni, z łazęg nad rzekę Pełtew, w której, nadając jej kolor, topiły się połacie nieba. To był nadzwyczajnie porządny gość. Przyjaźnił się z miejscowym księdzem, napiętnowanym przez niemieckie władze. Gdy księżda wyrzucili z plebanii, dał mu u siebie schronienie. W czasie okupacji też znalazł się w Jagielnicy, wszędzie razem się prowadzaliśmy. Pewnego wieczora pojawił się u mnie z poszukiwanym przez Niemców oficerem AK, uciekinierem z Warszawy, któremu Wanda Semrad załatwiła pracę w fabryce.

– Mów, Shlomo – niecierpliwił się oficer. Ciekawiło go, skąd mam bieżące wiadomości. – Nie pytaj, a dwa, trzy razy w tygodniu dostaniesz przegląd tego, co się dzieje. – I robiłem tak prawie do końca wojny.

W międzyczasie wpadłem na kolejny pomysł. – Postaraj się o rewolwer – poprosiłem jednego z przyjaciół w fabryce, byłego oficera Wojska Polskiego. Zbaraniał – broń u Żyda, rzecz niewyobrażalna, oznaczała przepustkę do podwójnej śmierci. Spojrzeliśmy na siebie, bez uśmiechu, grymasu, drgnienia – zrozumiał. Nazajutrz, zamknięci w fabrycznej toalecie, dokonaliśmy transakcji: wyjąłem pieniądze (wszystkie, jakie miałem), a on rewolwer FN kaliber 9 mm. Naładowałem go. Od tej chwili nie rozstawałem się z nim – byłem chudy, chowałem go pod paskiem. Ja, Żyd, który wydobył się z grobu, nie wierzyłem, że pozostanę przy życiu i nie chciałem oddać się za darmo – postanowiłem, że ten, kto po mnie przyjdzie, zapłaci swoim życiem. Rewolwer odegra rolę obrońcy, sędziego i kata.



Ludwig Semrad i Wanda pozwolili nam, Żydom, mieszkać w przyfabrycznych barakach, dlatego nie musieliśmy co wieczór wracać na noc do obozu. Któregoś ranka 1943 słyszemy strzelaninę, to jasne, Niemcy likwidują obóz. Niebawem do baraków przedostają się chmary uciekinierów. Co robić?, pytają mojego ojca.



Z fabryki wyjść nie zdołamy, orzekł, ale możemy ukryć się w rurze kanalizacyjnej. I zaczęliśmy po kolei truchtać do toalet, skąd tylko krok do kanału z betonowym włazem. Odsunęliśmy go. Wewnątrz przymontowana do ściany metalowa drabinka umożliwiała zejście w głąb – schodzimy gęsiego, ja zostaję, żeby przykryć właz (stawiam na nim jakąś rozlatującą się ławeczkę), potem przemykam przez fabryczne podwórze, by dotrzeć do okalającego je muru, nie zważam na robotników pierwszej zmiany, którzy właśnie zmierzają do swych oddziałów, jak kot pnę się na szczyt, skaczę i wpadam w białe objęcia lasu – śnieg pokrył runo.

Przed nocą wracam do fabryki, chcę się upewnić, czy nie pochwycili moich. Przeskakuję mur i trafiam prosto w ręce dwóch Polaków, wartowników fabrycznych uzbrojonych w karabiny. Wiedzą, kim jestem, naradzają się, puszcniają. Widoczne już z daleka światło w oknie baraku poświadcza, że tego dnia Niemcy nie zdołali wyłapać wszystkich. I faktycznie, przy stole siedzi grupa ludzi, żarówka kładzie gorzkie smugi na ich czoła, nosy, brody. – Coś ty nam uczynił – biadolą – coś uczynił. – Co zrobiłem? – przenikają mnie te mroki, aż chłód przebiega po plecach. – Źle właz umocowałem? – Dobrześ umocował, ale cała fabryka rozpowiadła, jak to z karabinem maszynowym zmykałeś.

(Widać, kiedy wspinałem się na mur, kontury pistoletu pod paskiem wyostrzyły się, zolbrzymiały).

– Przyznaj się – wtrąca posepnie ojciec. – Masz broń czy nie?

Raptem otwierają się drzwi. Ci sami wartownicy, którzy mnie zdybali, gdy zeskakiwałem z muru, każą mi iść do Semrada. Pierwszy raz stoję tak blisko niego, ja, chłopak żydowski, co zwiął z grobu, twarzą w twarz z bogiem. – Wiesz, Wołkowicz – odzywa się bóg – gadają, żeś uciekał z karabinem maszynowym, a ja się śmiałem, bo pewnie chodziło o rewolwer.

Na ścianie nad jego głową tyka prosty, drewniany grabarz czasu. (Zegary są jak ludzie: hołubią przemieszanie zwane istnieniem).

– *Herr Generaldirektor*, nie mam broni.

– Nawet rewolweru? – bóg na kartce notesu kreśli ołówkiem figury geometryczne, niespiesznie, spokojnie.

– Ukraińcy różne kłamstwa plotą, niestworzone historie.

Bóg podnosi się zza biurka, ja, speszony, też wstaję. – Oddaj mi ten rewolwer, nic ci się nie stanie – zachęca półuśmiechem.

– Nie mam broni.

– Słowo honoru? – podchodzi bardzo blisko, spuszcza głowę. A jeśli teraz mnie przeszuka, jeśli jednym gestem wyjmie rewolwer zza paska moich spodni? Patrzy tylko jednak, przeciągle, w skupieniu, jakby łowił moje źrenice. Nagle pozwala mi odejść.

Chwytam już za klamkę, gdy rozkazuje mi zawrócić. – Na twoim miejscu też bym postarał się o broń. – Zerka na zegar. – Tej rozmowy nie było. Dobranoc.



Tak mało nas zostało, a Niemcy wciąż likwidowali i likwidowali. Getto już zniknęło, teraz skupili się na obozach. Trzeba było zwiewać. Moją rodzinę przemycili do siebie Konopniccy, Polacy ze wsi Salówka. Konopnicki, przedwojenny znajomy ojca i jego współpracownik, ukrywał ich na strychu, a trochę w piwnicy, żeby sąsiedzi nie nabrali podejrzeń. Wspierał nas też Władek Kowalów i inny znajomy ojca z fabryki, Świżewski.

Niebezpieczeństwo spiętrzało się, ścieśniało. Na pomoc armii niemieckiej w tarapatach posyłano jednostki SS, które mordowały na prawo i lewo, bez opamiętania, w krwawym amoku, w podszytej paniką euforii unicestwiania. Niemcy wycofujący się z Rosji przez Czortków, Jagielnicę i inne miasta w niczym jednak nie przypominali sytych, władczych panisk w odprasowanych mundurach i lśniących butach. Zarośnięci, cuchnący i zawszeni, oplatali okolice trupim oddechem własnego rozkładu. Bóg jednak istnieje, myślałem.



Wreszcie wkraczają Rosjanie. Stoję na ulicy i próbuję pogodzić się z wolnością, z jej dowolnością. Ale nie

mogę. Nie mogę przecież tak stać na głównej miejskiej promenadzie albo po prostu spacerować, zaglądając do knajp, przeczesując na chybcika w szybie kwiaciarni niesforną czuprynę, nie mogę zagrać na placu na organkach, które wyjmuję z kieszeni zamiast rewolweru, nie mogę podejść do dziewcząt w kolorowych sukienkach, szczebioczących na ławce o nylonowych pończochach. Nie mogę nie uciekać. Więc biegnę, biegnę, biegnę tymi ulicami, pędzę jak w narkotycznym transie – wypędzam z siebie niewolę.

Na drugi dzień zaczepiają mnie dwaj rosyjscy oficerowie i pytają, czy wiem, kiedy Niemcy opuścili miasto. Uczyłem się rosyjskiego w lwowskiej szkole, więc opowiadam. – A Żydzi tu mieszkali? – dociekają. – Mieszkali, jam Żyd. – Zdumiewają się: – A nam powiedziano, że wszyscy zginęli – i proszą, żebym wskazał kogoś, kto współpracował z gestapo, to oni go powieszą na pierwszym z brzegu drzewie. Wtedy z naprzeciwka wyrasta Dermański, ten, który zadenuncjował mnie na posterunku. Pan Bóg go podesłał czy diabeł? Wyrasta niby postać z greckiej tragedii, wysłannik nieuchronności, nieodwracalności podążających ku swemu przeznaczeniu zdarzeń. Zbliży się, jest już na wyciągnięcie ręki, wystarczy jedno moje skinienie i już po nim, truchlejącym, ze ściekającymi z czubka nosa kroplami potu – lecz mija sekunda, dwie, a moja dłoń pomału opada. Zaczynam gwizdać jakąś melodię.

Latami będę szukał odpowiedzi, czy uczyniłem właściwie. I tylko niekiedy dziwne westchnienie, podobne do poszumu morza układającego się do snu pod gwiazdną kołdrą, zagłuszy ten dylemat, nadając mu łagodne brzmienie.



Nasz dom – bardzo ładny, do dzisiaj stoi – zajęła ukraińska rodzina. Gospodarz nazywał się Kiszka. Zapewniłem go, że nic do niego nie mam, lecz proszę, by znalazł sobie inne lokum, a tymczasem zwolnił połowę domu dla moich bliskich. Był bardzo przestraszony, zgodził się.

Później Rosjanie zmobilizowali mnie do wojska (jakbym za mało lat walczył z Niemcami) i kolejne dziewięć miesięcy spędziłem na froncie. I zacząłem się zastanawiać, gdzie chcę żyć. Tam – doszedłem do wniosku – gdzie nikt nie wskaże na mnie: to Żyd. Byłem oddalony od organizacji syjonistycznych, mój całkowicie spolszczony ojciec nie interesował się nimi, jednak w końcu wciągnąłem się w myślenie o Palestynie. Dowiedziałem się, że Żydzi z Palestyny, którzy walczyli z Anglikami przeciwko Włochom, założyli dwie organizacje. Jedna nocami przemyciała Żydów do granic, do Marsylii i do Biarritz, a stamtąd do Palestyny, druga skupowała na czarno broń i tam ją szmuglowała. Zgłosiłem się do drugiej, trudniłem się tym procederem trzy lata – gdyby mnie złapali, z dziesięć

lat przesiedziałbym w ciupie. Przyjechałem do Izraela, kiedy trwała wojna wyzwolenicza – ja, Żyd, który wydobyl się z grobu, umiałem już wtedy chodzić, a nie biegać po ulicach.

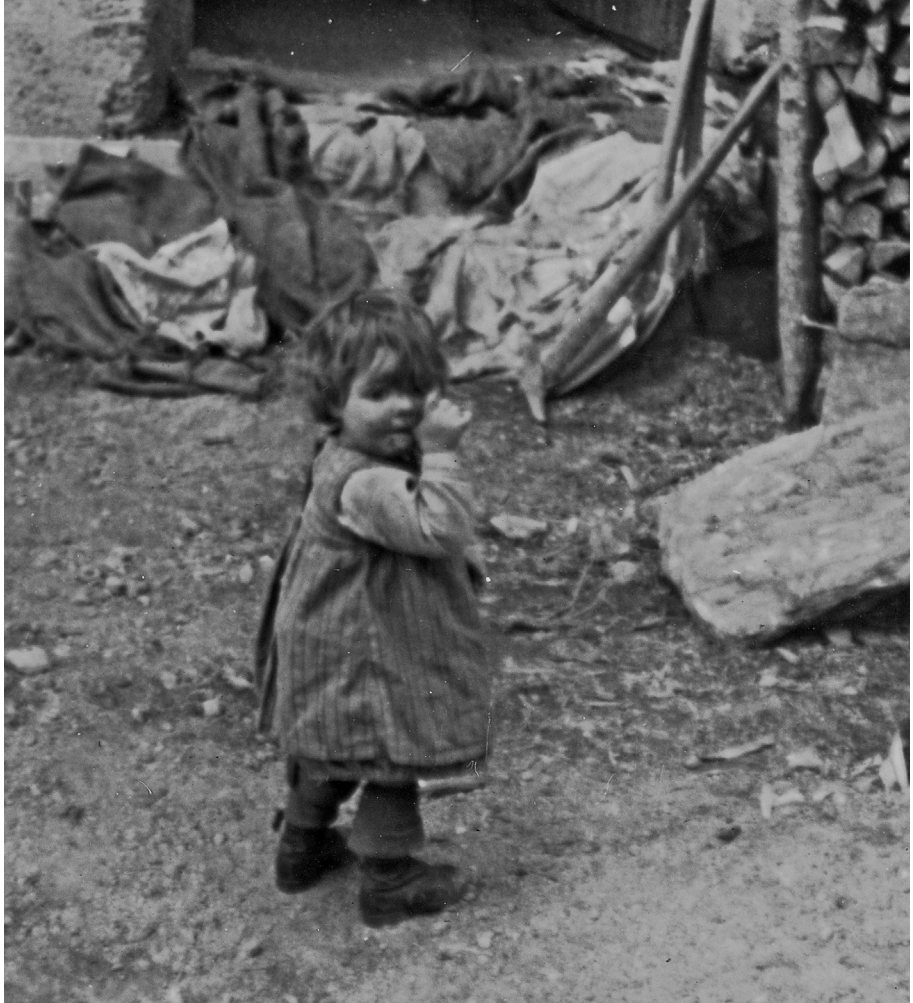


Władka Kowalowa odwiedziłem w Polsce, w Wodzisławiu Śląskim, jeszcze w ustroju komunistycznym. Chciałem zrobić coś dla jego rodziny. Maria, jego żona, napomknęła, że muszą wymienić instalację wodociągową, bo zardzewiały rury, więc zostawiłem w dolarach pieniądze na remont. Władkowi nie dane było już długo żyć.

Oficera, który skombinował dla mnie rewolwer, spotkałem tuż po wyzwoleniu i już nigdy więcej.

Ludwika Semrada i Wandę odnalazłem po 1980 i zaprosiłem do Izraela – dostali medale Sprawiedliwych. Później często przyjeżdżałem do Austrii. Od czasu do czasu odbywaliśmy z Wandą wycieczki. Marzyła, żeby odwiedzić Włochy – pojechaliśmy. Piliśmy wino – z tarasów trattorii zachody staczały się szybko czerwieniejącymi pasmami, pozostawiając szczelinę jedynie tam, gdzie ziemia graniczy z niebem.

Historia Shlomo Wołkowicza, zmarłego w 2014.



Początek 1940–lato 1942 roku,  
dziecko żydowskie w getcie, autor nieznany.



תגב  
הכע  
שאת  
כע



**U**rodziłam się w Winogradzie, cztery kilometry od Buczacza, niedaleko Tarnopola – po rosyjsku nazywało się to *tiernopilskaja obłast*. Tam skończyłam sześć klas szkoły powszechnej, cztery w języku polskim, a potem, kiedy Ruskie przyszły, dwie w ich mowie. Więcej już się nie uczyłam, bo wybuchła wojna.

W domu, w którym rozmawialiśmy tylko po polsku, były nas trzy dziewczynki, ja najstarsza. Moją matkę i czteroletnią siostrę Niemcy zabili w czasie akcji w 1943. Siostra chciała popatrzeć na dmuchawce, jak tknięte podmuchem fruną wysoko, tańcząc. Matka wahała się przez chwilę, potem wzięła małą za rękę i wyszły. Gdy leżały na trotuarze, jedna przy drugiej z rozrzuconymi nogami, biały puch dmuchawców wczepiał się w ich włosy.

Wszystkich Żydów z Winogradu wyrzucili do Buczacza, do dzielnicy żydowskiej. Miałam jasne warkocze i niebieskie oczy, więc poruszałam się swobodnie

po całym terenie, podsłuchiwałam, gdzie się dało: na policji żydowskiej, koło gestapo, zawsze wiedziałam, kiedy planują akcję i wtedy uciekaliśmy do naszej wioski, do Winogradu. Potem opuściliśmy dzielnicę żydowską na dobre – każdy starał się znaleźć sobie miejsce u Polaków. Najpierw wynajęliśmy od jednego pół domu, w drugiej mieszkał gospodarz z żoną i dziećmi. Po sąsiedzku żył ukraiński pop. Dookoła tylko Polacy i Ukraińcy. Jednak po ogłoszeniu Judenrein – czyli, że teren ma być czysty od Żydów – musieliśmy się wynieść.

Poszliśmy na pola. Latem pola są miękkie, pachnące, skowronkowe i pozwalają mościć się w ich wnętrzu jak w gnieździe. Zналиśmy wszystkich mieszkańców Winogradu, wieczorami podchodziliśmy do ich domostw i dostawaliśmy jeść. W deszczowe i zimne noce zakradaliśmy się do ich stajni i obór, a przed czwartą rano, zanim gospodarze przystępowali do obrządku, znów wynosiliśmy się na pola. W żniwa pola tętniły życiem, błysk kos w pełnym słońcu ranił oczy, ludzie wiązali snopki i rozprawiali a to o Niemcach, co za miedzą, a to o Żydach przemykających obrzeżem lasu, a to o strzelaninie słyszanej niedaleko, przywiewanej echem. Po żniwach obnażone pola stały się nieczułe, cierniste i musieliśmy ukryć się w lesie. Siedzieliśmy w jamach wykopanych jeszcze w czasie pierwszej wojny. W listopadzie, kiedy chłopci zabrali

z pół wszystko, co mogli, schroniliśmy się w ziemiance. Po zapadnięciu ciemności, jak zwykle szukaliśmy jedzenia. Najczęściej wychodziła moja siostra, przynosiła chleb, cukier, kartofle.

Nadeszła zima, a wraz z nią mrozy. Przemarznąć do szpiku kości to znaczy nic nie czuć, nawet własnego imienia. Tak marzliśmy. Trzeba było podejść do wioski. I jeden Polak, Wacek go wołali, czterdziesto-, może czterdziestopięcioletni, powiedział wtedy do mojego ojca: – U mnie w stajni będzie wam ciepło, spocznijcie. – Przynosił nam chleb i zupę, którą przyrządzała Michalina, jego żona. Miał kilkoro dzieci i dwie krowy.

Mama nauczyła mnie kiedyś robótek ręcznych, a że chciałam być użyteczna, robiłam na drutach (które były starymi sprychami od roweru) swetry z wełny przez nich przędzonej. Tak przetrwaliśmy około miesiąca. Opuściliśmy stajnię, kiedy podeszły Ruskie. Nigdy już kontaktu z tymi Polakami nie miałam.

Wróciliśmy do Winogradu. Nasz dom stał, ale pusty, obrabowany – przypominał wypatroszony brzuch. Cóż było począć? Podążyliśmy do Buczacza, a z początkiem 1944 postanowiliśmy, że pojedziemy do Krakowa, nie mając pojęcia, że są tam jeszcze Niemcy. W Buczaczu u żydowskiej rodziny została tylko moja siostra, bardzo podobna do Żydówki. – Ja ciebie nie chcę – powtarzałam jej. – Ty tu musisz zostać.

W Krakowie złapali nas jako Polaków, bo ja na aryjskich papierach byłam Zapotoczną Eugenią, choć naprawdę Giselą, a mój ojciec Ajzyk – Zapotocznym Janem, i skierowali na roboty przymusowe do Niemiec. Rozdzielali: kobiety osobno, mężczyźni osobno. Przez całą noc siedziałam z innymi kobietami za ogrodzeniem, a kiedy mieliśmy wyruszać dalej, ktoś mi doniósł, że przy moim tacie stanął pies. Nie wiedziałam, że jak pies stanie koło człowieka, to znaczy: wyczuł Żyda. Żyda można poznać po dużym nosie – tyle mi było wiadomo.

Ojcu kazali wystąpić z grupy. – Nie odzywaj się, udawaj niemowę – zdążyłam szepnąć, gdy przechodził obok. Zabrali go do ukraińskiego popa i polskiego księdza, zawołali też mnie. – To czysta Polka – orzekli duchowni. – Umie się modlić. A skoro ona jest w porządku, to tym bardziej jej rodziciel.

Potem Niemcy zawieźli nas do Wrocławia. Kiedy wyrabialiśmy w biurze *arbeitskarte*, zobaczyłam znajomego Polaka, również Jana. To już koniec, pomyślałam, teraz nas zastrzelą. A on wywołał mnie i wręczył krzyżyk, ładny taki, lśniący, pełen gorliwej, rozpaczliwej nadziei, i do tego książeczkę do nabożeństwa, której kartki pachniały jak przedźniwne pole, pożyczyl mi wszystkiego najlepszego i odszedł.

W Niemczech trafiliśmy do gospodarstwa żołnierza, co jeszcze nie wrócił z frontu. Do ostatniego dnia, dziewiątego maja 1945, tam pracowaliśmy.

Później wyruszyliśmy w powrotną tułaczkę, żeby zabrać moją siostrę. Dowiedzieliśmy się, że przecho-  
wywali ją teraz w Przemyślu, po rosyjskiej stronie. Cze-  
kaliśmy, aż dojedzie do Krakowa. Gdy dotarła, przez  
kilka dni trzymała się blisko ścian, bała się podejść, nie  
poznawała nas. Jej rozwarte spojrzenie długo bodło  
nas w oczy.

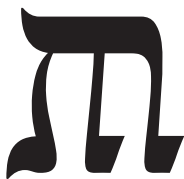
Historia Giseli Schmulowitz, zmarłej w 2014.





תת  
תת  
תת  
תת





oje dzieciństwo oplatały wspomnienia, wysłuchiwane po wielokroć, jak to z pogrzebu brata mojej matki, lekarza wojskowego, który zginął na wojnie z bolszewikami w 1920. Grały mi w głowie werble orkiestry wojskowej, wprawiające w drżenie liście drzew na radomskim cmentarzu, majestatyczne zadęcie trąb, które torowało zmarłemu dumną i prostą drogę w otchłanne zaświaty. Te tony wrosły w moją pamięć niemal czule. Wychowałem się w domu przesiąkniętym kulturą polską, patriotyzm kształtował się we mnie, a także w mojej rodzinie najzupełniej naturalnie, więc choć nigdy nie ukrywaliśmy, że jesteśmy Żydami, stanowiliśmy rodzinę całkowicie lojalnych Polaków.

Urodziłem się w 1928 w Warszawie. Mój ojciec Izidor Tytelman wkrótce zmarł, a po trzech latach matka wyszła za mąż za doktora Bernarda Pilipskiego, który mnie adoptował. Zamieszkaliśmy w Milanówku pod Warszawą, lecz niebawem przenieśliśmy się

do Będzina w Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie ojczym objął posesję w sosnowieckiej Kasie Chorych i w kopalni w Czeladzi, a mnie posłano do szkoły powszechnej w Będzinie z językiem wykładowym polskim. (W tej szkole uczono też hebrajskiego i angielskiego, co później, w czasie wojny i po wojnie, bardzo mi się przydało).

Pod koniec sierpnia 1939 ojczyma powołano do Krakowa, do wojska, jako lekarza – był w randze kapitana. Wojna rzuciła złowróżbny cień na wszystkie nasze rozmowy – podczas jednej z nich zdecydowaliśmy, że przeprowadzimy się do Warszawy, do rodziny ojczyma. I tam zastał nas pierwszy września.

Zamieszkaliśmy u teściów mojej matki przy ulicy Miedzianej, jeszcze w dzielnicy polskiej, dlatego kiedy Niemcy utworzyli getto, musieliśmy się przenieść. Znaleźliśmy lokum przy Waliców, na terenie tak zwanego małego getta.

Tymczasem wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Ojczym po batalii wrześniowej trafił do Lwowa i tu zatrudniono go jako lekarza kolejowego – w ten sposób cudem uniknął zesłania w głąb Rosji. Po wielkich perypetiach wrócił do Warszawy i połączył się z nami w getcie. Pracował tu w żydowskim szpitalu. Wtedy wszyscy starali się o *arbeitskarte*, żeby dowieść swojej przydatności dla wysiłku wojennego Niemiec, więc moja matka znalazła pracę w pralni pod nazwą Leszczyński, przy ulicy Nowolipie czy Nowolipki,

wykonywającej usługi dla Niemców, mnie zaś, mimo młodego wieku, umieszczono w szopie Oskara Schillinga, który znajdował się na terenie szopu Szulca, handlującego wyrobami z drewna, głównie do składanych remiz dla lokomotyw, wykorzystywanych podobno na froncie. Nasza sytuacja w getcie nie była zatem beznadziejna. Lekarze, w tym ojczym, dostawali specjalne przydziały żywnościowe, mieliśmy względnie wygodne mieszkanie (prawie dwa pokoje do dyspozycji), a poza tym udało się nam przemycić do getta nieco oszczędności.

Póki co rodzina, licząc, że Niemcy nie zwrócą uwagi na kręcącego się chłopaka z dobrym wyglądem, posyłała mnie w różne rejony miasta, żebym robił sprawunki czy też kontaktował się z krewnymi mieszkającymi na Muranowskiej. Jeździłem tramwajem (jeszcze kursował i łączył poszczególne części getta), a miasto stukało kopytami konnych dyliżansów zastępujących autobusy i pulsowało bezgłośnym wysiłkiem mięśni napędzających riksze, którymi przemieszczali się najzamożniejsi – zapamiętałem pokraczny kształt tych pojazdów, ostry i wyraźny jak kontury w srebrnym, wschodzącym świetle.



Widywałem wtedy ludzi zmarłych z głodu, przykrytych gazetami, po jakimś czasie ładowanych na wózki z domu pogrzebowego Pinkiarta i bez ceremoniałów

wywożonych prosto na cmentarz. Widywałem dzieci zaczajone przy sklepach, czyhające na przechodniów niosących pakunki z żywnością, żeby je przechwycić – mur getta wzdłuż ulicy Ceglanej i Waliców używany był do szmugłu. Dzieci miały wielkie, przedwcześnie rozumne oczy w zdeformowanym wychudzeniem, niemal przezroczyście twarzach, jak z portretów Modiglianiego. Po drugiej stronie muru razem ze swoim drogocennym towarem, zwykle jakimiś podwiędłymi warzywami, wpadały w ręce niemieckich żandarmów lub granatowych policjantów. Zdobyć konfiskowano, dzieci bito lub zabijano strzałem w głowę.



Wpadłem w łapance, gdy zaczęła się likwidacja getta, a rodzina, chcąc przekazać wieści, posłała mnie do wuja na Muranowską. Trafiłem na Umschlagplatz, skąd wysyłano Żydów do Treblinki, ale tu zauważył mnie jeden z żydowskich policjantów, pacjent ojczyzna – dał łapówkę ukraińskim strażnikom i nad ranem przemycił mnie przez rynsztok toczący się wzdłuż muru. Żeby się precyzyjnie, trzeba było wyjąć od spodu kilka cegieł, pogłębiając otwór – przekupiony Ukraińiec udawał, że nic nie widzi.

Kiedy szczęśliwie dotarłem do swoich, nikt nie uwierzył w moją opowieść – ze strachu przed prawdą opancerzano się w głuchotę, przyjmowano błogosławieństwo ślepoty.

Drugi raz dostałem się na Umschlagplatz w czasie jednej z akcji zwanych kotłem. Niemcy już drastycznie ograniczali liczbę osób, które mogły pracować, resztę brali do selekcji i wywozili. Dla przykładu spośród dwustu pracowników u Schillinga „karty życia” wydano zaledwie połowie. Na razie do niej należałem, dzięki temu puścili mnie i wróciłem do szopu.

Podczas innego kotła udało mi się uratować braciszka, niespełna trzylatka, ukrywanego przez matkę na strychu. Wyglądał jak szkielecik, jak szkic czegoś dawno minionego, i żył tylko dzięki zastrzykom z glukozy. Włożono mi go do plecaka między stare łachmany i poszedłem do selekcji z tym bagażem, a Niemcy go nie zauważyli. Więc wrócił do mamy, czyli na strych, ja do pracy w firmie Schilling.

W późniejszym okresie likwidacji getta (małe już nie istniało) lekarze i personel starali się umieścić swoich rodziców i dziadków w szpitalu, zakładając, że Niemcy nie odważą się go ruszyć. W ten sposób znaleźli się tam i moi dziadkowie. Jednak pewnego dnia Niemcy wszystkich, łącznie z personelem, zabrali na Umschlagplatz i moja matka otrzymała od ojczyma list, przekazany przez żydowskiego policjanta. Pisał, że nie ma szansy na ocalenie, dlatego nalega, żeby do niego nie dołączać (mnóstwo było takich, co biegli za bliskimi, pędzili trawieni ogniem powinności, strachu i miłości, w ten sposób ginęły całe rodziny)

i żeby mama ratowała siebie i dzieci. Gdyby ten liścik do niej nie dotarł, nikt z nas by nie przeżył. Policjanci zrelacjonowali później, że ojczym zamierzał udzielić pomocy jednemu z chorych, a rozwścieczony tym Ukraińiec chwycił za karabin i zastrzelił go jeszcze tam, na Umschlagplatzu.



Część naszej rezerwy finansowej przechowywaliśmy u zaufanych Polaków. Gdy zimą z 1942 na 1943 podjęliśmy decyzję o ucieczce z getta, inni zaprzyjaźnieni Polacy znaleźli nam lokum, za które umówiliśmy się płacić określoną sumę. Choć w dalszym ciągu pracowałem u Schillinga, a matka w pralni, bo obie firmy funkcjonowały aż do wybuchu powstania w getcie, pod koniec marca 1943 przemyciliśmy się do aryjskiej części miasta w grupie żydowskich robotników, którzy pracowali za murem w różnych niemieckich placówkach. Przewodnik podejmujący się takiego szmuglu opłacał niemieckie warty. Na przykład: grupa robotników liczyła pięćdziesiąt osób, a przechodziły dwie, trzy więcej. Potem w odpowiednim momencie trzeba było odłączyć się od idących, żeby nie wpaść w łapy polskich szmalcowników, którzy nie wydawali Żydów Niemcom, tylko zabierali dobytek, kosztowności. Nam udało się ich ominąć i ja z kuzynem, synem mojego wuja, trafiliśmy na Powiśle, do Emilii i Stanisława Procherów, nauczycieli wynajmujących uczniom



stancje. Matka dotarła na Sadybę, na osiedle oficerskie, a brata umieszczono jeszcze gdzie indziej. Ze względów bezpieczeństwa nie wolno nam było się ze sobą kontaktować, nie znaliśmy swoich adresów i здавало mi się, że poruszamy się z zawiązanymi oczami w dziwnej ograniczonej przestrzeni, od której oderwał się grunt. Mieliśmy jednak łączniczkę, Polkę, która wyszła za mąż za Żyda. Nazywała się Leokadia Gutmann, mieszkała przy Marszałkowskiej osiemdziesiąt jeden, w cudem ocalałym z bombardowań budynku. Tylko ona i jej służąca wiedziały, gdzie się ukrywamy, i jedynie one kursowały między nami, przekazując wieści.

Procherowie traktowali nas jak synów, a ich córka Krystyna – o twarzy, w której splatały się stulecia wyobrażeń o pięknie i której żaden fragment nie trącił odstępstwem od zamysłu Artysty – jak braci. Nie brali od nas dużo, tyle co za pokój z utrzymaniem. Bywało, że z jakichś powodów nie mogłem skontaktować się z Polakami, u których przechowywaliśmy pieniądze (mieli sklep z wyrobami ceramicznymi w Alejach Jerozolimskich, ilekroć zjawiałem się tam, właściciel wydawał mi sumę, o jaką prosiłem). Procherowie uspokajali wówczas: – Nie wyrzucimy was, dopóki mamy co jeść, wy też nie będziecie głodni.

Rzykowali, tym bardziej że o ile ja miałem dobry wygląd, o tyle mój kuzyn odwrotnie – dlatego nie mógł wychodzić na ulicę. Czasami dla bezpieczeństwa

musieliśmy opuścić mieszkanie, wówczas skrywano nas w szkole w pobliżu placu Trzech Krzyży. Pracowała tam woźna, która przechowywała akowców i Żydów, w tym dwóch braci z getta (potem też wstąpili do Armii Krajowej). Zimą rozpalala na noc piec i stawiała łóżko – zasypialiśmy w suchym gorącym płomieniu, które wabiły majaki i zraszały ciała umęczonym potem. W ciągu dnia siedzieliśmy w klozecie – dzieci się tam dobijały, a on stale był zajęty.



Powoli kończył się 1943, a mnie i kuzynowi coraz bardziej doskwierała bezczynność, rozpierało nas pragnienie walki. Wiedzę o AK czerpałem jedynie z podziemnych gazetek, na które czekało się codziennie niecierpliwie i czytało od deski do deski – tym niecierpliwiej, że sytuacja zaostrzała się, na ulicach egzekucje, łapanki, terror. Zakomunikowaliśmy Procherom, że przystępujemy do Polski Podziemnej. – A wy co, samobójcy? – sprzeciwiali się. – Macie tu dach nad głową, wikt i opierunek, to po co ryzykować? – Ale myśmy się uparli. Pomógł nam Antoni Tomczak (znaliśmy go, bo dostarczał nam fałszywe kenkarty), również nauczyciel, zaprzyjaźniony z Procherami akowiec.

Tak w październiku w wieku piętnastu lat wstąpiłem do Armii Krajowej razem z Krystyną i jej niepokalanym pięknem, a wkrótce dołączyli do nas także

Marek i Mieczysław Sztejn – ci od woźnej. Przydzielono mnie do pułku Baszta, batalion Bałtyk, kompania B-3, drużyna pierwsza albo druga, już nie pamiętam.

Tomczak uprzedził, że nasza grupa zostanie rozdzielona, bo wymagają tego zasady konspiracji, i tak mojego kuzyna ze względu na semicki wygląd wysłano do oddziałów leśnych, dokąd braci Sztejn nie wiem. Ja z Krysią zostałem w Warszawie, jednak działaliśmy osobno. Mieszkałem wciąż u Procherów, lecz częściej niż dotąd wędrowałem po mieście, bo moim głównym zadaniem było roznoszenie przesyłek i paczek z amunicją, rozkazami, komunikatami – mogłem się tylko domyślać, co jest w środku. Broni nie miałem, jedynym moim – można powiedzieć – uzbrojeniem, była ampułka cyjanku, w jaką zostałem zaopatrzony na wypadek, gdybym wpadł w łapy Niemców. Wszyscy je dostaliśmy – lekkie kryształki podręcznej zagłady.

Z naszej piątki przeżyłem tylko ja. Przepadł ślad po braciach Sztejn, zaginął słuch o Krysi (co poczęło, gdzie podążyło jej piękno, czy wypełniło swą treścią nową formę?) – może to ampułki z cyjankiem przeprowadziły ich do krainy wiecznego pokoju, gdzie nawet obłok nie ściga obłoku, bo nie ma tam również chmur.



Ścisnął mróz i moi koledzy po wykonaniu zadania ogrzewali się gdzieś przy kawie czy herbacie, ja nigdy.

Unikałem miejsc publicznych i łążęgowania po godzinie policyjnej, bo bałem się zdemaskowania. Kilkakrotnie zmieniałem miejsce zamieszkania, raz jako akowiec, raz jako Żyd, zwłaszcza po zamachu na Kutschereę. Tamtej zimy przenikał mnie ostry, metaliczny chłód, chłód paraliżujący duszę i ścięgna, obkurczający myśli. Pewnego dnia u Procherów pojawił się Tomczak, który – zgodnie z regułą, że pod latarnią najciemniej – załatwił sobie mieszkanie w dzielnicy niemieckiej (Niemcy nie wysiedlili go jak wszystkich Polaków). Postanowił, że z nim pójdę.

Przechowałem się u niego w spokoju ładnych parę dni, jednocześnie roznosząc paczuski. Kiedy w akcji, łapance lub z donosu wpadał ktoś, kto mógł znać miejsce mojego pobytu, musiałem szukać innego lokum. AK miała w mieście swoje mety: głęboko zakonspirowane mieszkania ratunkowe. Tak trafiłem na Starówkę, do faceta, którego głównym zajęciem było pędzenie bimbru. Robił go w małej, cuchnącej norze ze sfermentowanej marmolady, takiej, co nie nadawała się już nawet na kartkowe przydziały. Ludzie nie mieli czym ogrzewać mieszkań, a on z powodu bimbru na okrągło hajcował w piecu. Zmuszał mnie, żebym próbował tej cieczy nazywanej grzanką, z dodatkiem odrobiny miodu i masła albo margaryny. Rozgrzewało to do szpiku, do trzewi. Bimbrownik nie wiedział, że jestem Żydem, i zwłaszcza gdy trochę popił,

opowiadał antysemickie dowcipy. Życie jest dziwne, myślałem, ja, Żyd, dławię się samogonem u antysemity, a naokoło świat dławi się krwią.

Po kilku tygodniach wróciłem do Procherów i nadal roznosiłem przesyłki. Od czasu do czasu za pośrednictwem Leokadii Gutmannowej kontaktowałem się z matką. Na wieść, że wstąpiłem do AK, rozplakała się: – To ja już straciłam syna! Przecież grozi mu śmierć już za to, że jest Żydem, co dopiero teraz, gdy został Żydem-akowcem.

Gutmannowa pocieszała: – Nie straciła go pani, on żyje. – Ale matka swoje. Mogłem przechowywać się w domu Procherów, nie pojmowała, czemu uczyniłem coś wbrew logice życia.



Wiosną 1944 trafiłem z kompanią na szkolenie wojskowe do lasów pod Józefowem. Uczono nas, jak obchodzić się z bronią, z granatami, ćwiczyliśmy musztry, warty.

Obowiązywała ścisła dyscyplina. (Nocami z siłą, która prężyła las, gardłowały nad rzeką słowiki). Trwało to kilka tygodni i zdążyliśmy się ze sobą żyć. Zaprzyjaźniłem się szczególnie z Wojciechem Kielimem, pseudonim Kaczor, który przeszedł do nas z Szarych Szeregów, polecony przez Tomczaka. Później trafił do armii Andersa i osiadł w Londynie, podobnie jak Witold Złotnicki, pseudonim Witold, zastępca

dowódcy kompanii B-3, wtedy podporucznik, potem major, jeden z tych dowódców, którzy od początku wiedzieli, że jestem Żydem.

Po szkoleniu w lesie spotykaliśmy się w różnych miejscach Warszawy, w prywatnych domach, gdzie nadal oswajaliśmy się z bronią i zasadami walki konspiracyjnej. Swoje mieszkanie udostępniła nam wówczas między innymi znana polska rodzina arystokratyczna Lubomirskich. Składaliśmy pistolety, objęci spojrzeniami z dawna oniemiałych przodków uwięzionych w blasku pozłacanych ram.



W Warszawie zachodziły zmiany, panował rozgardiasz, widziało się Niemców uciekających z frontu sowieckiego – dotąd poruszali się wyłącznie ciężarówkami czy samochodami, a teraz chłopskimi furmankami. Czytało się o postępie armii alianckich na Zachodzie, coraz częściej napomykano o powstaniu – choć my, żołnierze, nie wiedzieliśmy, czy będzie to powstanie, czy jedynie jakaś większa zbrojna akcja. Wkrótce okazało się, że Baszta jest pułkiem dyspozycyjnym Komendy Głównej AK i że prawdopodobnie weźmiemy udział w walkach na Mokotowie. Każdemu batalionowi i każdej jednostce wyznaczono obiekt, który – gdy wybuchnie powstanie – miał zostać zdobyty.

Pod koniec lipca ogłoszono alarm, później odwołany, jednak zdążyliśmy dotrzeć do wyznaczonych

placówek i zapoznać się z nimi. Ostatecznie ustalono datę wybuchu powstania na pierwszego sierpnia, na siedemnastą.

O godzinie „W” wybiegamy na ulice Mokotowa, a ludność oklaskuje nas i błogosławi. Raptem zbliża się do mnie jakaś babuchna i wsuwa do ręki różaniec. Dlaczego akurat mnie wybrała, Bóg raczy wiedzieć – i ja, Żyd oddany w ręce Matki Boskiej Częstochowskiej, od tej chwili traktowałem ów różaniec jak talizman, zacząłem wierzyć, że nic mi się nie stanie, że wszystko przetrwam, zespoję rozwichrzone, po-gruchotane kości logiki życia.



Tymczasem docieramy do naszego obiektu, a tu okazuje się, że Niemcy już go opuścili. Pech, bo ten budynek był przez dowództwo szczegółowo rozpoznany, wiedzieliśmy, w jaki sposób najłatwiej go zdobyć. Teraz kierują nas w miejsce zupełnie nam nieznane.



Dostajemy się pod taki ostrzał karabinów maszynowych, że już po kilku godzinach, z nastaniem nocy, jestem jedynym żołnierzem z całej jednostki, który jeszcze nie ucierpiał od ran. Okaleczony dowódca rozkazuje: mam uczynić wszystko, by sprowadzić pomoc.

Widać Bóg mi pomaga, bo – choć nie znam dobrze tego odcinka Warszawy – docieram do właściwego

miejsca i jeszcze przed świtem, zanim mogło zdemaskować ich światło dnia, ranni zostają przetransportowani w bezpieczny rewir.

Potem walka powoli staje się rutyną. Na Mokotowie przerzucają nas z miejsca na miejsce: Górny i Dolny, Sadyba. Mamy fart, bo na tym terenie, obfitującym w ogrody i działki, nie brakuje warzyw. Poza tym przez dwa tygodnie sierpnia panuje względny spokój.

Piećto zaczyna się na przełomie sierpnia i września. (Wrześnie, zawieszony między latem i jesienią, prowokują zdarzenia poruszające, pamiętne). Niemcy uruchamiają ciężką artylerię, tak zwane krowy, jednocześnie bombardując nas z samolotów. Ale ilekroć pocisk spada na dom, w którym właśnie przebywam, nie tracę z głowy nawet włosa. Raz ze wszystkich stron zwalają się na mnie drzwi, tworząc stożkowy schron – nie dziwię się temu, mam przecież – chowam go w kieszonce koszuli na piersi – talizman współpracujący z logiką życia.

W tym okresie biorę udział w różnych akcjach bojowych, aż w końcu, gdy Rosjanie okazjonalnie zrzucają nam broń, zostają oddelegowany do obsługi przeciwpancernej rusznicy. Na Mokotowie zrzucały się dość często, ale Sowietci pakowali broń do worków lub skrzyń bez spadochronów, więc jedną rusznicę montowało się z wielu kawałków. Jak zrzucali sucharki, to robił się z nich proszek. Prawdziwa rosyjska pomoc,



na którą niektórzy liczyli przed powstaniem, nie nadeszła. Bywało tak, że polskie i amerykańskie samoloty ze wsparciem musiały zawracać, bo Rosjanie nie pozwalali im lądować. W każdym razie przejście z prymitywnej sidłówki do broni ciężkiej – to był wielki skok. Obsługa rusznicy wymagała także predyspozycji psychicznych – na widok wyłaniającego się tanku człowiek musiał zachować zimną krew. Kiedyś zatrzymałem czołg, oddałem salwę, a on stanął.

Rozkazy, kiedy strzelać, wydaje mi Witold Złotnicki, najpierw zastępca dowódcy kompanii, a potem jej szef, bo dwaj poprzedni zostali zabici lub ciężko ranni.

Dwudziestego czwartego września, tuż przed kapitulacją (dzielnica padła, zdaje się, dwudziestego siódmego), niemieckie czołgi prują ulicą Puławską, a za nimi żołnierze – albo zauważyli rusznicę, albo mnie w okopie biegnącym wzdłuż budynku, w każdym razie otwierają ogień. Obrywam w nogę, rana krwawi obficie. Sanitariuszka Teresa Suchecka, pseudonim Grenadier, wlecze mnie do punktu opatrunkowego, gdzie zajmuje się mną doktor Tadeusz Bloch, pseudonim Mikrob, komunikuje, że kula przeszła na wylot, przez mięśnie – miałem talizman, nie zdziwiłem się, logika życia lubi harcować w oddechu śmierci. W tym samym czasie pocisk omsknął się o płuca podporucznika Złotnickiego. Tak skończyła się nasza powstańcza kariera.



Wydano rozkaz, żeby lżej rannych wycofać kanałami do Śródmieścia. Przed wymarszem ranę okryto mi szczelnie ceratą, żeby zabezpieczyć organizm przed gangreną. Najpierw schodzimy do bardzo wąskiego kanału, przez który trzeba się czołgać, potem docieramy do wielkich kanałów burzowych, gdzie należy uważać, by nie wpaść do mazi z ludzkich odchodów i błota, więc saperzy budują coś w rodzaju pomostów. Kto jest słaby, nie utrzymuje równowagi i tonie. Przylegam w ciemności do idącego przede mną, a on, nie wiedząc nawet, kim jestem, ciągnie mnie i podpie-  
ra. Jeśli się potknie, runiemy w dół obydwaj. Idziemy tak, idziemy i idziemy, zdaje się, około dziesięciu godzin, jeden wlokąc drugiego i zatrzymując się często, żeby nie usłyszeli nas Niemcy, którzy wrzucali do kanałów granaty i karbid. Od gazu, jaki się tworzył, ludzie ślepli i wychodzili nieprzytomni. Wciąż jednak idziemy, a odgłos wybuchów obija się o powłoki burzowców, dudni w uszach, krąży we krwi. Inna grupa wydostała się w złym miejscu. Niemcy wszystkich wystrzelali...



Po wyjściu utknęliśmy w podwórzu jakiejś kamienicy, żeby doprowadzić się trochę do porządku, ale nie było wody. Potem posłano nas do punktu opatrunkowego przy – jeśli się nie mylę – Marszałkowskiej

czterdzieści dwa. (Będąc po latach w Warszawie, pokazałem ten dom żonie – nadal stoi ze swoją pamięcią, ze śladami po kulach jak z wyźłobieniami na steranym obliczu, tylko nowe okna patrzą na odmienione widoki). Zdołałem jeszcze poprosić Leokadię Gutmannową, by przekazała matce i bratu, że żyję, bo wiedziałem, że do wybuchu powstania oni też żyli – i zachorowałem. Nie mogłem już chodzić, dostałem wysokiej gorączki, gdy przetransportowano mnie do szpitala, straciłem świadomość.

Ocknąłem się dopiero w pociągu sanitarnym – najprawdopodobniej dziesiątego października – wiozącego tylko chorych, lekarzy i pielęgniarki. Pociąg telepał się przez trzy dni, kilkakrotnie zatrzymując się na stacjach. Na wieść, że w wagonach są ranni z powstania warszawskiego, okoliczna ludność przynosiła nam jedzenie, a Niemcy patrzyli na to przez palce – było coś wiążącego w tych gestach, jakaś komunია wykrwawionej wspólnoty. W końcu dotarliśmy do Saksonii, gdzie znajdował się zachowany jeszcze z pierwszej wojny światowej obóz jeniecki o nazwie stalag IV-B.

Powstańcy zyskali już wtedy status jeńców wojennych na mocy umowy podpisanej po kapitulacji przez Bora-Komorowskiego i von dem Bacha, ale tych, którzy dostawali się do niewoli do połowy sierpnia na miejscu rozstrzeliwano, podobnie jak i tych, co usiłowali

zbiec. Nie wiedziałem o tym, leżąc na słomianym wyrze w pociągu sanitarnym podążającym do Saksonii. Wdychałem łagodny, oswoiasty zapach słomy.

Trzynastego października dotarliśmy na dworzec kolejowy w mieście Mühlberg nad Elbą (jeśli mnie pamięć nie myli), skąd przetransportowano nas do lazaretu dla jeńców wojennych we wsi Zeithain, podobozu stalagu IV-B. Zastaliśmy tam Sowietów i grupę żołnierzy włoskich z wojsk marszałka Badoglio, tego, co walczył przeciwko Niemcom.

Pod koniec grudnia komisja lekarska uznała mnie za zdrowego. Zdrowych oddelegowywano do arbeitskommando, słabszych do pracy w rolnictwie, silniejszych w przemyśle. Było jasne, że w arbeitskommando od razu odkryją, że jestem Żydem, dlatego za wszelką cenę musiałem zostać w szpitalu. Traf chciał, że szukali wtedy ochotnika do oczyszczania klozetów i kanałów kanalizacyjnych. Zgłosiłem się bez wahania, a konkurentów do tej roboty nie miałem.

Nastała kłująca mrozem, zastygła zima. Nad ranem wychodziłem z kilofem i łopatą i udrażniałem kanalizację. Nadzorował mnie mój przełożony feldfelbel – stary dziad z Wehrmachtu ze szpetną czarno-rudą szczeciną. Zaciskałem zęby i robiłem swoje, tym bardziej że dostawałem za tę pracę kromkę chleba z twarogiem, a czasem ten Szwab, zadowolony ze mnie, dawał mi do poczytania niemieckie gazety.



Było nas w baraku około pięćdziesięciu: sanitariuszy kompanii sanitarnej i innych zatrudnionych przy różnych funkcjach, a także kilku oficerów, których jeszcze nie odesłano ze szpitala do oflagu. Koledzy szybko domyślili się, że jestem Żydem, bo nie umiałem modlić się po katolicku i nikt do mnie nie pisał – jednak w naszym obozie nikogo nie wydano, choć Niemcy z Abwehry żądali tego od komendy polskiej, domyślając się, że wśród akowców i personelu sanitarnego Żydzi być muszą. – Nie uciekną – zapewniał jeden z nadzorców – są jak kury w kurniku.

Na początku bałem się, że moi współtowarzysze, zorientowawszy się, kim jestem, zaczną mnie szykanować, na przykład, że z minimalnych racji prowiantowych zabiorą mi papierosy, bo nie paliłem. A niepalący wymieniali je na kromkę chleba czy dwie (niektórzy od kromki woleli papierosa). W każdym razie nikt nigdy nie pozbawił mnie mojej racji.

W Wigilię 1944 jeden z nas, starszy pan, przed wojną komisarz państwowej policji, zabawiał się tworzeniem kalamburów o mieszkańcach baraku. O mnie napisał: „Nosi gazety, czyści klozety, charakter czysto polski – to kolega Dobrowolski”. (Na takie nazwisko dostałem kenkartę od Tomczaka). Tak upewniłem się, że moje żydostwo nie było w baraku tajemnicą.

Pod koniec kwietnia 1945 albo na początku maja wchodzą Sowieci. Bałagan, rozgardiasz, popłoch, zamęt. Wszędzie ranni, których zwożą. Dla mnie to czas decyzji. Wiem, że do Polski sowieckiej nie wrócę, pod komunistami żyć nie będę. Jeśli ktoś z mojej rodziny przeżył, rozumowałem, to i tak się w końcu odnajdziemy. Zamierzaliśmy zwać na Zachód grupą siedmiu, ośmiu akowców, dlatego zaczynamy kręcić się wokół jeńców amerykańskich i kanadyjskich, tym chętniej, że łatwiej u nich dostać coś do jedzenia – przysyłano im paczki z Czerwonego Krzyża. Staram się odkryć, czy nie ma wśród nich Żydów. I faktycznie: człowiek, który reprezentuje jeńców i jest w kontakcie z Niemcami (tak zwany *homme de confiance*) to kanadyjski Żyd pochodzenia niemieckiego. Nazywa się Meier. – Chcemy przejść na amerykańską stronę, przeszmugluj nas – zaczepiam go. A on: – *Okay*.

Pierwszy punkt planu: dostajemy się do baraku, z którego uciekło kilku Kanadyjczyków i Amerykanów, bo nie mogli doczekać się oficjalnej ewakuacji. Zastępujemy ich gładko – Rosjanie nie mieli imiennych list jeńców, interesowali się tylko ich liczbą, bo od tego zależał przydział prymitywnych racji żywnościowych. Drugi punkt planu: komunikujemy amerykańskiej stronie, że nie zamierzamy wracać do Polski Ludowej, za to pragniemy przyłączyć się do armii polskiej na Zachodzie i Amerykanie przekazują nas

Brytyjczykom. Ci zadają mnóstwo pytań, w końcu dają wiarę, że nie jesteśmy sowieckimi szpiegami. Trzeci punkt planu: samolot Dakota z nami na pokładzie ląduje w Brukseli.

Trzydziestego maja 1945 naszą grupkę wiozą do koszar, gdzie stacjonują Anglicy i mała jednostka Polaków z armii generała Maczka, do której nas przydzielają. Wyczuwa się konsternację, coś teatralnego wisi w powietrzu, jakieś podszyte fałszywą nutą zawieszenie akcji: przecież wojna się skończyła, a nas kierują na staż wojskowy. Każdy rozmyśla, co dalej: jedni zamierzają jechać do Anglii, drudzy, jak ja, zostać w Belgii. Jeszcze tylko krótki skok do Paryża, gdzie zostaje mi wręczona karta demobilizacyjna i chłopak z warszawskiego getta, akowiec, wieńczy karierę wojskową jako żołnierz korpusu generała Maczka na Zachodzie.

W Belgii korzystałem ze statusu, jakim cieszyli się kombataneci Maczka, któremu nadano honorowe obywatelstwo różnych miast tego kraju z wdzięczności, że wojsko polskie oswobodziło zachodnią Flandrię. Prawdopodobnie pomogło to mojej matce i bratu uzyskać belgijską wizę. Mimo to w 1952 postanowiliśmy wyemigrować do Izraela.

Wtedy jeszcze niełatwo było docenić, jakie miałem szczęście. Kiedy znalazłem się w Belgii i pędziłem żywot wolnego człowieka, w Polsce komuniści wsadzali

żołnierzy AK do więzień, katowali i niejednokrotnie rozstrzeliwali. Nieliczne kontakty z polskimi przyjaciółmi urwały się po wojnie sześciomiesięcznej w 1967.

Osiadłem w Hajfie, założyłem rodzinę. Po upadku komunizmu, na początku lat dziewięćdziesiątych, odszukał mnie kolega z pułku Baszta, świętej pamięci Jerzy Młokosiewicz, pseudonim Wolski. Potem odezwała się Teresa Suchecka-Nowak, sanitariuszka, która opatrywała mi ranną nogę, a później Witold Złotnicki, Wojciech Kielim i inni. Dzięki ich staraniom przyznano mi wszystkie uprawnienia należne polskim kombatantom, między innymi Krzyż Armii Krajowej, Warszawski Krzyż Powstańczy, Medal za Warszawę, Krzyż Partyzancki i Odznakę Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny. W lipcu 2000 prezydent RP mianował mnie podporucznikiem Wojska Polskiego.

Ampułkę cyjanku przywiozłem na pamiątkę do Izraela. Pewnego dnia odkryła ją moja matka, bała się, że sprowadzi nieszczęście i ją wyrzuciła. Drewniany różaniec z brązowymi paciorkami – akcesorium niepojętej logiki życia – przechowałem.

Historia Seweryna Pilipskiego-Tytelmana, numer legitymacji AK 51099, zmarłego w 2014.





1930, Kraków.

Półkolonie letnie zorganizowane przez Towarzystwo  
Opieki nad Sierotami Żydowskimi, autor nieznany.

סין  
שעם  
נחם  
שות





1938 w krakowskiej bożnicy ojciec trzymał mnie w ramionach, a ja w dłoni małą chorągiewkę z jabłkiem, w którym paliła się świeczka. Ciche rzędy drżących płomieni łaskotały półmroczną, omodloną przestrzeń.

Wychowałam się w domu świeckim. Rodzice odwiedzali synagogę tylko raz w roku, w święta Jom Kipur. Ojciec był kupcem i właścicielem fabryczki produkującej w Czechosłowacji słynną imitację biżuterii, a także inne artykuły, w tym puderniczki, cygarniczki, papierośnice. Jako pierwszy sprowadził do Polski zamki błyskawiczne (wcześniej używano tylko haftek i zatrzasek). Jego firma mieściła się w Krakowie przy ulicy Dietla.

Urodziłam się czwartego września 1932, dziesięć lat po drugim z moich starszych braci, tak że folgowano mi i rozpieszczano. Zimą jeździliśmy do Zakopanego, a latem nad morze, do Orłowa. W Sopocie matka po raz pierwszy pokazała mi antysemitki

napis na szybie restauracji. Głosił, że Żydom i psom wstęp wzbroniony.

Familia była duża. Matka miała trzech braci i siostrę, ojciec dwóch braci – wszyscy z rodzinami. Święta czy urodziny zawsze celebrowaliśmy razem. Z tej licznej gromady wojnę przeżyłam ja, jeden mój brat i rodzice.



Lato 1939 spędzaliśmy w Krościenku. Wróciliśmy tydzień przed początkiem roku szkolnego, bo wszędzie mówiło się o wojnie. Mama specjalnymi plastrami zakleiła na krzyż okna, sporządzono też rolety z czarnego papieru, żeby podczas bombardowań nie przepuszczały światła. Pouczyła mnie, że gdy będą spadać bomby zwyczajne, trzeba uciekać do piwnicy, a jeżeli gazowe – na strych.

W dzień mych urodzin ojciec z Ryśkiem, moim starszym bratem, opuścili miasto, bo władze zaapelowały w radio i w gazetach, żeby mężczyźni w wieku poborowym zgłaszali się do wojska. Z ich plecaków roznosił się zapach świeżo upieczonego chleba. Chleb pachniał odtąd pożegnaniem. Ja z mamą i Olkiem, młodszym bratem, zostaliśmy w Krakowie przy ulicy Grzegorzeckiej cztery, w przestronnym, pięciopokojowym mieszkaniu, do którego wkrótce Niemcy wpakowali nam folksdojczkę, prostytutkę z małą dziewczynką. Pozwolono nam zająć jeden pokój, a resztę: sypialnię, bawialnię i pokój przyjęć dostała ta pani. Mama

musiała im sprzątać, gotować i prać. Gdy do starszej z lokatorek przychodzili Niemcy, bawiłam się z dziewczynką w kuchni.

Na Plantach rudziały liście, końskie kopyta – podbite echem – rwały po bruku przeciągle i twardo, w ludzkie kroki zakradał się czujny, twardy tembr.

Pewnego razu mama przyszła po mnie do szkoły (nigdy nie wracałam sama) i oznajmiła, że przenosimy się do ciotki. Tego dnia folksdojczka wyjechała do Katowic, do swojej rodziny, i mogliśmy uciec. Mama wynajęła platformę z koniem, zabrała pierzynę, ciepłe ubrania i kazała zawieźć nas do swojej siostry, która mieszkała w odległej dzielnicy. Niemcy szukali nas, nie znaleźli.

U ciotki były jeszcze dwie kuzyneczki i babcia. Choć matka została bez środków do życia (konta bankowe zablokowane, a firmę ojca przejął *treuhänder*), głodu jeszcze nie odczuwaliśmy, bo wyprzedawało się co cenniejsze rzeczy i życie płynęło w miarę normalnie. Niebawem zamknięto szkoły i matka przyjęła studentkę, która uczyła nas w domu. A Niemcy napadali na mieszkania, kopali ludzi, zabierali obrazy, obrusy, kryształ, dywany. Na ulicach trwały łapanki. Co chwila publikowano nowe zarządzenia: a to, żeby Polacy nie kupowali w sklepach żydowskich, a to, że nie wolno sprzedawać mięsa, a to, że Żydzi od dwunastego roku życia muszą nosić opaski (na terenie Generalnego

Gubernatorstwa musiały być białe, a gwiazdy Dawida niebieskie). Pierwszym haftem, jakiego się nauczyłam, była właśnie niebieska gwiazda Dawida – matka i brat mieli ją wyszytą na opaskach. Brat stale swoją zdejmował, uczestniczył w tajnych kompletach, odwiedzali go koledzy, koleżanki, urządzali prywatki – życie się nie poddawało.

Tymczasem matka złożyła podanie, żeby dostać się do getta. Odmówiono jej, bo zaliczono nas do „elementu nieproduktywnego”. Trzeba więc było opuścić Kraków. Matka wynajęła brykę (Żydzi nie mogli jeździć pociągami i autobusami) i z babcią, ciotką, jej mężem i dwiema córkami przenieśliśmy się na wieś, do Gdowa.



Znaleźliśmy lokum u wdowy, Polki. Mieszkała na pierwszym piętrze, my na dole, w trzech pokojach. A w Krakowie, gdzie zostali bracia mojego ojca, rozpętało się pieękło. Poczta kursowała z opóźnieniem, lecz listy wciąż dochodziły, jak ten od wujka, który pisał, że powróciwszy jednego dnia z pracy, nie zastał już ani żony, ani dzieci.

Biegałam boso po łąkach, po kałużach, w słońcach i deszczach (mają moc skrzydeł wolne, miękkie, utyłane błotem stopy). Raz w tygodniu matka przebieiała się za polską wieśniaczkę i jeździła do Krakowa, żeby coś sprzedać. Wtedy gotowałam zupę. Miałam



osiem lat i byłam dumna, że po powrocie mama zje ciepłą strawę.

Tymczasem we wsi powstał *Judenrat*. Jego głową okazał się dobry znajomy mamy. Kiedyś Niemcy kazali mu doprowadzić dziesięciu mężczyzn, nie wiedział, kogo wybrać, więc zgłosił się sam, świadomy, że na stracenie. – Skoro jego zabrali, to i nas wkrótce wezmą – orzekła wtedy matka spokojnym, czarnym głosem. Jednak dotrwaliśmy tam jakoś do sierpnia 1942 – wtedy ukazało się zarządzenie, że mamy Gdów opuścić. Wolno nam było wynająć furę, żeby załadować na nią dobytek i dotrzeć do Wieliczki. Siadamy na niej, a nasza gospodyni łapie skraj sukni mojej matki i nalega: – Pani, daj mi tę kieckę, już ci nie będzie potrzebna. – Matka odtrąca jej rękę. Potem mijamy tysiące fur, skrzypiących milczeniem, rozhuśtanych trwożnym rytmem. Tysiące fur – niczym wyjście z Egiptu do zahoryzontalnej, widmowej ziemi.

W Wieliczce przydzielono nas do mieszkania żydowskiego w rynku. W jednym dużym pokoju w każdym kącie umościła się rodzina. Cztery kąty – cztery rodziny. – To już koniec – lamentowała czarnym głosem matka. – To koniec.

Pod wieczór wypuściłam się z kuzyneczkami na miasto. Obdarte, brudne, wychudzone żydowskie dzieci handlowały czymś, wołały po polsku i po żydowsku: – Mame, mamó, mame.



Matka miała przyjaciółkę Austriaczkę, chrześcijankę, która wyszła za mąż za Żyda. Nazywała się Maus. Jej mąż i mój ojciec czwartego września ruszyli na wschód. Przed wojną Mausowa wielokrotnie powtarzała, że w razie niebezpieczeństwa będzie gotowa mnie do siebie przyjąć. W tym czasie do Wieliczki przyjechała córka wdowy, u której mieszkaliśmy w Gdowie, i matka poprosiła: – Kazka, zabierz Halinkę (ja się wtedy nazywałam Halinka) do Krakowa, do pani Mausowej.

Pożegnałam się z mamą i pojechałyśmy autobusem. Przybywamy na ulicę Siemiradzkiego, Kazka czeka w dorożce. Wchodzę na drugie piętro, Mausowa otwiera mi drzwi, które chroni łańcuch, patrzy na mnie przez szparę i syczy przez wąskie, prawie nieobecne usta: – Jak twoje muter szmiała przysłać cie do mnie! – zatrząskuje drzwi, niemal mnie zdmuchując.

Wróciłyśmy z Kazką do Wieliczki. Mojej matce zrobiło się słabo. Miała gorejące oczy zdziczałego konia. Brat powtarzał: – Mamo, ratuj Halinkę, ratuj Halinkę, ratuj ją.

Raptem ocknęła się. Poszła na pocztę i wysłała telegramy do znajomych Polaków.



Kilka dni później Niemcy rozporządzili, że wszyscy Żydzi mają stawić się o ósmej rano na dużym placu koło stacji kolejowej. Matka przygotowała mi plecak, brat

miał walizkę, sama nie wzięła niczego. Na placu ustawiono nas rzędami. Staliśmy tak wiele godzin w upale, bez wody, bez ubikacji, otoczeni Niemcami, polską policją i psami. Raptem mama odzywa się: – Chodź szybko, oni przyjechali, oni już są. – Nie wiedziałam, kto. Tłum rusza już w stronę wagonów (większość trafi do Bełżca, skąd się nie wracało), matka każe zostawić plecak, chwytą mnie za rękę i zaczynamy przedzierać się przez to mrowie płaczące, krzyczące, padające, modlące się, przeklinające, na czym świat stoi, a matka tylko w kółko: – Szybko, bo oni odejdą. – Wreszcie docieramy na obrzeża tego ludzkiego grzęzawiska, tej zgiełkliwej, dławiącej się grozą lawy, a tam matka popycha mnie w kierunku kobiety i mężczyzny rozglądających się z napiętą uwagą. Jeszcze słyszę: – Idź z nimi! – i zapewnienie, żarliwe, szybkie, skierowane do tych obcych: – Będziecie mieli w niej wierną przyjaciółkę.

Nie pożegnała się, zniknęła w tłumie. Stoję przed obcymi milcząca, wystraszona, rozczochrana. – Przed wszystkim głowa do góry – odzywa się ta pani – tylko żydowskie dzieci pochylają głowy. – Przygląda mi włosy, wydobywa z torebki wstążkę i zawiązuje mi we włosach kokardę, potem zdejmuję ze swojej szyi medalik z Matką Boską Częstochowską i zapina na mojej. Obydwoje biorą mnie za rękę – i tak idziemy do autobusu.

To byli Polacy, którzy odpowiedzieli na telegram matki.



Mieszkali w Krakowie przy ulicy Zyplikiewicza, wspólnie z jeszcze jedną polską rodziną. Ich własne mieszkania przejęli Niemcy, a Polaków przesiedlono do pożydowskich siedzib. Jeszcze zanim weszliśmy do kamienicy, pouczyli mnie: – Jesteś naszą siostrzenicą, twój ojciec trafił do niemieckiej niewoli, a matka umarła, kiedy byłaś mała.

Byli bezdzietnym małżeństwem koło pięćdziesiątki, uporządkowani, wszystko jak w aptece. Ciągłe słyszałam: a nie siadaj tu, a nie stój tu, a nie ruszaj tego. Trwało to jakieś pięć dni. Łóżka dla mnie nie mieli, więc spałam na fotelu z taborecikami pod nogi. Pewnej nocy (udawałam, że śpię) rozmawiali ze sobą: jednak mnie nie chcą, bo przecież nigdy nie mieli ani kota, ani psa, a teraz mają dziecko, które im wchodzi w drogę, przeszkadza. A ten Polak, Tadzio, mówił: – Ale jeśli ją oddamy, zginie.

Takie szeptki powtarzały się co noc.

Kiedyś ktoś zadzwonił do drzwi. Nieznana kobieta przyniosła karteczkę od mojej matki: „Jestem w Płaszowie, przyjdźcie”. Pojechaliśmy tramwajem numer trzy i dalej, do Płaszowa. W 1942 ten obóz dopiero powstawał i można było jeszcze wchodzić i wychodzić. Gdy zobaczyłam mamę, przylgnęłam do niej i szepnęłam: – Ja zostaję z tobą, ja do nich nie wracam, oni mnie nie chcą. – Matka wzięła mnie na bok: – To nie

jest miejsce dla dzieci – jej czarny głos był silny, prawie męski – tutaj dzieci zabijają. W jednym z baraków pod łóżkiem ukrywa się twoja kuzynka. Jeśli nie chcesz żyć jak ona, nie buntuj się, wyprzedzaj każde ich życzenie, pomagaj, sprzątaj, froteruj podłogę, dźwigaj z piwnicy węgiel. – A potem poprosiła Polaków: – Dajcie jej szansę jeszcze przez dwa tygodnie, może się przyzwyczaicie.

Zgodzili się. A ja zamieniłam się w robota: sprzątałam, obierałam jarzyny, myłam naczynia, odzywałam się tylko wtedy, gdy mnie pytali. W moje urodziny ta pani kupiła mi zakopiańską szkatułkę z landrynkami. I zaczęły ze mną rozmawiać. Po dwóch tygodniach pan Tadzio zakomunikował mamie, że oni są w stanie spróbować jeszcze przez kolejne dwa. Odtąd co piątek o godzinie trzeciej – matka była w Płaszowie ponad rok – odwiedzał ją regularnie, przynosił paczuszki z jedzeniem i wiadomości. Gdy obóz ogrodzono, matka stała po jednej stronie drutów, a po drugiej Tadzio pocieszał ją, że wojna wnet się skończy, opowiadał, jaka jestem grzeczna i że oni mnie polubili. Wtedy kontakt ze światem zewnętrznym i wieści o bliskich nie miały ceny. Matka uśmiechała się dyskretnie.



Jej siostrę i kuzynki zamordowano. Wiosną 1943 Niemcy kazali rozebrać się kobietom do naga i do nich strzelali. Mama zemdląła i wpadła do jamy-grobu,

a kiedy odzyskała świadomość, dotarła goła do baraku mężczyzn. Ci przestraszyli się, że za ukrycie ocalonej także ich zabiją, ale dali jej koszulę, a potem jakiś znajomy załatwił pranie potyfusowej bielizny – tego nikt nie chciał się podjąć z obawy przed zarażeniem. Później odwiedziłam ją jeszcze tylko raz – zaleciła moim polskim opiekunom, żeby mnie więcej nie przyprowadzali, bo ludzie zazdroszczą, że wciąż żyję, i dlatego ktoś może donieść. Chciałam się pożegnać, ale matka nie pozwoliła mi się zbliżyć z powodu zakażonej bielizny. Wróciliśmy do Krakowa. Nastąpiła wiosna. Gwizdały kosy, pachniało świeżą zielenią, ranki i zmierzchy żywiły się powłóczystymi, różowymi mgłami.



Mój brat funkcjonował w tym czasie na aryjskich papierach. Odwiedził mnie przed Bożym Narodzeniem. Zamierzał dotrzeć do Kielc, ale na stacji go aresztowali – doniósł na niego Żyd. Brata zabrali do Płaszowa. Matka próbowała go stamtąd wydobyć, bez skutku. W lutym 1943 zginął w Oświęcimiu.



Cała kamienica szeptała już, że Latawcowie przechowują żydowską dziewczynkę – tak rozповідаła praczka, która zabierała bieliznę jednego z mieszkańców. I nasi współlokatorzy zażądali, żebym stamtąd zniknęła. Odtąd staraliśmy się przebywać w mieszkaniu jak najmniej. Rano chodziliśmy do kościoła,

po południu do kina, wracaliśmy tylko spać, ale tamta rodzina upierała się przy swoim, więc Tazio dotarł do Płaszowa, do mamy, i o wszystkim jej opowiedział. – To ją do mnie przyprowadźcie – zdecydowała. – Co będzie ze mną, będzie i z nią. – Na to Tazio odparł: – Nie. Co będzie z nią, będzie i z nami. – Przyznał też, że chce mnie z polską mamą zaadoptować. Mama żydowska sporządziła ostatnią wolę, napisała w niej, że się zgadza.

Tazio Latawiec, mój przybrany ojciec, urzędnik pocztowy, miał kolegę Niemca, który mieszkał na Wielopolu i sądząc, że jestem polską sierotą, zaproponował, żebym przez tydzień, dwa u niego zamieszkała. Wkrótce musiał wyjechać na sześć tygodni, poprosił jednak Latawców, żeby podlewali kwiatki. Ganek tego mieszkania wypełniało składowisko rupieci: konewki, grabie, zwichrowane meble (ile stężonego melodramatu kryje się w połamanym stole lub krześle!) – ściśnięte w nieładzie zdawały się błagać o miłosierdzie pochówku, niewidzialności. Tam, pośród nich, schowali mnie polscy rodzice. Raz w tygodniu przynosili mi jedzenie i książki, które czytałam przy maleńkim otworze pełniącym funkcję okienka. Wychodząc, zamykali komórkę na dwie żelazne sztaby. Całymi dniami kuliłam się na składanym łóżku, w ciemności. Podłoga trzeszczała podstępnie przy każdym poruszeniu, gdy robiłam do wiadra siusiu,

bałam się, że jakiś przechodzień usłyszy. Lękałam się, że tam umrę i nikt się nie dowie. Tkwiłam wewnątrz czarnej szklanej kuli, w jądrze samotności.

Pewnego dnia Ziutka, moja polska mama, przyniosła mi książeczkę do nabożeństwa: – Naucz się modlić, to ci nie zaszkodzi. – Książeczkę kupiła moja mama żydowska, która uciekła wtedy z Płaszowa i próbowała na aryjskich papierach znaleźć pracę jako pomoc domowa. Bez powodzenia – dlatego musiała wrócić do obozu. Więc klepałam wszystkie modlitwy, nic nie rozumiejąc, w otępieniu.

Minęło prawie sześć tygodni i trzeba było opuścić komórkę. Wtedy polska mama przypomniała sobie, że miała przed wojną dochodzącą z Borku Fałęckiego – przenieśliśmy się do niej. Ja – w charakterze siostrzenicy oczekującej na zameldowanie w Krakowie. W międzyczasie mój polski tata, który należał do AK i przechowywał radioodbiornik i mały rewolwer browning, doszedł do wniosku, że skoro za to również grozi kara śmierci, to żydowskie dziecko na dokładkę nie ma już znaczenia. Z Armii Krajowej od znajomego Polaka, pana Barana, dostał dla mnie świadectwo urodzenia. Pan Baran miał córeczkę chorą na paraliż dziecięcy, starszą ode mnie około pół roku, która w ogóle nie opuszczała domu – i to jej metrykę dostałam. Dla bezpieczeństwa od czasu do czasu musiałam udawać sparaliżowaną.



W Borku trwaliśmy jakiś miesiąc. Raz ktoś kopnął butem w drzwi. Policjant. – A gdzie jest ta sparaliżowana Żydóweczka? – wsadził mi pod zębra rewolwer. Bolało, zerwałam się, podbiegłam do polskiej mamy i się do niej przytuliłam. A on, stojąc w rozkroku i zaśmiewając się, podrzucał rewolwer: – To mi dopiero paraliż!

Wówczas polska mama upadła mu do stóp, zaczęła je całować i błagać w imię Chrystusa: – Ty pewnie też masz dzieci, nie wydaj nas! – I tak długo błagała, aż się zlitował: – No dobrze, ale będzie to was dużo kosztować.

Nie mieliśmy pieniędzy, tyle, co na jedzenie, więc polska mama przyniosła mu małego srebrnego liska i talerz kryształowy na srebrnej nóżce. Wziął to i dał nam spokój. Po południu poszła do kościoła. Wróciła pogodna, przejaśniona: – Święty Antoni mi się objawił. Przekazał, żebym oddała cię do zakonnicy, i że tam będziesz bezpieczna.

Nazajutrz pojechała do Rady Głównej Opiekuńczej i poprosiła o adres jakiegoś zakładu prowadzonego przez zakonnice poza Krakowem. Skierowano ją do Staniątek, do felicjanek. Spakowałam to, co miałam: dwie pary majtek, koszulkę i pojechałyśmy. W Staniątkach mama Ziotka okazała moją metrykę chrztu i oznajmiła, że jestem jej siostrzenicą, której matka nie żyje, a ojciec jest w niewoli. Gdy tam

weszłam, ogarnął mnie dziwny, omyty światłością spokój.



W zakładzie przebywało piętnaścioro dzieci, w tym sześcioro żydowskich. Z początku tylko dwoje rzucało się w oczy: czteroletnia ruda Kasia, a później Irka, brunetka, czarna Irka ją wołali, Ormianka ze Lwowa, powiadali.

Modliłam się, lecz nie wiedziałam, kiedy wolno stać, kiedy klęczeć, dlatego na wszelki wypadek klęczałam cały czas. Pewnego razu jedna z zakonnicy zwraca się do mnie: – Janeczko, możesz usiąść. – Nie – zachnęłam się – ja się modlę za swego ojca.

Nowe imię dostałam wraz z metryką, ale wołali mnie Nina. Janina Baran – moje nowe wcielenie. Żałowałam, że nie Baranowska albo Baranowicz, ale trudno. Zaczęłam się uczyć. W klasie było tylko pięć dziewczynek, więc szybko nadrobiłam wszystkie lata, a jeszcze siostra, która wróciła ze Stanów Zjednoczonych, uczyła nas angielskiego. Otrzymałam pierwszorzędną edukację. Brałam udział w uroczystościach patriotycznych, śpiewałam w chórze i przygrywałam dzieciom do tańca.

Moi polscy rodzice przyjeżdżali w każdą niedzielę. To wiele znaczyło, bo żydowskich dzieci nikt nie odwiedzał. Zawsze coś przynosili: ołówek, gumkę do ścierania, skarpety, a raz pół kilo cukru. Co to było

pół kilo cukru? Niewysłowione szczęście w wielkiej biedzie, bo zakład był bardzo biedny. W soboty rozdzielano świeżą bieliznę. Siostra stała przy szafie, a dziewczynki naokoło, gdy Krysia, trochę starsza ode mnie, dostawszy za dużą koszulkę, wykrzyknęła: – Ale wielki lajbik! – i spąsowiała. Uspokoiliam ją cichutko, że jedynie ja to słyszałam, i że też jestem Żydówką. Błogosławiłam cud tego dnia. Odtąd opowiadałyśmy sobie różne historie, ślubowałyśmy krwią dozgonną przyjaźń.

Wiosną 1944 dziewczynki miały przystąpić do Pierwszej Komunii. A ja, co ze mną? Pójdę do przełożonej, postanowiłam, i w imieniu pięciu Żydówek, w tym swoim, poproszę o chrzest. Tak uczyniłam. Siostra przełożona po dłuższej chwili oniemiała jak nie chwyci mnie w objęcia, jak nie zacznie wirować ze mną po swojej celi (krzyż na ścianie obracał się, przybierał różne konfiguracje), jak nie wykrzyknie: – Córko narodu wybranego!

Nie wiedziałam, co to znaczy „naród wybrany” i czy w związku z tym czegoś ode mnie oczekują, w każdym razie zgodę na chrzest dostałam.

Po dwóch dniach wezwano mnie do siostry przełożonej, a tam moja polska mama, cała w wypiekach, zaklina się, że jestem jej siostrzenicą i chyba zwariowała, twierdząc, że jestem Żydówką. Oj, oberwało mi się od niej, oberwało! Jednak chrzest całej naszej piątki

się odbył, tylko po kryjomu. Później była komunia święta i mój polski tata robił wszystkim zdjęcia, tak jak jest to w zwyczaju w normalnym świecie. Byłam szczęśliwa – coś takiego może odczuwać tylko ktoś, kto ujrzał strugę blasku ulatniającą się z bezdennej ciemności. Potem godzinami leżałam pod krzyżem na zimnej posadzce, w uniesieniu, dreszczach, modląc się, żeby moi żydowscy rodzice przeżyli. Przez to leżenie nękają mnie straszne bóle w kolanach i ramionach – dozgonna pamiątka po torturze nadziei.



W grudniu Niemcy zaczęli się z Krakowa wycofywać. Felicjanki odzyskały w mieście swój dom i tam się przeniosłyśmy. Panował głód. W dodatku po powstaniu w Warszawie przyłączono do nas dom polskich sierot i dom starców. Gryzły nas wszy i pluskwy. Starcy każdego dnia umierali, lecz nikogo się nie grzebało, w piwnicy zalegały ich bezbarwne, umęczone stosy.

Któregoś dnia z Krysią i jedną zakonnicą wyszłyśmy na miasto szukać jedzenia. Nagle wyrósł przede mną żołnierz na koniu: – Zdrastwuj, dziewczuszka! – Przelekłyśmy się i pędem wróciłyśmy do klasztoru. W nocy słychać było detonacje, waliły katusze, dygotała ziemia, sztucznym żółtawym światłem opalizowały dachy – zbliżali się Sowieci. Żeby nie wtargnęli, zakonnice zamknęły klasztor. Nazajutrz pojawił się mój polski tata, wyrównał rachunek za osiemnaście

dni (cały czas płacił za mnie z nikłej pensji urzędnika pocztowego) i powiedział: – Ninuś, idziemy do domu.

Polscy rodzice zapisali mnie do prywatnego gimnazjum. Zdałam bardzo dobrze, trafiłam od razu do drugiej klasy. Codziennie wieczorem mama prała mi białą bluzkę, bo drugiej nie miałam, i wędrowałam do szkoły schludna i czyściutka, do Instytutu Marii w Krakowie.



Życie upływało nam w miłości, w jej łagodnym, skupionym objęciu, w miarowym takcie jej powszednich, cichych objawień. Pod koniec czerwca (zapach kwitnącego jaśminu niby ślimaczy śluz słodkawy i leniwie oblepiał powietrze) wracam ze szkoły, a tu z naprzeciwka wyłania się dozorczyńni: – Panienko, mam dla paniutki niespodziankę, proszę do mnie zajść.

Wewnątrz czekała moja żydowska mama. Wróciła z Buchenwaldu. Gdy widziałam ją ostatni raz, byłam o głowę niższa, teraz o głowę wyższa. Tulę ją, pędzę do drugiej mamy, wołając: – Mama wróciła, mama wróciła! – I polska mama zlatuje na dół, ściska tę żydowską, i zaprasza ją do nas, na górę.

Tak zamieszkaliśmy razem. Mama żydowska postarała się o pracę w jakiejś kuchni dla powracających z Oświęcimia i przynosiła codziennie garnki z kaszą – wreszcie jadało się do syta. Chciałam zrobić z niej katoliczkę – nie dała się. Niebawem wynajęła pokoi-

obok, na drugim piętrze. Zostałam u Polaków, na trzecim, nie chciałam wracać do Żydów.

W grudniu dozorczyńni znów przyniosła wieści: – Pytają o was jacyś dwaj Moskale. – W łachmanach, wynędzniali jak jeńcy z Sybiru, przywędrowali mój ojciec z bratem. Też u nas zamieszkali. Nie mogłam przyzwyczaić się do tego nowego człowieka (miałam siedem lat, gdy się rozłączyliśmy – teraz dwa razy tyle), który był moim żydowskim ojcem. I kiedy mama biologiczna znalazła większy pokój, i rodzice zamieszkali razem, odmówiłam przeprowadzki – tym bardziej że wciąż bałam się wychodzić na ulicę, a oni chcieli pokazywać mnie wracającym z obozów znajomym.

Tak to ciągnęło się parę lat. Kochałam jednych i drugich i nie mogłam dać sobie z tym rady, do moich zmysłów wkradało się i – cicho jak kot do snu – uwijało szaleństwo. Radziłam się spowiednika, który sugerował, że jako katoliczka powinnam zostać u Polaków. Moje matki tymczasem ze sobą rywalizowały. Wieczorem, gdy ta żydowska wracała z garem kaszy, siadywały w kuchni i rozprawiwały, która ma do mnie większe prawo: ta, co urodziła, czy ta, co uratowała. Nie mogąc tego znieść, uciekałam. Wtedy obie przestrzegały: nie wychodź, bo cię przejedzie auto albo tramwaj – sam Salomon nie potrafiłby wskazać matki właściwej. Gdy szkoła organizowała wycieczki, jedna matka pozwalała mi jechać, druga nie. Żydowska

krzyczała, że Polska to jedno wielkie cmentarzysko, chciała przejść przez zieloną granicę, ale bała się, że nas, jedyne ocalałych z rozgałęzionej rodziny, zabiją. Złożyła podanie o paszport – długo nie dawali, aż wreszcie przyznali. I pewnego dnia przyszła na górę. Nic nie musiała mówić. Ucałowałam polską mamę i zbiegłam na dół. Zabrali mnie taksówką na dworzec. To było błyskawiczne jak porwanie.

Tuż przed odjazdem pociągu odnalazł nas mój polski tata, pocałował mnie, patrzył rannym wzrokiem, zrobił mi na czole znak krzyża i poprosił, żebym o nich nie zapomniała.

Pojechaliśmy do Sztokholmu. Tu nadeszły papiery zezwalające na wyjazd do Ameryki, gdzie matka miała krewnych. Ojciec zaprotestował: – Skoro jest państwo żydowskie, to pojedziemy do Palestyny.

Gdy z końcem 1949 tam dotarliśmy, jedna pani, wysłuchawszy tej historii, powiedziała, że miałam luksusowe *Shoah* – zaznałam tyle kochania w piekle.



Emigranci w Izraelu żyli wtedy w namiotach bez wody i światła, wśród robactwa. Polscy rodzice pisali, że moje koleżanki pozdawały maturę, podostawały się na studia, a ja walczyłam z insektami i w kółko jadłam pomarańcze i chałwę, bo nic innego nie było – śniłam o kaszy, kartoflach. O nauce nawet się nie marzyło. W końcu zdobyłam jakąś pracę i zaczęłam posyłać

do Krakowa pieniądze – ledwo co miałam, ale posyłałam regularnie i moi rodzice też – na Wielkanoc, Boże Narodzenie, na imieniny Tadzia i Ziutki, od których dostawałam listy miłosne czasem dwa razy w tygodniu. Oni też nie dawali sobie rady. Rozłąka kęsała ich serca, pamięć czyniła przeklęta, w twarzach wydręzała koleiny. Cierpiałam Bóg jeden wie jak i starałam się wrócić do Polski, ale ta Ludowa nie przyznawała wiz. Udało mi się przyjechać dopiero w 1979 i to dzięki temu, że pracowałam w Izraelskich Liniach Lotniczych. – Jak cię złapią – poinstruowała szefowa linii – połknij paszport.

Polski tata nie żył już od trzech lat, podobnie jak moje zakonnice, ale żyła mama Ziutka. Odtąd jeździłam co roku. W 1988 otrzymałam wiadomość, że zachorowała. Czuwałam przy niej przez pięć tygodni, aż do końca. Pragnęłam, żeby – jak niegdys ja – ujrzała idącą od wieczności jasność.

Historia Janiny (Baran) Ekier.



ס  
ש  
ש



**J**ako dziecko nie znałam jidysz, zgodnie z zarządzeniem ojca, niegdyś nauczyciela, a potem kierownika szkoły hebrajskiej, w domu rozmawialiśmy tylko po hebrajsku. Niewiele było wtedy takich domów. Nawet nasza służąca, młoda dziewczyna, śpiewała w tym języku pieśni. Ich melodie wyściełały pomieszczenia czystym, świetlistym, atłasowym pokrowcem.

Urodziłam się w małym miasteczku Sokoły w powiecie białostockim, podobnie jak moja śliczna mama Masza Kapłańska, z domu Goldwaser, a także mój brat Abram. Ojciec pochodził z innej okolicy, a niedostatek urody rekompensował starannym wykształceniem (bez przerwy siedział z nosem w książkach) i talentami – znał perfektnie niemiecki, rosyjski, polski, francuski, a później angielski. Najpierw uczyłam się w polskiej szkole powszechnej, a gdy miałam trzynaście lat, rodzice wysłali mnie do Białegostoku, do hebrajskiego gimnazjum. Dziadkowie ze strony mamy prowadzili

sklepiak, a następnie manufakturę, którą zarządzał tatuś. I im, i nam powodziło się bardzo dobrze.

Szczęście, że po wybuchu wojny nasza okolica znalazła się po rosyjskiej stronie, bo wciąż mogłam uczyć się w szkole. Jednak w ramach walki z kontrrewolucją język hebrajski został zakazany, dlatego szkoła przeszła na jidysz – to śmieszne, ale tak właśnie się stało. Ojciec chciał uciec od Rosjan do Wilna, które było wtedy wolnym miastem wcielonym do Litwy (ta jednak krótko cieszyła się niepodległością) – a stamtąd zamierzał wyemigrować do Palestyny. I udało mu się wraz z moim bratem przejść granicę, chociaż aż trzy razy ich łapali. Mama i ja miałyśmy dołączyć do nich później, ale granicę zamknięto. Zostałyśmy. Mama w Sokołach, ja w Białymstoku. Takich jak mama Sowietci nie lubili. Zamożna i jeszcze syjonistka. Nie wolno jej było wyjeżdżać z miasteczka, więc odwiedzała mnie nielegalnie. Gdy ktoś zapukał, chowała się do szafy. Wchodzili i pytali: – Czy tu mieszka Kapłańska Maryja? (Tak ją nazywali).

– Nie, ja nie znam tej kobiety – odpowiadałam, głaszcząc jak kota, gładki, chytry grzbiet kłamstwa.

Później Sowietci odebrali Wilno, otworzyli granicę i po dwóch latach mogliśmy dołączyć do ojca i brata. Ten nadal uczył się w Wilnie, ale ojciec już tam nie mieszkał, bo był uchodźcą. Przeniósł się do małego litewskiego miasteczka Pilwiszki koło Kowna.

Chcieliśmy jednak zjednoczyć rodzinę i mama załatwiła jakoś lewe papiery umożliwiające nam wyjazd do taty. Wtedy nagle wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka. Kiedy mama kupowała bilety na pociąg do ojca, policjant kontrolujący dokumenty spoliczkował ją: – Jak śmiesz, Żydówo, jechać niemieckim pociągiem, taka i owaka! – Mama obejrzała ten policzek w lustrze, jakby sprawdzała, czy nadal tam jest, czy też pozostał po nim jedynie niemrawy, białawy kontur.

Wówczas zadecydowała, że pojedziemy furmanką. Umówiła się z furmanem na niedzielę, a w sobotę wkroczyli Niemcy. Ogłosili, że mamy dwadzieścia minut na zabranie rzeczy i won. Właściwie byliśmy już spakowani, wybieraliśmy się przecież do tatusia, tylko w pokoju brata zostało trochę ubrań i cukru. Brat wlał naftę do pojemnika z cukrem, żeby oprawcy nie mogli go zjeść. (Słodycz miała cenę, ludzie uganiaли się za prawdziwym cukrem w te żniwa piołunowych łez). Niosąc swoje tłumoczki (brat książki i zeszyty), szliśmy wraz z innymi przez Zawalną, główną ulicę w Wilnie, na którą przedtem zabraniano Żydom wstępu; szliśmy w niemym, wystukiwanym nierównym, nerwowym rytmem obcasów pochodzie do getta. Stały tu opróżnione z mieszkańców, ciemne, zaplombowane i zaryglowane lub zaparte deskami domy, które w zapadłej nocy i rzęsistym deszczu wyglądały jak dryfujące w otchłani widma. Co robić w tej pustce,

w tej ulewie? – zastanawiali się ludzie i odryglowywali domy. W jednym pokoiku lokowało się po kilka rodzin. Mebli nie było, tylko parkietowa podłoga i jakiś wystużony siennik. Starsi mościli się na siennikach, młodzi na podłodze. Obmywała nas zimna woda z kranu, drętwą, mrożąca ciało, wybawicielka od brudnych plag.

W getcie przeżyliśmy, ukrywając się to tu, to tam, trzy akcje. Chcieliśmy uciec od śmierci. Pewnego dnia odwiedził nas kuzyn z Białegostoku. – Nie pytajcie o nic – rzekł. – Pojedziecie ze mną, bo w Białymstoku jest lepiej.

Aryjskich papierów nie mieliśmy, ale kuzyn przekupił Niemców, żeby nas wywieźli z getta. – Dokąd to, bracia? To znowu akcja? – pytali Żydzi, widząc, że czekają na nas Szwaby. Mama uspokoiła ich, że po prostu uciekamy. I ludzie błogosławili nas ze słowami: – Obyście przeżyli, obyście opowiedzieli światu...

W getcie białostockim przydzielono nam mały pokój, a mama i brat pracowali w szopach. Na początku zostałam zatrudniona w judenradzkich ogrodach. Rosły tam ogórki, pomidory, marchew i buraki – barwna, buńczuczna wyspa sytości. Niemcy dzielili warzywa na skąpe racje żywnościowe dla mieszkańców getta, ale ci, którzy obrabiali ogród, mogli jeść, ile chcieli. Więc jedliśmy, jedliśmy, jedliśmy.

Brat mój Abram należał do podziemnej organizacji, wydawał nielegalną gazetkę, był dobrze poinformo-

wany – zatem pierwsi dowiedzieliśmy się, że szykuje się akcja. Członkowie organizacji spotykali się i o tym rozprawiali. Jedni zamierzali posłać grupę naszych do walki w getcie, drudzy uważali, że to nic nie da, i lepiej uciec do lasu. Raz, kiedy było jeszcze spokojnie, poszłam do pracy z grupą, której przydzielono zadanie piętnaście, szesnaście kilometrów od Białegostoku. Pod koniec zmiany, gdy wszyscy szykowali się do wyjścia, skryłam się w ubikacji, zdjęłam żółtą łatę z gwiazdą Dawida i powędrowałam do znajomych Polaków we wsi Gołębie – do Markowskich. Chciałam tylko dokładnie poznać trasę, żeby – gdybym podjęła decyzję o ucieczce – nie pytać ludzi o drogę.

– Oj, Rachelka, jak ty wyszłaś z getta?! – zdumieli się na mój widok, nakarmili, powypytywali. Poprosiłam, by nie wspominali przy sąsiadach, że jestem Żydówką, bo wieś mała, obcy kłuje w oczy. A ja włosy miałam jasne i spojrzenie niebieskie, nie jak teraz: wyblakłe, sterane, i tymi włosami, tym spojrzeniem omijałam prawdę. Gdy ludzie ciekawili się: – A co ty za jedna? – przedstawiałam się: – Szmuglerka z Białegostoku, igłami, mydełkiem handluję, tylko dzisiaj to już wszystko sprzedane. – Zaczęli więc u mnie zamawiać a to nici, a to mydło, a to igły, a przy tym zagadywali, co tam w mieście, jak Niemcy. Kiedyś przyszła do Markowskich stara kobieta, Salomea Brzozowska, zaprzyjaźniona z nami przed wojną,

mądrała ją we wsi nazywali, i zapomniawszy o ostrożności, chlapanęła w rozmowie: – A ciekawe, co na to Rachelka powie? – Co, Żydóweczka? – nastroiły uszy kobiety. – Ale gdzie tam – zmitygowała się mądrała – ona z polskiej szlachty się wywodzi, to pańskie imię, chrzestną jej jestem.

Któregoś dnia zaczęłam syna Markowskich, Franka: – Słuchaj, wy macie w lesie działkę. A gdybyśmy przyjechali z grupą młodych Żydów i wykopali ziemiankę na ukrycie, pomógłbyś nam? Zapłacimy. – A on: – Pieniędzy nie trzeba. Pomogę.

Nazajutrz szykowałam się wracać do getta z dobrą wieścią, gdy zjrzał Franek: – Rachela, ty nie jedź – przestrzegł. – Niemcy zamówili wszystkie wozy, mają zabrać Żydów, nikt nie wie dokąd. – I zostałam u nich w małym alkierzu za piecem. Nikomu się nie pokazywałam. Zaczęłam robić dla nich na drutach swetry, pończochy, szaliki. Nocami pukali do Markowskich Żydzi – uciekinierzy z pobliskich miejscowości, prosili gospodynię, żeby upiekła im chleb i jego zapach przenikał przez ściankę alkierza, otulał lęki, sptycał szramy na ścianie, wiódł w sen. Przychodzili nieustannie i Markowska piekła chleb, i piekła. Jeden z przybyłych odmroził sobie nogę – podarowała mu koc i na odchodne poczęstowała zupą. Wtedy pomyślałam: pójdę z nimi, bo usłyszałam, że jak złapią u Polaka Żyda, to i tego Żyda, i Polaka wraz z rodziną zabiją.



Przygotowałam się już do wyjścia, a Markowska zdziwiła się: – A dlaczego tyś ubrana?

– W lesie z nimi się skryję.

– Ty, dziewczyno, siedź tutaj i się nie ruszaj – nakażała, poprawiła chustkę na głowie. – Tyś niezwyczajna do leśnego życia.

I zostałam przez następne trzy tygodnie. Noce nie witały się już ze snem. Raz chałupę nawiedzali uciekinierzy, raz szmalcownicy – chodzili od domu do domu i szukali Żydów. Jak Markowska to przetrwała, nie wiem – może tym chlebem rzucała na nich urok, a może krew jej studził jakiś tajemny szept, ten sam, co zasila tętnice, gdy wspinamy się na majaczący w oddali szczyt, utraciwszy z pola widzenia drogę powrotu. W każdym razie po trzech tygodniach zakomunikowałam, że wracam do Białegostoku.

– A jak ty tam dotrzesz?

– Poradzę sobie. Modlić się nauczyłam po polsku. Każdy weźmie mnie za Aryjkę.

Markowska wyjęła z szafy wsiową chustę – taką, jaką nosiła i ona, i tutejsze baby – a do tego metrykę urodzenia swojej córki, bez fotografii, jedynie z odciskiem palca. Ktoś z rodziny zachnął się, że jak mnie złapią, to wszystkich czeka stracenie, ale Markowska zapewniła, że nawet jak złapią, to nikogo nie wydam. Później wręczyła mi jeszcze medalik z Matką Boską i zaleciła rzeczowo: – Rachelko, módl się do niej

w niebezpieczeństwie, módl się także po swojemu, boć to przecie Żydówka.

Schowałam medalik. Zawiązałam pod brodą chustę. Piał kogut.



Docieram do getta, a tam martwo, wejścia zamknięte. Krążę wkoło jak ptak zakreślający kręgi nad ściernikiem. Nie mogę wrócić do wioski, jest zbyt późno. Ruszam przed siebie, nie wiem dokąd. Napotykam kolejarską budkę – dobre miejsce na noc. Ale ktoś się zbliża: mężczyzna w kolejarskim mundurze. – A co ty tu robisz, dziewczyno? – zagłada mi w oczy, odpowiadam niebieskim spojrzeniem. Kłamię, że byłam w mieście u doktora, bo leczę zęby, chciałam wrócić do domu, ale uciekł mi pociąg. – Nie kręć się tutaj, będą podejrzać, żeś Żydówka. Żydzi skaczą teraz z pociągów – kolejarz jest życzliwy, radzi zapukać do pobliskiego domku, w którym żyją na wiarę wdowiec z wdówką.

Posłuchałam. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitałam się od progu. Pozwolili mi przenocować. Wyjęłam ze swego tłumoczek chleb i ser od Markowskiej. Jemy, śpiewamy przy stole, a ten wdowiec raptem nie wytrzymuje z ciekawości: – A skąd ty jesteś, dziewczyno?

– A z Gołębi.

– Przecież i ja z Gołębi! – cieszy się.

– Ale my, jak wojna wybuchła, przenieśliśmy się gdzie indziej – staram się o spokojny, równy głos, spojrzeniem niebieszczy. – Dziwne, że pana nie pamiętam.

– Oj, dziewczynko, sześć lat miałem, kiedy z rodzicielami wieś opuściliśmy za lepszym chlebem.

Oddycham z ulgą, rozmowa raz się klei, raz nie, płomień lampy naftowej podryguje niemiarkowo, spazmatycznie, jakby się krztusił, a tu przychodzi w odwiedziny syn wdowy – młody chłopak, wyrosnięty – przygląda mi się świdrująco, wreszcie, zastrzegając, żebym się nie obraziła, pyta, czym przypadkiem nie Żydóweczka.

– Rany boskie, to ja do Żydówki podobna?! – trzeba się roześmiać, pełną gębą, szczerze, żrenicami zaniebieścić. Wdowiec rozdziera się: – Ty skurwysynu! – pęcznieją granatowe żyły na jego skroniach. – Toż ona z tej samej wsi, co ja!

Tamten kuli uszy, żegna się.

Nazajutrz udałam, że mam umówioną wizytę u dentysty i wędrowałam wzdłuż torów kolejowych, które pojękiwały jakimś znajomym, przeciągłym dzwonieniem dopominającej się o coś dali. Niedaleko, wokół kobiety w kałuży krwi, jak pszczoły do plastra przywarli ludzie. Waham się: podejść czy nie. A jeśli ktoś mnie pozna, jeśli odkryje moje z nią pobratymstwo, jeśli moja żydowskość przykuje mnie do tego miejsca, tej krwi, tego losu?

– Co tam się dzieje? – wołają w moją stronę idący nasypem chłopi.

– Baba jakaś leży, pewno Żydówka – odkrzykuję wyraźnie, dziarsko.

Potem, kładąc się po kolacji na sienniku przygotowanym przez wdowę, postanawiam tej nocy nie zasypiać, bo czasem krzyczę przez sen. Przed świtem wszystkie mary unoszą się i odsłaniają biały, miękki horyzont. Odpływam. – Wstań, dziewczyno, budź się! – wdowa potrząsa mną, odciąga koc. Zrywam się na równe nogi: – Co się stało? – A płakałaś, krzyczałaś, nie po naszemu, nie po polsku.

Jaskrawe światło obejmuje już izbę, odsłaniając lichotę klepiska, pożarte przez korniki sęki skrzyni na pościel, czarne wężyki mysich odchodów ciągnących się wzdłuż krawędzi podłogi. – Śniło mi się – mrużę oczy – że dostałam zły stopień na egzaminie z angielskiego. Chciałam po angielsku udowodnić nauczycielce, że mnie skrzywdziła.

Wdowa patrzy na mnie z uznaniem: – Co za dziewczyna, nawet po nocach się uczy – i wraca do krzątaniny przy piecu.



Później otworzyli getto, mogłam wrócić.

W białostockim getcie odbywały się walki, był jednak problem z bronią. Częściowo wytwarzało się ją chałupniczo, głównie granaty. Brat dostał nawet

karabin, ale w ostatniej chwili mu go zabrali i oddali bardziej doświadczonemu – takiemu, co służył w polskim wojsku. W końcu, na sześć tygodni przed wyzwoleniem, kiedy dało się już słyszeć sowieckie armaty, podjęliśmy decyzję, że uciekamy całą grupą do lasu, w tym mama, brat i ja.

W wiosce przycupniętej do przeciwległej strony miasta mieszkał kolega Abrama, jeszcze ze szkoły powszechnej. Jednego wieczoru brat pojawił się w tej chałupie i wyznał gospodarzowi, że jesteśmy grupą chroniących się w lesie Żydów i chcemy kupić chleb. A tamten na to: – Teraz mam tylko jeden bochenek, ale wpadnij jutro, będzie więcej.

– Nie chodź tam! – zawołałam, tknięta przeczuciem; dotąd nie miewałam przeczuc, chowały się pod ciężarem zamętu, pod skorupą mechanicznych czynności, w kleszczach powszednich zgryzot, lecz on spojrzał na spuchniętą z głodu mamę, zabrał ze sobą Wacka – chłopca z naszej grupy, Żyda z Warszawy, któremu pomógł pewien Polak o nazwisku Stasiak Śliwowski – i powędrowali na wieś. Wtedy coś tknęło też Abrama (ponieważ przeczucia mają skłonność do mnożenia się): – Zostań – rzekł do Wacka. – Jeśli zginę, przynajmniej jeden pójdzie dalej.

I Wacek został. Z chałupy przenikały odgłosy szamotaniny, a potem odjechała fura – przewieźli brata na żandarmerię, do naszego miasteczka Sokoły.

Zobaczyła go tam staruszka Markowska (zupełnie z innych Markowskich), która kiedyś u nas prała, a którą, dziećmi będąc, nazywaliśmy Koka. – Abramczyk, a co ty tutaj robisz? – załamała ręce.

– Pani Markowska, niech mnie pani stąd wypuści – szepnął jej do ucha. – Ja mam w lesie skarb, ja panią ozłocę.

– Ale Abramczyk, jak ja mogę to zrobić? Ty uciekniesz, a oni mnie zabiją. Co mi ze złota?

Zrozumiał. Napił się kawy, zjadł kawałek chleba, który mu przyniosła.

Nazajutrz żandarmi zażądali, żeby wskazał im miejsca, gdzie ukrywają się partyzanci. Powiódł ich do osady oddalonej o dziesięć kilometrów od naszej kryjówki. Opowiedział mi o tym Polak – woźnica. Również o ostatnich chwilach brata, który rozmawiał z Niemcami w ich języku. Czytali gazetę. Rzucił na nią okiem i odezwał się: – Wasz koniec niedaleko, ale mój jeszcze bliższy. Szkoda, Niemcy byli kiedyś narodem myślicieli i poetów. A wy dwaj? Dlaczego zostaliście mordercami?

– Wykonujemy rozkazy – jeden z nich przewrócił stronę gazety. Dodał, że zasady strzegą porządku cywilizowanego świata, jego hierarchiczna konstrukcja chroni przed chaosem jak górskie powietrze przed gruźlicą.

Abram zeskoczył z fury, biegł zygzakami. Otworzyli ogień, upadł.



Mamusia powtarzała w kółko, że pójdzie oddać się w ręce Niemców. Błagałam: – Masz jeszcze córkę, nie idź. – Zatrzymaliśmy ją siłą, ja i Wacek. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że tatusia też zabili w tym litewskim miasteczku koło Kowna. Z Żydów nie ocalał tam prawie nikt, sami kopali sobie groby.



W centrum rozbisurmanionego sierpnia 1943, pod nocnym niebem pożyłkowanym świetlistymi szlakami rozszałałych meteorytów, ja i matka wędrujemy z lasu do lasu, od wsi do wsi. Matka słabnie z głodu. Na ścierniskach szukamy zapodzianych ziaren żyta. Lato jest suche i leśne strumienie uwięzły w mule. W końcu mama decyduje: pójdziemy do ludzi, może się zlitują.

Pukamy do chałupy na skraju. Na płycie kuchennej skwierczą słonina i kartofle. Pytam, czy znalazłoby się dla nas coś do jedzenia. Jeden z domowników odzywa się, wskazując mamę: – Ja tę starą znam (mama była wtedy po czterdziestce). To Żydówka.

– Ależ skąd! – zaprzeczamy, bliskie omdlenia. Gospodyni wskazuje drzwi: – Traciecie czas.

A mama błaga: – Może choć chleba trochę, kartofla.

– Kartofle to są w kopcach – sarka gospodyni.

– W kopcach przecież niegotowane. – Pociągam matkę za rękę, wychodzimy. Po raz pierwszy od chwili

ucieczki rozklejam się i becę. Nagle słyszymy za sobą kroki – to gospodarz nas dogania, niesie suchary. Nie chcę wziąć, ale mama je chowa. Żywimy się nimi dwa dni.

Kilka dni później wkraczają Sowieci.



Do Izraela przyjechałam w 1948. Kiedy wyszłam tu za mąż i mieszkałam jeszcze w kibucu, poczułam, że muszę do nich napisać. Markowscy, wieś Gołębie, gmina Poświętne – zaadresowałam, a w liście poinformowałam, że żyję i chcę odnowić kontakt. Zaczęłam wysyłać im paczki (wtedy sama jeszcze niewiele miałam), wnuczce Salomei Brzozowskiej załatwiłam tu pracę opiekunki małych dzieci.

Helenie Markowskiej, zanim umarła, dostarczałam lekarstwa. Gdy opuściłam kibuc, pojechałam z synem do Polski. Jedna córka Markowskiej mieszkała w Gołębiach, a syn w Łapach niedaleko Białegostoku. Mój syn nie miał z nimi języka do rozmowy, bo oni po angielsku nie mówili i po hebrajsku też nie, a on po polsku zna tylko te piosenki, których uczył go tata – Żyd.

Czas nic nie zmienił, czuję do nich to samo, co do krewnych. Niekiedy w dni osuwających się Perseidów, zwłaszcza gdy widoczne z mego mieszkania wody zatoki kulą się od zachodniego wiatru, widzę chałupę na obrzeżach lasu, a w niej szczepionych ze



sobą, pogrążonych w sobie pod jedną pierzyną anioła i demona. I dopiero gdy wiatr cichnie, a wody się prostują, jem słodkie figi i winogrona.

Historia Racheli (Kapłańskiej) Kalisher.



עב  
ות  
תש  
שן



**G**rzebity księżek w księgarni należącej do mojego ojca, powleczone ledwo widoczną warstwą kurzu i tytułami w złotych zgłoskach, poukładane na półkach w szczelnie zbite szeregi, tworzyły najsolidniejszy widok mego dzieciństwa – nie stół, krzesła czy podłoga, lecz zmagania z odwiecznymi tajemnicami istnienia, opancerzone w skórzane oprawy, tchnęły skrzepłym spokojem trwałości. Ojciec prowadził księgarnię koło kościoła, na Rwańskiej w Radomiu, dokąd przed wojną przenieśliśmy się z Warszawy, z ulicy Złotej.

Moja rodzina żyła w Polsce od tysiąca lat. Rodzice uczyli mnie: w każdym szukaj człowieka, nieważne, w co wierzy i jakiego jest wyznania. Miałam koleżanki Żydówki i Polki, a nawet jedną pół-Niemkę, której ojciec, pijak nie z tej ziemi, po powrocie do domu od razu zabierał się do bicia żony. Wtedy córka uciekała. Mój ojciec zaproponował jej: – Jeśli czujesz się w domu źle, możesz przyjść do nas.

Po wybuchu wojny Niemcy od razu wyrzucili ojca z księgarni i go stłukli. Na początku powtarzał, że się ich nie boi, bo pamiętał Niemców z 1918 i sądził, że ci są tacy sami.

Na początku tej zawieruchy zwróciłam się do nich z prośbą, żeby mi pozwolili na wyjazd do Lwowa, do narzeczonego. Chciałam być blisko niego i jak najdalej od nich.

Włożyłam do walizki parę ubrań i zdjęcia bliskich, nic więcej. Na tych fotografiach wszyscy mieli poważne, łagodne twarze, oczy zwrócone w oswojoną, przewidywalną dalekość. Spodziewałam się, że bolszewicy tylko przetrzepią mi bagaż i przepuszczą, ale oni wsadzili mnie do więzienia. Ciągłe pytałam: – Dlaczego mnie aresztowaliście, czego ode mnie chcecie? Dam wam adres mojego chłopaka, zadzwońcie do niego. Za szpiega mnie macie czy co?

Wypuścili mnie po dwóch miesiącach. Po narzeczonym zaginął słuch, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, gdzie się podziać. Zatrudnił mnie wówczas pewien adwokat, który poszukiwał pomocy domowej. Już dawno zapomniałam, jak smakuje kawałek chleba z szynką, tam sobie przypominałam. Mecenasostwo przyjaźnili się ze swoimi sąsiadami: sędzią Stanisławem Poliwnką i jego siostrą Wiktorią. Ci mnie też polubili. Kiedy, już za panowania Niemców, zaczęły się łapanki, Wiktoria zapowiedziała, że w razie czego

mnie przechowa. Siostra sędziego była przekrzywiona – w dzieciństwie, na wsi, złamała nogę, która została niefachowo złożona, wyzbywając ją marzeń o zamążpójściu i słodko-gorzkich doświadczeń przynależnych jej płci. Sędzia na stałe mieszkał w Rzeszowie; przyjeżdżając do Lwowa, zatrzymywał się u Wiktorii, za ścianą adwokata.

Jednego dnia napataczam się na znajomego, o którym nigdy bym nie pomyślała, że to Żyd. – Pani ma kontakty w katolickim świecie – zdejmuję elegancki czarny kapelusz, kłania się – Proszę pomóc uratować moją rodzinę.

– A jakie ja mam możliwości uratować pańską rodzinę, panie Cybryk? – zdumiałam się. A on swoje: – Niech mi pani pomoże. My was wynagrodzimy po wojnie, ja się panią zajmę, bo nie przypuszczam, żeby pani rodzice przeżyli.

Cybryk załatwił dla siebie, dzieci i żony papiery na wyjazd do Ameryki, a chciał ocalić rodziców, siostrę i jej dziecko.



Porozmawiałam z Wiktoria. Zapewniłam, że Cybryk jest bardzo bogaty, ma posiadłości, na nich młyny i tartaki niedaleko Lwowa i w podzięce za pomoc po wojnie przepisze na nią ziemię. – Wykluczone – odparła, lecz po dwóch dniach zmieniła zdanie: – Jak chcesz, to tego pana przyprowadź.

Spodobał się jej – dogadali się. Według umowy miał kupić duże mieszkanie i zakamuflować w nim kryjówkę. Tak też się stało. Wielki korytarz dzielił apartament na dwie części. W jednej urządzono bibliotekę – nikt by się nie domyślił, że za regałami z książkami znajdują się drzwi, tak jak nikt nie wie, w którym miejscu i czasie jeden wymiar przekracza granicę drugiego.

Wiktoria nieoczekiwanie postawiła nowy warunek: wprowadzi się do tego mieszkania, ale ze mną. Dopiero po wojnie dowiedziałam się dlaczego.



Tymczasem pod nieobecność adwokata do jego domu wtargnęli gestapowcy, bo dozorca doniósł, że są tam Żydzi. Adwokatowa nic nie pisnęła, więc ją zabrali. Za uwolnienie jej mąż dał dużo pieniędzy – forszę wzięli, a żony nie wypuścili. Na ostatnim widzeniu prosiła, żeby o mnie nie zapomnieli, dlatego zaproponował, żeby z nim wyjechała. Biłam się z myślami. Warunek postawiony przez Wiktorię oznaczał, że ode mnie zależały losy rodziny Cybryka – miałabym wziąć na sumienie ich życie? Miałabym własny komfort położyć na szali cudzej zguby? Powiadomiłam Wiktorię, że się zgadzam. Niebawem wszyscy, którzy zamierzali się ukrywać, zgromadzili w nowym mieszkaniu potrzebne rzeczy, a Cybryk ze swoją rodziną po dwóch tygodniach zabrał się w podróż za Ocean. Niemcy obiecali, że właściciele zagranicznych



paszportów będą mogli dotrzeć bezpiecznie do Anglii lub na Węgry albo przez Szwajcarię do Kanady i Ameryki. Jakiś psi instykt kazał mi go ostrzec: – Panie Cybryk, pan i żona wyglądacie jak stu Aryjczyków, ja bym na pana miejscu nie wyjeżdżała, pan tu śmiało może się urządzić.

Nie słuchał, żył amerykańskim snem – to on go wabił. (W snach wolna wola zanika, sny mają nad nami władzę).

Niebawem nadeszła od niego czarno-biała pocztówka z widokiem Jeziora Bodeńskiego, gładkiego i lśniącego, zasnutego chłodem metalicznego błękitu – i już nic więcej. Dowiedzieliśmy się później, że tych emigrujących Żydów okradziono z pieniędzy i kosztowności i potopiono.



Wiktoria Poliwka, pobożna katoliczka, dobra dusza, we wszystkim, co robiła, dostrzegała nakaz boży. Uważała, że jeśli Matka Boska chce nas uratować, to ona, Wiktoria, musi w tym pomóc.

Myśleliśmy, że wojna potrwa niedługo, ukrywająca się rodzina nie dysponowała odpowiednią ilością pieniędzy na wykarmienie tylu gęb. Sama nie miałam nic. I zaczęło się głodowanie. Córka starszych państwa i jej synek chorowali na gruźlicę, powinni dobrze się odżywiać, a wszyscy dostawaliśmy po kawałku chleba z rana i wieczorem, do obiadu cieniutką zupełną pęczakową.

(Od tego czasu, choćby mnie ozłacali, pęczaku do ust nie wezmę). Trzeba było zastanowić się, jak zarobić na życie. Zdecydowałyśmy, że Wiktoria będzie brała od ludzi bieliznę do prania, cerowania i prasowania, a ja jej pomogę. Kiedy zaczęła wychodzić po zlecenia do miasta, przynosiła straszne wieści: Niemcy odkrywali w katolickich domach ukrywających się Żydów, wyciągali ich na ulice razem z dającymi im schronienie Polakami i kazali chodzić z chorągwiami z napisem: „Jestem świnia”. Potem zabijali.

Chorą na gruźlicę nękały już regularne krwotoki – a tu ani do lekarza pójść, ani go wezwać. (To wtedy zrodziła się w mej głowie myśl, że jeśli przeżyję, zdam na medycynę). Robiłam, co mogłam, żeby chorej ulżyć. I mnie, i ją nękały już myśli samobójcze. Byłam bez rodziny i pragnęłam jedynie, żeby to się jak najprędzej skończyło. Gruźliczka mawiała (spokojnie, nie podnosząc głosu), że gdyby nie dziecko, skończyłaby ze sobą dawno. Wiktoria też szarpała nerwy. Zaproponowałam jej: – Pani jest roztrzęsiona, pani musi odsapnąć, niech pani jedzie do brata, a nas proszę zamknąć na klucz. – W ten sposób dawałam jej szansę niepowrotu, sobie – skończenia życia.

Ale brat Wiktorii ją zbeształ, że jest okrutna, jak mogła, dziwił się, w bogobojności swojej zamknąć nas i odejść. Jednej nocy miał sen, że kogoś z nas zabrała śmierć, i natychmiast razem z siostrą przyjechali

do Lwowa. Ledwie weszli, a sędzia mówi: – Tu u was leży trup. – A ja na to: – Tak.

Umarł ojciec chorej na gruźlicę. Siedzieliśmy z nim już pięć dni, trzeba było go usunąć. Mieszkaliśmy na trzecim piętrze, zwłoki wynosiliśmy o jedenastej w nocy. Jeden wziął go za rękę, drugi za drugą, trzeci za jedną nogę, czwarty za drugą i tak schodziliśmy w milczącym widmowym pochodzie. Sędzia, sam bladej jak trup, wykopał dół w piwnicy. Później trzeba go było udeptać, a nadmiar ziemi załadować do wiader, tak że uwijaliśmy się do rana. Wracamy, a z podwórza dobiega zrzędlawy głos gospodyni: – Do jasnej cholery, co tu się dzieje? Dopiero co widziałam dół, teraz dołu nie ma, idę na policję. – Usłyszawszy to, sędzia nakazał Wiktorii, by przekazała babie, że przywieźliśmy ze wsi trochę masła, sera, jajek (wtedy to były brylanty), i że się z nią podzielimy. Szczęściem, dla dozorczyńni sędzia to był wielki autorytet i kiedy zjawiła się po te sery, a on ją skarcił: – A ja myślałem, że z pani mądra kobieta, a pani rozpowiada bajdy o jakimś dole, trzeba było od razu iść na gestapo, teraz wszystko wyda im się podejrzanym i pierwszą panią wsadzą – to spokojnie. Lecz mnie nie opuszczał niepokój. Poprosiłam Stanisława: – Zabierz siostrę i wyjedźcie, my i tak nie przeżyjemy, z jakiej racji i wy macie ginąć? – lecz on odparł jedynie: – Co będzie z wami, będzie i z nami. – Został jeszcze tydzień, bo nie miał do dozorczyńni

zaufania. Później zagroziłam, że jak nie wyjedzie, to ucieknę, więc posłuchał. Obiecał, że pozostaniemy w stałym kontakcie.



Wkrótce zachorowała babcia, żona zakopanego. Nic konkretnego jej nie dolegało. Zamilkła, skierowała się do wewnątrz, do dawnej siebie, gdzie rozgrywały się rzeczy minione, w ładzie i porządku świata, który minął, w lustrach przywiązanych do swych solidnych, wiernych odbić. Niczym nie można było podtrzymać jej na duchu: ani wiktem, ani słowem, ani lekiem. Jeszcze gdy żyła, zaczęliśmy zastanawiać się, co zrobimy z ciałem. Kopać ponownie w piwnicy nie sposób, ale w mieszkaniu była ogromna kuchnia z piecem do wypiekania chleba. Pomyślałam, że babcię trzeba zgiąć i wepchnąć tam od tyłu, bo inaczej będą sterzczyć nogi. Tak uczyniliśmy. Palimy ją, a na zewnątrz burza, wichura świszcząca, wyjąca, drzewa gnąca – taki traf, bo przecież nie da się palić przy zamkniętych oknach – więc naszych okien, otwartych w ten ziąb na oścież, dymiących kłębamii spopielałego życia, nikt nie zauważył, bo każdy siedział w czterech ścianach, ulice zionęły pustką. Córka gruźliczka kostki po matce schowała, żeby je kiedyś po ludzku pogrzebać.



Raz słyszę łup, łup, łup – kroki niemieckich buciorów – tylko oni tak chodzili. Schowaliśmy się do dziu-

ry, do tej wnęki za biblioteką. Mieli psa i dwóch pomagierów z policji ukraińskiej. Pomyślałam: jak wejść z psem, to po nas. Ale posłali tylko Ukraińca – chodząc od domu do domu, szukali jakiegoś Polaka. Ukrainiec zajrzał do wszystkich pomieszczeń, Polaka nie znalazł i poszedł. Wiktoria uklękła i się przeżegnała: – Strzeże was Matka Boska.

Z mieszkania wychodziła tylko ona. Zaopatrywała nas w chleb. Przykrywała go bielizną, jako ta praczka, co wynosi w koszu brudy i odnosi czyste. Po wojnie jedna z sąsiadek wyznała mi, że domyślała się, że u nas coś się dzieje, bo Wikci nie było większość dnia, a na górze szurały kroki i bulgotała spuszczana w ubikacji woda – no cóż, człowiek jest zaledwie człowiekiem, z gównem chodzić nie sposób.



Chciałam dostać się na medycynę, lecz komuniści uznali, że jestem burżujką, inaczej nie przeżyłabym bez pieniędzy. A ja zostałam w jednej sukience – wszystko się wyprzedawo na kawałek chleba, nawet ręczniki. Dotarłam do rektora i zrelacjonowałam, jak przetrwałam. I on, wysłuchawszy mnie, zapewnił: – Będzie pani studiować.

Tak skończyłam Akademię Medyczną w Łodzi, zostałam lekarzem chorób wewnętrznych. Przemykało mi przez głowę: chyba mnie Pan Bóg zachował, żebym mogła służyć ludziom. Pomagałam każdemu.

Kiedys zgłosił się do mnie Niemiec, nie pytałam, gdzie był w czasie wojny – zachorował, więc go leczyłam. Ale jedną Niemkę, którą zatrudniłam jako pomoc domową, wyrzuciłam, bo zdarzyło się jej wygłosić pogląd, że psioczy się tylko na Niemców, a Polacy robili Żydom to samo. A ja na to: – Ty mnie będziesz uczyć, kto co robił? Pakuj manatki.

Wiktoria jakiś czas przebywała u mnie w Łodzi, Stasiowi pomogłam załatwić mieszkanie w Toruniu, gdzie dostał posadę – miał z tym ogromne trudności, bo jego żona była urodzoną w Polsce Niemką (wyjechała wkrótce do Niemiec z ich roczną córeczką), a w dodatku on, zaprzysięgły antykomunista, nie znosił nowej władzy. Powiedziałam mu kiedyś: – Stachu, jak się wam odwdzięczę? – Żyjesz – odparł. – To moja zapłata.

W końcu Wiktoria wygadała się, czemu uparła się, żeby zamieszkała z nią w lokum przeznaczonym do ocalenia żydowskiej rodziny. Wykombinowała sobie, że ja za Stacha wyjdę i przyjmę chrzest. Wytłumaczyłam jej, że nigdy nie zmieniałabym religii, nawet gdybym zakochała się po dziurki w nosie, nie dlatego, że jestem nadmiernie wierząca, ale dla zasady – cała moja rodzina zginęła, bo byli Żydami, tylko ja ocalałam, tylko we mnie krążyła ich krew, tylko moje oczy otwierały lżą ich zamknięte na wieczność powieki. Wiktoria już nigdy tego tematu nie poruszyła. Umarła

cicho, bez skargi – tak jak powłóczyła swoją przekrzywioną nogą. Później zmarł Stach. Oboje leżą w Toruniu. Już nikogo w Polsce nie miałam. Wyemigrowałam do Izraela w 1967. W dniu mego wyjazdu powietrze przenikało wilgotne, bezbarwne zimno, na gałęziach krzepły kryształki lodu i zdawało się, że za chwilę urosną jak liście.

Historia Marii Polańskiej.







Maj 1941 roku,  
dzieci żydowskie na terenach Generalnego  
Gubernatorstwa, autor nieznany.

FRZ  
FZ  
FM  
EK



**Z**imą w nocy wywracaliśmy się na lodzie, bo do ubikacji chodziło się na podwórko. Gdy leży się na grzbiecie, gwiazdy, o dziwo, wydają się bliższe i jarzą się tak, jakby szykowały się do lotu w dół, ale kiedy się wstaje, znów wspinają się na najwyższe, tylko w siebie wpatrzone piętra nieba.

Mieszkaliśmy w Warszawie przy ulicy Stawki dziecięć, w dzielnicy żydowskiej biedoty, na trzeciej kondygnacji dużej kamienicy, chyba ze stu lokatorami żyjącymi w strasznej ciasnocie. Spałem w jednym łóżku z ojcem i siostrzyczką, bo było nas ośmioro dzieci. Wiedliśmy szczęśliwe życie.

Ojciec miał sklep ze skórą do wyrobu podeszew, a matka sklep przyborów szewskich naprzeciwko naszej kamienicy. Nieopodal kwitł handel na wielkim bazarze Wołówka. To dlatego, mimo niedogodności, rodzice nie przeprowadzali się – tu łatwo zbywało się towar.

Z żydowskimi kolegami grywałem w szmaciankę i palanta. Z Polakami nie miałem kontaktu, chyba że sporadycznie, nie znałem nawet polskiego języka, w przeciwieństwie do moich starszych braci i sióstr. Przeżyłem jednak. Przez przypadek. Mój los jest bogaty w przypadki – te dziwne zbiegi okoliczności będące wypadkową sił, których wielkie oczy śledzą nas z ukrycia i oplatają nasze kroki. W Boga nie wierzę, a jeśli jest, to raz na zawsze wtedy z Nim skończyłem. Są przypadki.

Uczęszczałem wówczas do chederu, elementarnej szkoły żydowskiej, w której chłopcy od piątego roku życia poznawali Pięcioksiąg. Tego dnia musiałem coś spsocić, bo nauczyciel wyciągnął moją rękę na stół i uderzał w nią linijką w obecności pozostałych. Zdenierwowałem się, wyskoczyłem przez okno – to był parter – na podwórze i pobiegłem do domu. Oświadczyłem rodzicom, że więcej do chederu nie pójdę. Łapali się za głowy, lamentowali, ale ja się uparłem, więc zapisali mnie do polskiej szkoły, na ulicy Spokojnej, w pobliżu Okopowej, niedaleko cmentarza Powązkowskiego. Tam zapoznałem się z kolegami-Polakami – i nauczyłem się języka. Śpiewaliśmy żarliwie, co tchu w piersiach, pieśni modlitewne do Pana Jezusa – podobały mi się, żarliwość wyzwala bowiem ducha szlachetności i piękna. W lato poprzedzające wybuch wojny ukończyłem piątą klasę szkoły powszechnej.

Przypadkiem wyreżyserowanym przez genetyczne kombinacje dostały mi się niebieskie oczy i jasne włosy. Język i ten wygląd – dzieło przypadków – stanowiły moje właściwe wyposażenie na wojnę.

W pierwszych dniach okupacji prezydent Warszawy Stefan Starzyński zwrócił się z apelem do młodzieży, do wszystkich, którzy mogli to uczynić, żeby uciekali na wschód, w kierunku Rosji. Tak wyjechało dwóch moich braci: Abram i Herszek (jeden z nich, nauczyciel, dostał później pracę w Dubnie, dzisiaj to Ukraina, gdzie istniała jedna z największych gmin żydowskich we Wschodniej Europie).

Niemcy wywarli na mnie zniewalające wrażenie. Te ich samochody, te motocykle, ten połysk – pański, luksusowy – ich butów, te mundury obłózione w sztywność śmiertelnej powagi, w nieskazitelność kroju, po latach dodałbym: w jakiś wagnerowski patos nieposkromionej zbiorowej witalności. Mieli rządzić nie tylko nami i Polakami, ale całym światem, a ja, mały Żydek, w konfrontacji z nimi uważałem się za nędzną bezwartościową istotę – tym bardziej że należąca do mniejszości narodowej, żyjącą w nie do końca własnym kraju. Na razie w tramwajach wyznaczono specjalne miejsca dla Żydów, a w parkach ławki. Na widok niemieckiego oficera należało zdjąć czapkę i pozdrowić go: – *Guten Morgen, Herr.* – I wydawało się to naturalne.

Tymczasem spaliła się Wołówka, wszystkie sklepy. Biadolonia kupców wiły się w dymach. Ojciec zdołał uratować część skór, lecz Niemcy znaleźli je w piwnicy i zarekwirowali, wciąż jednak jakoś przędliśmy.

Pewnego dnia wrócił mój brat Abram. Przekradł się przez wschodnią granicę, bo nie dał rady tam żyć. Ale tutaj zaraz pobił go na ulicy jakiś Niemiec. Abram broczył krwią, przez kilka dni leżał w domu, patrząc w ścianę i jęcząc. Gdy nieco wydobrzał, uciekł jeszcze raz.



A w Warszawie założyli getto. Musieli się tam przenieść także lekarze, adwokaci, chrześcijanie – inteligencja żydowska zasymilowana z Polakami. Pomyślałem wtedy, że skoro mam dobry wygląd, to będę przemycać się na polską stronę i szmuglować. Rodzice z początku nie godzili się na to, jednak w końcu uszyli mi płaszcz ze specjalną podszewką, za którą mogłem upchnąć towar. I tak wędrowałem na bazar Hala Mirowska, koło kościoła na Chłodnej, kupowałem kartofle, mąkę, buraki, mydło i – gruby jak beczka – wieczorem wracałem do getta. Podobała mi się ta przygoda, zarabiałem świetnie: trzysta, czterysta procent więcej na produkcie, mojej rodzinie niczego nie brakowało, a Niemcy jeszcze wtedy nie zabijali, jak kogoś złapali, tylko lżyli, bili i wyrzucali żywność na bruk. Więc póki co chodziłem w getcie do teatru i objadałem się czekoladą. Czułem się bohaterem.



Raz, na bazarze Różyckiego, na Pradze, poznałem Staśka Galasa, akowca. Miał dwadzieścia jeden lat i stragan, który prowadził z matką i siostrą Niusią. Handlowałem ze Staśkiem i tak się zakolegowaliśmy. Gdyby nie Stasiak, gdyby nie przypadek, który gra niewidzialnymi pionkami, wabi nieuchronne i nieuchronnemu toruje drogę, nie przeżyłbym.

Kiedy wracałem do getta, wkraczałem w rzeczywistość wyprodukowaną przez zbiory odmiennych przypadków. Spuchnięte z głodu dzieci, leżące na ulicach jak padłe żrebięta. Nagie, przykryte gazetami zwłoki, z których ściągnięto buty i ubrania, bo można było je sprzedać. Z początku robiło to na mnie wrażenie, ale człowiek bez trudu staje się zwierzęciem, cywilizacja dwóch tysięcy lat to cienka skorupka, poddaje się kruszeniu. Spośród wszystkich innych pragnień najłatwiej łamie ją to jedno: przeżyć – wokół niego zapętle się nieczułość.

Po aryjskiej stronie zostawałem niekiedy na noc u Staśka i Niusi. Jedna z moich siostr nie poszła do getta i żyła na fałszywych papierach u Polaków na Targówku, ale nie mogłem u niej spać, bo bała się, że gdybym wpadł, od razu wyszłoby na jaw, że jestem Żyd – byłem przecież obrzezany. I kiedyś rzeczywiście wpadłem. Ze Staśkiem i jego dwoma kumplami szmuglowaliśmy do remizy tramwajowej worki z cukrem i wyszedł mnie jakiś tajniak, zaprowadził na komendę

policji. Całą noc siedziałem tam w piwnicy, a z rana podszedł do mnie funkcjonariusz – Polak – i uchylił drzwi: – Chłopaku, uciekaj.

Nie wiem, dlaczego mnie wypuścił, przecież musiał napisać jakiś raport, tłumaczyć się, że zniknąłem. Szukałem go po wojnie, nie znalazłem – przypadki, spełniwszy zadanie, przenikają do nieodgadnionego wymiaru.

Tymczasem szmuglowaliśmy ze Staśkiem na coraz większą skalę. W dawnych tramwajach montowano z dwóch stron balkoniki z drzwiczkami. Tramwaje przemykały przez teren getta bez przystanków, bardzo szybko, pod okiem policji. Więc przekupywało się polskich policjantów – smarowało się, jak to się mówi – i wyrzucało worki, sekundę później w biegu wyskakiwałem.

Tak toczyło się życie: butnie, ryzykancko, na oślep – a pieniędzy miałem bez liku.



Nocą dwudziestego drugiego lipca 1942 Niemcy zamknęli szczelnie całe getto. Nikt nie śpi. Zewsząd krzyki, jęki, płacze tną powietrze, łamią przestrzeń – żydowscy policjanci wygarniają ludzi z domów. (Każdy musiał doprowadzić pięciu łebków, inaczej sam ginął. Niektórzy, targani wyrzutami sumienia, popełniali samobójstwo). Dzieci z sierocińca, wrzucane na wozy jak toboły, wiezione są na Umschlagplatz.

Człowiek, który wie, że idą go zabić, odpycha tę myśl: to jeszcze nie koniec, to przydarzy się innym, nie mnie. Ja chciałem żyć i nic więcej się nie liczyło. A tu już słyhać ich kroki na Stawki dziewięć. Z dołu – mieszkaliśmy na trzecim piętrze – dobiegają wrzaski, strzelanina. Niemcy rozkazują, żeby wszyscy wyszli ze swoich pomieszczeń, bo jak kogoś znajdą, to skończą z nim na miejscu. Więc wychodzę z moją ośmioletnią siostrą Maniusią, a nasza matka – nie wiem, czy spontanicznie, czy z rozmysłem – chwyta nas, zawraca do pokoju i wpycha do pustego kredensu: Maniusię na górną półkę, mnie na dół. Zamyka drzwiczki kredensu na klucz i wychodzi.

Nigdy już jej nie zobaczyłem.

Siedzimy w kredensie, skuleni, bez ruchu, trudno określić, jak długo. Jesteśmy zawieszani w tej oniemiałej ciszy, jaka zawsze nastaje po katastrofie, a w którą wkracza teraz świst lokomotywy z Umschlagplatzu. Rozwalam drzwiczki, ale wtedy znów wybucha kanonada: to Ukraińcy i Łotysze celują w okna, w widma pozostałe po lokatorach, w mroczne poblaski ślizgające się po szybach, odbite od ulicznej latarni. Kładziemy się na podłodze bez pojęcia, co nastanie. I gdy tak leżymy w pustce, słyszę nagle – drzwi w mieszkaniu były otwarte – że ktoś biegnie schodami i płacze. Kto może płakać? – przecież nie Niemiec. Płakał nasz ojciec.

Zwolnili go, bo miał zaświadczenie, że pracuje w szopie u Többensa – kiedy zgarniali dużo Żydów, innym pozwalali pracować aż do następnej akcji – potrzebowali ludzi do roboty. W tej samej kamienicy ukryła się pod szafą jedna z moich starszych siostr – Estusia. Mąż ją schował, a sam poszedł, także byliśmy teraz we czworo: Estusia, Maniusia, ojciec i ja. Schroniliśmy się w piwnicy, położyli na węglu i nasłuchiwaliliśmy. Trwało to parę dni. Nocami ojciec opuszczał piwnicę, żeby zdobyć coś do jedzenia, ale było tego niewiele i wtedy ja, ten chłopak, który pragnął żyć, oznajmiłem: – Ojciec, ja was zostawię, ja stąd uciekam.

Czasami dręczy mnie sumienie: Maniusia też miała dobry wygląd – jasne oczy, blondynka – może powinienem ją zabrać. Tylko ledwo znała polski, jeszcze nie wiedziała, że chce żyć, ja wiedziałem. – Będziesz mógł uciec – zgodził się ojciec.

Na Pradze, w Ostbahn (znaczy: kolej na wschód) pracowała grupa żydowskich fachowców. Ojciec porozmawiał z ich kierownikiem, a ten zgodził się włączyć mnie do grupy, jeśli złożę przysięgę, że czmychnę po drodze z getta na Pragę – w przeciwnym razie mnie zabiją. Przysięgłem.

Nazajutrz przed brzaskiem opuszczam bliskich. Nie pamiętam, czy żegnam się z siostrami. Biorę trzy rosyjskie „świnki” ze złota, które ojciec wręcza mi ze

słowami: – Może ci się przydadzą – i uciekam. Uciekam, bo wiem, że przy pożegnaniu będę płakać, a nie mogę mieć zapłakanych oczu, bo kto płacze? Żyd.

– Jestem syn Arona – przedstawiam się kierownikowi grupy, a on wbija we mnie wzrok, który nic nie wyraża, jest jak belka, jak kłoda wypychająca źrenice, i który potwierdza: jeśli po drodze nie ucieknę, dostanę kulę w łeb.

Idziemy grupą chodnikiem, pod eskortą Ukraińców, a tuż za murem śmieje się jakieś dziecko, w progu otwartego sklepu sklepikarz zapala papierosa, tramwaj zatrzymuje się na przystanku. Mam ze sobą czapkę harcerską, zawsze ją przy sobie nosiłem, i w tej czapce w mgnieniu wskakuję do tramwaju, który już rusza. Siadam, jakby nigdy nic, tylko strasznie pocę się ze strachu. Nie wiem, dokąd pójść. Może do Staśka? Ale przecież każdy słyszał, że za ukrywanie Żyda przesiedlają na tamten świat. Brudny i zawszony pukam do mieszkania na Brzeskiej: – Uciekłem z getta.

On waha się sekundę, może dwie (czas w takich sytuacjach potrzebuje czasu), ale potem wskazuje pokój: – Wejź.

W środku była jego matka i Nusia, piękna dziewczyna. Zbliżyła się do mnie i pocałowała: – Jędreku (tak mnie nazywali po aryjskiej stronie), zostaniesz u nas, będziemy cię pilnować.



Zabrali moje zawszone rzeczy, umyli, nakarmili. Do Niusi przychodzili chłopaki, wszyscy popijali wódkę, przesiadywali do późna, a ja przez sen krzyczałem po żydowsku, więc Stasiiek umościł mi kryjówkę w szmatach, żeby tłumiiły głos – nadaremnie. Wtedy zadecydował, że zaprowadzi mnie do Jana, swojego ojca, dozorcyy w kamienicy przy Ogrodowej, który ukrywał w piwnicy sześcioro Żydów, w tym małą dziewczynkę. – Tam będziesz mógł krzyzczeć, nikt cię nie usłyszyy – zapewnił i zawiózł mnie do ojca rowerem.

W piwnicy wszyscy okropnie się kłócili, zdawało się, że wdychamy opiłki z ostrza pękającego noża, że krwawimy bezbarwną krwią, dlatego po kilku dniach poprosiłem Jana, który zaopatrywał nas w jedzenie i wynosił nieczystości, żeby przywołał Staśka. Powiedziałem mu: – Albo weźmiesz mnie z powrotem do swojego domu, albo ja wracam do getta, niech mnie rozwalą i koniec. – Bo w getcie wszyscy byli równi, śmierć oferowano wszystkim, po aryjskiej stronie wystarczyło, że jakieś dziecko zawoła „Jude” i już przesądzony mój los. Stasiiek mnie ze sobą zabrał.

Kilka dni później wrócił do domu zapłakany – bo kto mógł płakać oprócz Żyda? Jedynie Polak. Niemcy zrobili na Ogrodowej obławę w odwecie za zabicie jakiegoś swojego ziomka i złapali tych Żydów z piwnicy. Według Staśka to oni wydali Jana

i Niemcy zastrzelili go razem z Żydami. Matka płakała, Niusia płakała, wiązał się, spływał jak jeden potok ten polsko-żydowski płacz, ale nie wyrzucili mnie, ani jednym słowem nie dali odczuć, że się boją. Jednak zrozumiałem, że w takiej sytuacji muszę odejść. Od matki wiedziałem, że w Białej Rawskiej osiadł nasz krewny, krawiec z rudymi kędziorami. – Zawieź mnie tam – poprosiłem Staśka. Zawiózł, koleją chyba, i tak się pożegnał: – Jędreku, gdy znajdziesz się w potrzebie, mój dom jest dla Ciebie otwarty.

W Białej od razu dostrzegłem Żydów z pejsami, zagadnąłem o rudego krawca. Wskazali dom (to miasteczko w osiemdziesięciu procentach zamieszkiwali Żydzi). Zapukałem do drzwi: – Jestem syn Arona, przyjmiecie mnie? – Rudy miał żonę i dwoje dzieci, rzekł: – Co będzie z nami, będzie i z tobą.

Trwało to zaledwie kilka dni, bo naraz przyszło zarządzenie, że Żydzi mają opuścić domy i zgromadzić się na rynku.

Nie potrafię wyjaśnić, co we mnie wstąpiło, jaka siła, że z tego rynku skręciłem w kamienistą wąską drogę. Z pięćset metrów pokonałem, a tu z naprzeciwką zbliżają się dwaj Polacy. Jeden woła: – Ty, sukinsynu Żydzio!

Czy po strachu w oczach mnie poznał, czy po sylwetce niewyrośniętej, wychudłej, nie wiem. Nieopodał zółci się pole z wysokim, jędrnym żytem, biegnę

tam, a za mną ten Polak. Za polem płoży się otwarta, obojętna przestrzeń, razi swym rozlanym widokiem, a ja drętwieję, nie mogę się ruszyć, stoję się odlewem – i Polak mnie dopada. Błagam go, łkam: – Nie prowadź mnie pan do Niemców, zabiją mnie, co panu z tego przyjdzie, pieniędzy nie mam, nic nie mam. – Ale nie słucha, ciągnie mnie w stronę rynku wypełnionego ludzkim mrowiem, okolonego sznurem żandarmów. Jeszcze chwila i odda mnie w ich łapy. Raptem, na ułamek sekundy przed tą chwilą, moje nogi odzyskują władzę, wrywam się i daję nura w tłum. Co będzie z Żydami, będzie i ze mną, koniec zabawy, więcej nie ucieknę.

Po kilku godzinach z okolicznych wsi zjeżdżają zaprzężone wozy. Niemcy, z pejczami, na koniach, rozkazują, żeby załadować je starcami i dziećmi, reszta pójdzie pieszo.

Słońce grzeje jak piec, bzyczy i zatacza kręgi taniec owadzych gatunków, dzień jest niepokalany – jak to w letnie, suche lipce, gdy światło jest czyste, lecz nieprzejaskrawione, swojskie. Dołączam do rudego krawca i jego rodziny. Gdy konie przyśpieszają, trzeba biec. (Po wojnie sprawdziłem: biegliśmy tak – ja w polskich butach oficerkach – dwadzieścia trzy kilometry). Kto pada, już się nie podnosi. Przed wieczorem docieramy na rynek w Rawie Mazowieckiej, znieruchomiały w parnych pasmach cieni. Wiadomo,



że następnego ranka popędzą nas do Tomaszowa Mazowieckiego, gdzie czekają już wagony do transportu na wschód. Mam spuchnięte nogi, gardło wysuszone z pragnienia, żołądek przywarty do pleców, nie chcę już uciekać. Ale rudy krawiec szepce mi do ucha: – Słuchaj, ty jesteś tutaj sam, masz dobry wygląd, gadasz po polsku, uciekaj.

I uciekłem.



O świcie znalazłem się na stacji kolejki wąskotorowej. Wiedziałem, że aby dostać się do Warszawy, należy przesiąść się w Rogowie. A do Rogowa pociąg odchodził dopiero po południu.

Kupiłem sobie dwa jabłka, pachniały delikatnym ciepłem pełnego lata. W Rawie Mazowieckiej trwała akcja, Niemcy szukali Żydów, musiałem na te parę godzin gdzieś się skryć. Widocznie ja – ten chłopak, który chciał żyć – zdecydowałem, że zajdę do przystajnego parku, poleżę sobie w zaroślach, zjem jabłka.

Wkraczam w pierwszą alejkę i spostrzegam dwie dziewczyny, dwudziestoletnie – nie ma wątpliwości: Żydówki. Chcę być sam, więc oddalam się i przysiadam skurczony w okrzewionym miejscu. Od strony torów zbliża się do dziewczyn jakiś cywil. Podmuch wiatru przywiewa najpierw strzępy rozmowy, później krzyki. Jak one krzyczą, jak krzyczą! – zanim ten facet, tajniak pewnie, wyciąga ze spodni pistolet i strzela

szybką, krótką salwą. Cisza przetrawia końcówki krzyku, upada na trawę moje nadgryzione jabłko.

Tajniak już mnie widzi. Mogę uciekać albo wyjść mu naprzeciw. I co wybiera ten chłopak, który chciał żyć? Wyjmuje z kieszeni drugie jabłko i, mijając mordercę, wgryza się w nie dużym kęsem, ze smakiem, aż tryska sok – i tajniak oddala się, spod paska spodni wystaje lufa, jej ciepło rozplywa się w rozgrzanym powietrzu, zacierając ślady zbrodni jak fala świeże wglębenie stopy.

Nagle uznałem, że nie chcę już żyć. Zapukałem do drzwi pierwszego napotkanego domostwa. Otwiera mi kobieta w kuchennym fartuchu. – Słuchaj pani – mówię do niej – jestem Żydem. Pozwól mi pani wejść i przeczekać do drugiej, bo wtedy mam pociąg do Rogowa.

Zdjęła ze mnie brudne rzeczy, umyła, napoiła mlekiem i położyła do łóżka w białej, sztywnej świeżością pościeli. Zasnąłem. Obudziła mnie z płaczem: – Chłopcze, musisz iść, zaraz wrócą mój mąż i dzieci.

Wsiadłem do pociągu. Drzewa i słupy telegraficzne pochylają się w ukłonie, pola najpierw napierają, a potem umykają tam, gdzie horyzont kolekcjonuje miraż, niedaleko Niemcy prowadzą miedzą grupę Żydów. – Dobrze, że Hitler czyści nam ojczyznę z tego gówna – odzywa się któryś z pasażerów. Przytakuję.

W Warszawie pędzę do Staśka.

– Jędreku, ty żyjesz – ucieszył się.

– Stasiu, ja wracam do getta.

Ale w getcie wciąż trwała akcja, nie znalazłem już nikogo z krewnych ani znajomych. Po paru dniach i mnie złapali, załadowali do transportu do Treblinki.

W wagonach towarowych duchota, ludzie stoją, siedzą, robią pod siebie, nie ma wody. Niektórzy wyskakują przez małe, prostokątne, wysokie okienka – ja się boję. Razem z jednym chłopakiem, starszym ode mnie, wymacujemy w podłodze zgniłe, spróchniałe deski i wydrążamy w nich dziurę – tak, by dało się wsunąć część ciała. A tam pod spodem wyje i świszczy wiatr, łomoczą i iskrzą koła, pociąg osiąga prędkość sześćdziesięciu kilometrów, nie zwalnia. Wciskam się w dziurę, ze strachu zawracam. Jakaś dziewczyna decyduje, że skacze, i wsuwa się do dziury, a my trzymamy jej nogi, na znak popychamy ją z całej siły w dół, ale źle upada, pod koła – jeszcze tylko krótki krzyk i koniec.

Nie wiem, co ja – ten chłopak, który chciał żyć – wówczas pomyślałem, w każdym razie postanowiłem skakać, tylko inaczej, na wznak. Wyciągam nogi pod podłogą, a oni trzymają mi głowę owiniętą w szmaty. (Ze trzech musiało mnie pchać). Upadam między szynami, tracę świadomość. Kiedy ją odzyskuję, słońce parzy mnie w kark, mrówki płaczą się we włosach. Podnoszę się, a głowa kołuje nieznośnie, boleśnie, doczłapuję do lasu, a potem posuwam się jego

brzegiem, równolegle do torów, na jakiejś małej stacji czekam na pociąg do Warszawy.

I dokąd idę w Warszawie? Do Staśka. – Jędrrek, ty już u nas zostań – wita mnie Niusia.



Po akcji w getcie zrobiło się cicho, spokojnie. Zostało tam już tylko dwadzieścia, piętnaście procent ludności.

Przydzielili mnie do pracy w firmie Werterfassung, zajmującej się gromadzeniem i sortowaniem wartościowych rzeczy. Należałem do dziesięcioosobowej grupy, która pod okiem esesmana o nazwisku Otto penetrowała opuszczoną część getta. Wynosiliśmy z domów meble, pościel, garnki, wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Cenniejsze przedmioty wywożono do Niemiec, gorsze sprzedawano Polakom. Niekiedy znajdowałem w mieszkaniach żywność, trafiały się pieniądze, na przykład dolary – wtedy, sprytnie, mniejszą część oddawałem esesmanowi, większą zachowywałem. I znów było mi dobrze.

Raz spotykam na ulicy w getcie ciotkę, dość majątną. Żenił się jej syn Heniek i zaprosił mnie na ślub. Ja, taki obdarty, dostałem się w lepsze sfery. Co to był za ślub – ślub w getcie! Rzępolą skrzypce, wznoszą się śpiewy, lśnią od bimbru oczy weselników, tańczący kołyszą się i unoszą ręce, pocą się ich twarze i tylko od jakiegoś prądu, ni to zimnego, ni gorącego, obcego,

kuli się nagle powietrze. – Bunkier budujemy – zwierza się ciotka. – Jesteś sam, weźmiemy cię. – Odmawiam: – Ja muszę mieć przestrzeń, ciotko.

Później całą rodzinę, ciotkę, Heńka i jego ślubną Niemcy w tym bunkrze zabili.



Osiemnastego stycznia 1943 wybucha nowa akcja. Uciekam z Niskiej, gdzie mieszkałem, na Miłą, chronię się w oknie za frankami, ale znajdują mnie, wygarniają. Przed bramą stoi już kilkadziesiąt osób, w tym kobiety, dzieci. Znów krzyki i strzelanina. Naraz spostrzegam, że po drugiej stronie ulicy dwaj esesmani w otwartym aucie celują w nas karabinami maszynowymi.

Wtedy ja – ten chłopak, który chciał żyć – pojmuję: to koniec.

Powiadali, że Żydzi nie opierali się, nie protestowali, kiedy ich łapano i ciągnięto na śmierć. Wytłumaczę to: w obliczu końca człowiek tworzy sobie iluzję. Moja podszeptowała: uważaj na palce tego Niemca, gdy zacznie poruszać cynblem, upadniesz; wyprzedzisz jego strzał o pół sekundy, ciała osuwających się przykryją cię i w ten sposób ocalejesz. Iluzja sprawia, że człowiek nie chce się szarpać, bo już wykombinował jakiś plan, a szarpanie się, sprzeciw to pewna śmierć. Jednak iluzja jest tylko iluzją – gdyby ci esesmani w samochodzie otworzyli ogień, zamordowaliby wszystkich, mnie też.

Zapędzili nas na Umschlagplatz. Ustawieni w szpa-ler Ukraińcy biją ludzi metalowymi sztabami i pałkami. Dostałem w głowę, zalewa mnie krew. Raptem, jak przez postrzępioną zasłonę, dostrzegam esesmana Otto – przyszedł z paroma pomocnikami z firmy Werterfassung po swoich pracowników – akcja akcją, a interes interesem. Wyławiają mnie z tłumu, znów trafiam na Niską.

Pracowałem tam do dziewiętnastego kwietnia 1943.



Mieszkałem w pokoju z trzema kolegami. Gdy doszły słuchy, że będą likwidować getto, bo zamykają je hermetycznie, napchaliśmy w usta tyle, ile się da, jedzenia, niby gęsi – żeby przez jakiś czas nie mieć pustych żołądków. Z początku esesmani ogłosili, że będą potrzebować pracowników do sprzątnięcia nowych opustoszałych domów, ale któregoś dnia szefowie nakazali, żebyśmy przeszli na teren centralnego getta, bo Niemcy chcą wyłapać ukrywających się wciąż Żydów. Zapewnili, że potem wrócimy na Niską.

Dochodzimy w grupie na ulicę Zamenhofs, a tam kamienice w pomarańczowej koronie ognia. Na bruku sylwetki rannych lub zabitych Niemców wydają się rekwizytami w dziwnym spektaklu – dotąd nie sądziłem, że Niemca można zabić. W getcie zaczęło się powstanie.

A nas nie odesłali z centrum na Niską, tylko załadowali do wagonów. Tak znalazłem się w łagrze w Trawnikach, około trzydzieści pięć kilometrów od Lublina. Nie jadłem chyba z tydzień, majaki – wypustki iluzji – zapędzały mnie w apatyczną rzeczywistość braku zdumień i pragnień, stan przedśmiertny. I pewnego dnia – znów przypadek, natknął się na mnie mój krewny – wyjął zza pazuchy dwa kawałki spleśniałej cebuli. – Zjedz – podał mi je. Zrozumiałem, że jeśli zostanę w łagrze, spuchnę z głodu, będę niezdolny do jakiegokolwiek działania. Pojąłem, że muszę uciec. Wtedy z niedalekiej odległości rozległ się gwizd lokomotywy. To z Trawnik odjeżdżał pociąg, po południu do Lublina, rano do Warszawy. Nigdy przedtem ani potem żaden gwizd nie przeszył mnie taką tęsknotą, takim nakazem.

Zdecydowałem, że wyjdę z łagru z grupą, która pracowała dla Niemców na działkach – pomidory tam sadzili, kartofle, kapustę. Dołączyłem do nich rano. Byłem malutki, plątałem się między ich nogami, czekałem na odgłos lokomotywy i kiedy rozbrzmiała, w gnieniu rzuciłem się do ucieczki. Nikt nie strzelał.

Nałożyłem harcerską czapkę i usiadłem w pociągu. (Po latach przybyłem do Trawnik z grupą niemiecką, polską i izraelską, z całym miasteczkiem poszedłem sprawdzić, jaką odległość przebiegłem z łagru

na stację kolejową – to było sześćset metrów, a mnie się zdawało, że dwa kilometry).

Brudny i zawszony, przycupuję na drewnianej ławce w trzeciej klasie. Raptem myśl: „wyskakuj, bo dworce kolejowe są już powiadomione, szukają cię”. Podnoszę się, gdy naprzeciwko mnie sadowi się wiejska baba, rozkłada nogi, między nimi wiklinowy kosz z jedzeniem. Znów siadam. – Pani, ja nie jadłem śniadania. Z domu musiałem uciekać, pozwól mi pani wziąć kawałek chleba z kaszanką.

– A bierz, chłopcze – ona na to – co chcesz.

Przedostałem się z tym żarciem do ubikacji, zjadłem wszystko. Potem chwyciły mnie straszne bóle. Wcisnąłem się w kąt, przykryłem kapotą i, pocąc się strasznie, zwiјаłem się w mękach. Nie wiem, jak udało mi się dojechać do Warszawy bez biletu, może konduktor, ujrzawszy chorego, machnął ręką, może coś szepnęła mu baba. Przypadki wirowały jak płatki śniegu, wiązały się, kumulowały, szczepiały.

I do kogo w Warszawie się skierowałem? Do Staśka.



Oznajmiłem mu, że nie chcę już mieć do czynienia z Żydami, Polakiem będę i poprosiłem, żeby wytrzymała mi jakieś dokumenty. I matka Staśka z kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowskiej przyniosła mi metrykę na nazwisko Tadeusz Różycki. Stasiak poradził, żebym podążył na wschód, bliżej Ruskich.



Dlaczego pojechałem do Krakowa – nie wiem. Istniały tam wciąż dzielnica żydowska i obóz w Płaszowie, które to miejsca zamierzałem omijać. Na rynku kupiłem dwie duże paczki papierosów – nazywały się egipskie – i sprzedawałem je na stacji kolejowej. Nie myłem się, spałem gdzieś w ruinach na Salwatorze, rano wracałem handlować na dworzec jak inne chłopaki. Czułem, że – niechętni konkurencji – coś podejrzewają. Dlatego znowu uciekłem: kupiłem bilet do Lwowa.

Dojeżdżam tam nocą, po peronach krąży ukraińska policja. Siadam obok jakiejś pani w fioletowej sukience (czemu zapamiętałem taki szczegół?), a ona przeszywa mnie spojrzeniem, jakim ocenia się produkt przed handlową transakcją: – Może ty Żydek jesteś?

Natychmiast wstaję. Naprzeciwko dworca na nocnym postoju spoczywają tramwaje. Włazę do jednego, gramolę się pod ławkę i zasypiam. W świetle dnia próbuję rozeznaczyć się, kto rządzi tym rewirem, jakie tu panują zasady.

Grupa ukraińskich uliczników zarabiała na życie, taszcząc bagaże pasażerów, którzy wysiadają z tramwaju i kierują się na dworzec oddalony o około dwieście metrów. Czemu nie miałbym robić tego i ja? Zacząłem. Brałem paczki od Niemców i Polaków, w zamian dostawałem trochę mleka i pieniędzy, aż chłopaki się zdenerwowali: – Ty sukinsynu Polaku, spieprzaj stąd, to nasz teren!

Odsunąłem się na bok, zastanawiałem się, co dalej. Jeden z nich, najmłodszy, przysiadł się i coś gada po ukraińsku. – Słuchaj – przerywam, nagle olśniony. – Idź do swoich i przekazaj, że jak mnie przyjmą, będę wam oddawał połowę tego, co zarobię.

Zgodzili się, ale pod jednym warunkiem: miałem dla nich kraść. – Ja kraść nie umiem – przyznałem. A oni, że nie szkodzi, nauczą mnie. Wchodzimy do tramwaju, dwóch chłopaków napiera na kobietę, niby w tłoku, a ja wyjmuję z jej kieszeni i torebki wszystko, co się da. Tak dobrze mi szło, że po paru dniach dostałem od nich żyłkę ze specjalnym uchwytem do wycinania kawałków futra. Futro było w cenie – opłacało się.

Interes kwitł, jednak mnie dręczył niepokój. Byłem przecież obrzezany i świadomy, że jak mnie złapią, wyjdzie sztydło z worka. I wróciłem do dźwigania paczek.

Zaczęły się zimne noce i w ruinach dłużej wytrzymać się nie dawało. Od jednego z ukraińskich kumpi, też samotnego, dowiedziałem się, że poprzednią zimę spędził w Tarnopolu u starej kobiety, Polki, która miała krowę. Pojechaliliśmy do niej. – Wybieram ciebie, boś Polak – wskazała na mnie. Do dziś nie wiem, co stało się z tym ukraińskim chłopcem, czy znalazł schronienie przed wyziębłym, zastygłym w mrocznej bieli światem.



U Polki spałem w oddzielnej izbie (pamiętałem, że nocami krzyczę), a rankiem prowadziłem krowę na pastwisko, gdzie pasło się też cudze bydło. Raz zagadnęła mnie inna Polka: – Chłopcze, ja mam dwie krowy i płacę pieniędzmi.

U pierwszej Polki dostawałem tylko jedzenie, więc poszedłem z tą drugą.

W niedzielę jesteśmy wszyscy (ona z dziećmi i mężem) w kościele (pachnącym kadzidłami, pełnym zbolałych figur świętych), trzymam prosto głowę, lecz oczami pomykam to w prawo, to w lewo, żeby zorientować się: klękać czy stać, poruszać ustami czy milczeć. Udało się, jednak nie na długo. Sypiałem w przejściu między kuchnią i pokojem, i pewnego ranka gospodarz jak się nie rozedrze: – Ty sukinsynu Żydzie! Won!

W sumie porządny człowiek – nie wydał.



Koło rzeźni, w samym centrum Tarnopola, Ukraińcy mieli folwarki. Zajrzałem do jednego i powiedziałem, że jestem Polakiem z Warszawy, co szuka pracy, a uciekłem, bo Niemcy biorą młodych na przymusowe roboty. Ukrainiec – Josef Saj się nazywał – przyjął mnie, zastrzegając, że płacić nie będzie, choć jest przy czym robić: ma dwadzieścia morgów ziemi, dwa konie i dwie krowy.

I ja, ten chłopak, który chciał żyć, wpadłem na szatański pomysł (kto wie, może gdyby istniał Bóg, też by się go nie powstydział?). Postawiłem warunek: jako gorliwy katolik zamierzam w niedziele chodzić do kościoła – więc siódmy dzień ma być od pracy wolny. Po drugie chcę mieć gołębnik. (Na Wołówce w soboty handlowało się gołębiami – lubiłem niebieskawy połysk ich skrzydeł, bystrą ruchliwość łebków, rytmiczną melodię ich gulgotu). Czy był wtedy na ziemi Żyd, który kazał Ukraińcowi zbudować gołębnik?

Z Sajem mieszkał jeszcze stary ojciec i siostra półwariatka, która pracowała w kuchni i wciąż powtarzała, że poziomka i wóz drabiniasty to jedno. Josef zaproponował, żebym spał w jego izbie, ale odparłem, że jestem niegodny, bo pochodzę z rodziny służących, cuchnę zastałym brudem, czyste łóżko nie dla mnie, moje miejsce jest w oborze.

Na wiosnę Saj powiada: – Jutro mają zabijać Żydów, pójdziemy popatrzeć.

W Tarnopolu właśnie likwidowali getto.

W sąsiedztwie gospodarowały dwie Ukrainki, matką z córką, Darka jej było na imię, śliczności. Całowaliśmy się na sianie. Darka z matką też chciały popatrzeć.

I znów słońce, dzień przejrzysty, naokoło śpiew ptactwa – śpiew borujący, osobny, jakby przedzielony szklaną ścianą, śpiew nie do pojęcia piękny. A oni idą mostkiem nad rzeczką – śpiew tam od nadbrzeżnych

krzewów krystaliczny, donośny – w milczeniu, z rękoma na karku, pod eskortą Niemców, zbliżają się do nas, stojących na rogu ulicy, skąd dobrze widać rzeczne zakole i ten drewniany, podziurawiony miejscami mostek. Nagle jakieś dziecko zrywa się i umyka w prawo, w naszą ulicę. Dostaje serię kul, pada. Hałas strzałów gasi śpiew.

Nie wiem, co mi się stało, co zadziało się z tym chłopcem, który chciał żyć, dlaczego stracił kontrolę nad sobą, tym dniem, czasem, przestrzenią, a także śpiewem ptaków (wszystko ogłuchło, utonęło w ciszy), bo biegnę w stronę martwego dziecka, właściwie lecę, frunę, a Darka za mną, a za nią matka, łapią mnie za kark, zawracają: – Tadzik, dokąd ty?! A Żydzi przeszli już koło nas, są na mostku, kilku skacze do wody, Niemcy strzelają do nich jak do kaczek, rzeka mąci się i zabarwia czerwienią.

Po południu Niemcy wracają z pieśniami. Sami.

Nazajutrz budzę się z krowami. W kącie obory siedzi żydowski chłopczyk, jarzą się wielkie czarne oczy, nad nim Saj. – Tadzik, pilnuj go – nakazuje. Wraca z dwoma Ukraińcami. Wykopali dół i zabili chłopczyka.

A życie biegło dalej. Pracowałem, zadawałem się z Darką, wgłębienia w sianie przybierały nasze kształty. Bezustannie psioczyliśmy na Żydów, na tych okropnych Żydów.



Po roku stałem się silny, zdrowy. Zbliżali się Ruscy i pewnego dnia wycofujący się Niemcy zarekwirowali nam z gospodarstwa konie z wozem, chcieli furmana i Saj powiedział: – Weźcie Tadzika.

W Tarnopolu słyszało się już front. Nocą pod eskortą żandarmów wraz z grupą innych wozilem czekoladę i żywność dla niemieckich żołnierzy. Po robocie spaliśmy razem na podłodze: trzech Polaków, Ukraińcy i ja. Rano jeden z Polaków wyzywa mnie od takich i owakich Żydów, a w drzwiach staje żandarm. I co robi ten chłopak, który chciał żyć? Zaczynam tego Polaka przeklinać, przeklinam jego przodków od dziada pradziada, jego prababki, przeklinam ich oczy, które ujrzały światło dzienne, łono, w którym się poczęł. – Ja Żyd? – sapię z oburzenia. – Chcesz zobaczyć mojego kutasa? Chcesz? To ci pokażę!

I ten chłopak kuli uszy, wyciąga do mnie rękę: – W porządku, stary. (Po wojnie spotkałem go i przyznałem, że jestem Żydem; tłumaczył się, że takie były czasy, że człowiek nikczemniał i głupiał). Ale wiedziałem, że znowu trzeba uciekać. Nocą zaszyłem się w jakiejś piwnicy, potem wróciłem do Saja. Sowietci przerwali już front, a on bardzo się ich bał. Chciał mnie bić, pytał o konie i wóz, jakbym to ja mu je zabrał.

Ruscy szli w łachmanach, z łyżkami wetkniętymi za onuce, zarośnięci, brudni. Gdzież im było do uła-

dzonych, wypomadowanych Niemców! Odnalazłem sowiecki komisariat, doniosłem, że pracuję u chłopa, który wydał żydowskie dziecko, na podwórzu jest grób. – Ja wracam do pracy – rzekłem – a wy róbcie swoje.

Po kilku dniach przyjeżdża dwóch Ruskich na koniach i woła do Saja: – Co zrobiłeś z dzieckiem? Zabiłeś?

– Nieprawda. Tadzik świadkiem, zapytajcie go.

– Zabił? – oni do mnie.

– Nie.

Ale tamci już swoje wiedzieli: – *My uże rozbieriom* – pokiwali głowami, to znaczy „my już sprawdzimy”. Zabrali Saja. Taki był jego koniec.



Kiedys pomogłem pewnej kobiecie z pobliskiej rzeźni zaczerpnąć wody z naszej studni. A Julcia, wariatka, woła – Tadzik, jak tyś mógł pomóc Żydówce?! – i dalej swoje, że wóz drabiniasty i poziomka to jedno.

Nie odezwałem się, ale od tych wszystkich przeżyć zachorowałem, dostałem sraczkę z krwią. Lekarzy tam nie było, tylko pracujący w rzeźni weterynarz Friedman, którego wraz z rodziną uratowali Polacy. Dał mi coś, co nie pomogło, wróciłem. Raptem zacząłem płakać, nie mogłem się opanować, wylewał się ze mnie pięcioletni, zamarznięty wodospad.

– Co ci jest? – zdumiał się Friedman.

– Jestem Żyd.

– Co ty gadasz, sukinsynu?

– Żyd jestem. – Bałem się mówić po żydowsku, bo planowałem ożenić się z Darką, ale mogłem zdjąć majtki i pokazać, że obrzezany. Friedman, ucieszony, woła żonę i córeczkę: – Sonia! Halinka! Mamy nowego członka rodziny!

Tak siedzę w ich mieszkaniu, rozmawiamy, a tu Darka z moimi ukraińskimi kolegami pojawiają się u płotu zagrody: – Tadzika szukamy.

Nie mam już wyjścia, muszę stanąć z nimi twarzą w twarz. Płacz mi ulżył, oczyścił.

Zbliżyłem się do płotu. Darka miała piękne, zdrowe warkocze. – Żyd – wycedziła i plunęła mi w twarz.

Odwrociłem się i poszedłem.



Po wojnie z zupełnie zniszczonej Warszawy z jedną z moich sióstr (tą, która funkcjonowała na aryjskich papierach) przenieśliem się do Łodzi. Przez rok uczyłem się w gimnazjum, ale lekarze uznali, że jestem nie-zrównoważony – bałem się ludzi, bałem się zostać sam w mieszkaniu. W 1948 wyjechałem do Izraela. W 1963 po raz pierwszy odwiedziłem Polskę. Niusia, zniszczona po dwóch małżeństwach z pijakami, chorowała na serce. Staśka odnalazłem dopiero za drugim razem, w 1970. Niusia już nie żyła, ich matka też. Pomogłem



Staškowi, ile mogłem. Ożenił się później, miał syna. W 1985 wręczono mu medal Sprawiedliwego.

Po czterdziestu siedmiu latach postanowiłem wrócić do Tarnopola. W 1991 nie było to proste. Przyjechałem do Lwowa, poprosiłem przypadkowego Ukraińca, żeby wskazał mi drogę. Stanęliśmy koło kościoła, wiedziałem już, jak trafić do rzeźni. – Poczekaj tu na mnie do wieczora – poleciłem Ukraińcowi. – Za wszystko ci zapłacę.

Rzeźnia stała jak przed laty, bez trudu odnalazłem tamten dom. Otworzyła mi stara i brzydka kobieta.

– Czy to pani Darka?

– Darka. A pan kto? – oglądała mnie, moje czyste, dostatnie ubranie.

– Tadzik.

Nie pamiętała. Zacząłem jej przypominać. Delikatnie. Grusze i jabłonie, pod które chadzaliśmy, żdzębła siana we włosach kaleczące czasem skórę jak igiełki. Uśmiechnęła się bezzębnie. Rozejrzałem się po niskiej, drewnianej izbie, ze ścianami uginającymi się od jar-marcznych ikon, stołem z dziurawą ceratą, powietrzem zdławionym duchotą samotnej starości. Próbowaliśmy rozmawiać. W końcu podniosłem się: – Bądź zdrowa.

Ukraińiec czekał, palił papierosa, dym wzbijał się w górę i rozptywał na wysokości strzechy.

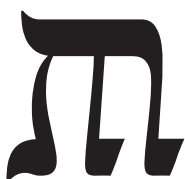
Historia Dawida (Eframowicza) Efratiego, zmarłego w 2004.



לם  
דאד  
אנת

סע  
אט





ój ojciec, doktor Ozjasz Thau, z zawodu adwokat, pasjonował się skomplikowanym ustrojem pszczoł, studiował również przyrodę i zapowiadał, że w przyszłości będzie je hodował. – Niebywałe – powtarzał w zachwycie, pochylając się nad księgami opisującymi to miodotwórcze, cierpliwe, pokorne, hierarchiczne życie. Na samym początku wojny, po wkroczeniu Sowieców, doświadczył mniej zawiłego ustroju. Będąc burżujem, nie miał już prawa pozostawać we Lwowie i donosił mi w liście: „Jestem dzisiaj wolnym obywatelem państwa radzieckiego i jako taki dużo przebywam na świeżym powietrzu. Pasę na prowincji krowy”. Żeby ochronić rodzinę przed wywózką na Sybir, zdecydował się na fikcyjną separację z mamą, na skutek czego przez jakiś czas w ogóle się nie widywali. Kiedy Rosjanie wyszli, a wkroczyli Niemcy, mógł się z nią i całą rodziną połączyć i wrócić do Lwowa – tyle że do getta – i pracować za darmo, tym razem dla Trzeciej Rzeszy. Z nastaniem Niemców

nasza korespondencja ustała – jedynie raz otrzymałem odpowiedź na list, który wysłałem do Czerwonego Krzyża, poszukując ich adresu. Ojciec, matka, dwie moje siostry Lola i Misia, ciocia Dela, siostra mamy, przebywali już w getcie przy ulicy Paulińskiej piętnaście. Wówczas zrozumiałem, że jest źle.



Do Palestyny dotarłem zaraz po maturze, którą zdałem w lwowskim X Gimnazjum imienia Henryka Sienkiewicza. Mieściło się w siedemnastowiecznym, zgrabnym i strzelistym budynku klasztoru bernardynów na Wałowej. Mieszkaliśmy naprzeciwko. Zegar na wieży kościoła świętego Andrzeja wydzwaniał godzinę kwadrans wcześniej, stwarzając iluzję perspektywy, zonglerki czasem. Niekiedy i tutaj słyszałem jego dźwięk.

W lipcu 1939, gdy skończyłem studia architektoniczne w Instytucie Technologicznym w Hajfie, zdążyłem jeszcze odwiedzić rodzinę w Polsce i tak się rozstaliśmy. – Przyjadę do Palestyny – obiecywał ojciec, lecz nie spieszył się z tym, nie znał angielskiego, wiedział, że łatwo by się nie zaaklimatyzował. Wzruszony, patrzyłem na nich jak na portret w cennych ramach: na moją siostrę Lolę, półtora roku ode mnie młodszą, która też dotarła tu po maturze, ale wróciła do Lwowa, bo w Palestynie nie bardzo się jej podobało i tęskniła do narzeczonego (co ostatecznie nie

został jej mężem); na cudowną siostrę mojej mamy Delę, której zmarł siedmioletni synek Toluś, nazwany tak jak ja (gdyż u Żydów imiona pierworodnych nadaje się po dziadkach), a ponieważ nie mogła już zająć w ciążę, moi rodzice, by ukoić jej ból, postanowili, że Misia, ich najmłodsza córka, a moja siostrzyczka, będzie jak najczęściej przebywała u niej, więc ciocia Dela i jej mąż Zalman Orestein stali się dla Misi ojcem i matką; na Cecylię Thau, z domu Altheim, moją mamę, o smukłych, długich palcach dłoni, podobnych do białych klawiszy fortepianu, i na ojca, o twarzy nobliwie pociągłej, z wąsem przydającym jej surowej powagi. Miałem ten portret przed oczami, niosłem go przez dni i noce.

Nie zamierzałem pozostawać w Palestynie beczynny, należałem do podziemnego ruchu samoobrony, uczestniczyłem w kursie oficerskim przygotowującym do walki z hitleryzmem. Miałem wstąpić do armii brytyjskiej, ale ostatecznie przydzielono mnie do służby wywiadowczej – chodziło o określanie strategicznych celów bombardowań na terenie Niemiec. Do Palestyny zdołało już dotrzeć stamtąd wielu uciekinierów: inżynierów, szefów przemysłowych koncernów, geodetów, którzy mieli ściśle informacje na temat potencjału wojennego i ekonomicznego III Rzeszy – zbieraliśmy te dane i zaznaczali na mapie punkty godne ataku lotniczego, podczas gdy oni tam, we Lwowie, starali

się przeżyć. Niezatrudnionych wysyłano do obozów i likwidowano. Ciocia Dela, Misia i Lola pracowały w firmie produkującej swetry dla żołnierzy i kolejarzy niemieckich, a ojciec jako magazynier w żywnościowej fabryce szczotek, prowadzonej teraz przez niemieckiego zarządcę – *treuhändera* – który pozwolił, żeby mama gotowała ojcu posiłki i w ten sposób również miała pracę. *Treuhänder* od rana do nocy pił piwo, chętnie godząc się na to, żeby ojciec zajmował się korespondencją i zarządzaniem, tak że wkrótce to on stał się prawą ręką Niemca, nade wszystko zaś głową. Pewnego razu *treuhänder* bierze ojca na bok i ostrzega – Będzie wysiedlenie, kto bez pracy, pojedzie do Bełżca.

Kilka dni wcześniej przepustki zabrano moim siostrom, a Dela uciekła do Warszawy, gdzie żyła na lewych papierach jako Jadwiga Fabisiak. W fabryce sprzątano po zmianie, szczotki stały w szeregu jak martwa armia. – Mogę zadzwonić? – ojciec zerknął na czarny aparat telefoniczny w rogu biurka *treuhändera*, który wycierał rękawem bajorko rozlanego na blacie piwa (miał czerwoną, gruzłowatą twarz), podniósł słuchawkę i zażądał, by centrala połączyła go z podyktowanym przez ojca numerem – wtedy zostawił go z telefonem sam na sam.

Tak zaczyna się ta historia bez finału, bez przynależnego końca.





Gdy byłem mały, nosił mnie na barana, a potem wykręcał mną koziołka – silny chłop. Dutkiewicz to, Dutkiewicz tamto – bez przerwy słyszało się w domu; świadków umówić, załatwić dokumenty, ustalić terminy – Dutkiewicz był do tego idealny. Wychowanek anglikańskiego sierocińca w Warszawie, Polak, bystry samouk, za młodu dostał posadę w kancelarii mojego ojca i romansował z Hanią, naszą służącą – Ukrainką, która najpierw pracowała u mego dziadka, agronoma, arendarza dóbr książęcych, a następnie, gdy znana jej od wczesnego dzieciństwa moja mama wyszła za mąż, przeniosła się do nas. Kancelaria i nasze mieszkanie mieściły się w jednej kamienicy, więc Dutkiewicz nie musiał pokonywać dużej odległości, żeby łączyć pozytywne z przyjemnym. W końcu ojciec orzekł: – Pora się usamodzielnic, założyć rodzinę – i pomógł młodemu kupić gospodarstwo rolne i zbudować dom w Zimnej Wodzie pod Lwowem. Raz w tygodniu Dutkiewicz wraz z Hanią jeździł na targ do miasta, gdzie sprzedawali płody swojej ziemi i wiodło im się dobrze – aż do czasu, gdy wkroczyli Sowieci i zapędzili Dutkiewicza do roboty na kolei. Później, kiedy nastali Niemcy i nakazali Żydom oddać wartościowe rzeczy, ojciec wezwał go i przekazał mu swoje najcenniejsze zbiory: kolekcje monet, złotych dukatów, talarów i suwernów, jak i pocztówek oraz znaczków, a także obrazy

Kossaka, portrety koni i cykl bitew napoleońskich. – Niech to przeżyje wojnę – pożegnał się z tym wszystkim. I teraz, gdy telefonował do Zimnej Wody z fabryki szczotek, wiedział, że Teodor Dutkiewicz wyłoni się z aryjskiej, lepszej strony, jak siłacz z baśni o olbrzymach – wybawiciel. I tak się stało – siłacz zabrał moje siostry, ukrył je w piwnicy swego domu.

Niebawem *treuhänder* zaalarmował ojca, że gestapo będzie zgarniać gospodynie pracowników ważnych dla wysiłku wojennego – takie jak moja matka – i ojciec znów zadzwonił do Dutkiewicza. Lecz piwnica matce nie służyła. Wieczorami wychodziła z siostrami na krótkie spacerki, co nie było bezpieczne, bo w Zimnej Wodzie zadekowała się jednostka esesmanów. Ale w pobliskim Rudnie stały wille, właściwie domki letniskowe zarekwirowane Żydom przez Niemców, zamożni lwowianie przenosili się do nich na czas kanikuły. – Dutkiewicz, masz tu dukaty i suwereny, wynajmij taką willę dla swojej rodziny, a moich też tam umieścisz – wpadł na pomysł ojciec.

Niedługo potem przywołał go *treuhänder*: – Zwiewaj, Ozjasz, jak najszybciej. – W maju 1943 Niemcy ogłosili, że Lwów ma być czysty od Żydów, to był ostatni moment na ucieczkę.

Willa upatrzona przez Dutkiewicza miała piwnicę i dwa piętra. Jedno przedzielił szafą, którą przysunął do drzwi, wygospodarowując w ten sposób pomiesz-

czenie dla mamy, sióstr i w końcu ojca, pozostałą część dla siebie i rodziny. Po zmroku zaczerpywali powietrza w pobliskim zagajniku, lecz naprzemiennie niemieckie i sowieckie bombardowania czyniły ten krótki czas wytchnienia czujnie napiętym. Zajadły śpiew ptactwa ginął w kanonadach, nakładając na wiosnę – rozpięrającą się łokciami – ciężką, nienaturalną, wrogą maskę.

Za dnia Stefa i Rysio, dzieci Dutkiewiczów, wędrowały po żywność do różnych odległych sklepików, bo kupowanie dla tylu osób narażało na niebezpieczeństwo – więc oni również brali udział w ratowaniu mojej rodziny.



Zima owinęła ich ciemnością, czarną i lepką, taką, co zdaje się już nigdy nie kończyć. Na Wigilię wszyscy siadają do stołu, a Dutkiewicz zwraca się do mojego ojca: – Panie doktorze, pan tu jest głową domu, proszę zająć honorowe miejsce u szczytu stołu. – Ojciec nie lubił, gdy mówiono do niego „panie mecenasie”, uważał ów tytuł za napuszony, trącający snobizmem, tym bardziej że posługiwało się nim wielu takich, co nawet nie skończyli studiów. – Przyjacielu – głos ojca kruszył się – mogę zaakceptować tę propozycję jedynie dlatego, że jesteśmy sobie bliscy, ale czemu, jak kiedyś, nie jestem dla ciebie po prostu doktorem, tylko panem doktorem? – Sądziłem, przyjacielu – Dutkiewicz na to – że cię to podniesie na duchu.

Niedługo potem zachorował – krwawił z otwartego wrzodu żołądka. Hania wpadła w histerię, rozpacziała, wezwała księdza, a ojciec uspokajał: – On jeszcze nie umiera, nie musi spowiadać się przed śmiercią, tylko potrzebny mu szpital.

Wynajęli chłopa z furą wypełnioną sianem i przewiezli Dutkiewicza do Lwowa, pojechał z nimi mały Rysio. A Hania, nadal w nerwach, załamuje ręce i zawodzi: – Teraz musicie odejść, zostałam sama, co ja pocznę, jak was wytropią? – A wiesz, Haniu – odezwał się w końcu ojciec – wśród Żydów krąży taka legenda, że jeśli ktoś pod przysięgą ofiaruje swoje życie bliźniemu, to ten człowiek przeżyje. Ja oddaję dziesięć lat twojemu mężowi, lecz bądź wierna jego poleceniom, ukrywaj nas, dopóki nie wróci.

I Hania przycichła, a po tygodniu Dutkiewicz opuścił szpital blady i całkiem zdrowy.



W domu przybyło lokatorów. Wolne piętro zajął pewien urzędnik ze Lwowa, który uciekł stamtąd z rodziną przed bombardowaniami. We wrześniu 1943 przyjechała z Warszawy jasnowłosa Dela. – A co pani tu robi? – zdumiała się żona urzędnika, natknąwszy się na nią na podwórzu. Hania zapewniła skwapliwie, że to jej krewna, i sprawa rozeszła się po kościach.

Później do Rudna zawitała wycofująca się jednostka niemiecka. Byli głodni, przynieśli swoje menażki

i prosili o miejsce przy kuchennym piecu, żeby coś upichć. Dela, świetnie władająca niemieckim, służyła za tłumaczkę – nie mieli już głowy do ścigania Żydów. Teraz główne zagrożenie stanowili Ukraińcy i Dutkiewicz bał się, że napadną na dom. Hania, w której płynęła ich krew, naciskała, żeby przyjął w urzędzie ukraińskie obywatelstwo i żył między nimi, ale kategorycznie oświadczył, że pozostanie Polakiem.

Zaraz po wkroczeniu Sowietów w tutejszej gazecie dostrzegłem anons, że doktor Thau ze Lwowa poszukuje swojego syna Anatola-Avshaloma (Avshalom to hebrajskie imię syna króla Dawida, który się przeciw niemu zbuntował, lecz ja pozostałem memu ojcu wierny, tak jak dziś jestem wierny jego pamięci). Natychmiast wysłałem do Lwowa depeszę, jednak dotarła już po tym, jak ojciec, sterany okupacyjnymi przeżyciami i heroicznym wysiłkiem, by ocalić rodzinę, wkrótce po wejściu Rosjan doznał ataku serca i zmarł. Dokładnie dziesięć lat później umarł Dutkiewicz – przysięga złożona przez ojca w czasie jego choroby wypełniła się.



W 1946 ściągnąłem do Palestyny mamę, w rok później dotarła Lola, ta, która studiowała w Jerozolimie, więc uaktualnienie jej palestyńskiej wizy w przedwojennym paszporcie konsularnym nie trwało długo, a na koniec, gdy powstało państwo Izrael, przybyli też

Misia z niedawno poślubionym mężem Mieczysławem Poleskim i ciocia Dela. Bezzwłocznie rozpoczęliśmy starania o ustalenie adresu Dutkiewiczów – jak wielu tych, co nie chcieli żyć na sowieckiej Ukrainie, przenieśli się do zachodniej Polski i osiedli w Jeleniej Górze. Utrzymywaliśmy z nimi kontakt do wojny sześciopodniowej w 1967, kiedy to Polska zerwała stosunki dyplomatyczne z Izraelem – dopiero po ich wznowieniu mogliśmy coś w sprawie Dutkiewiczów zdziałać, ale z całej ich rodziny żyła już tylko Stefa, która na nasze zaproszenie przyjechała tu w październiku 1988, by odebrać medale Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przyznane jej rodzicom, bratu i jej samej, a także posadzić w Jerozolimie upamiętniające drzewka. To wtedy dotarły do moich rąk dwa listy, które Stefa ze sobą przywiozła. W pierwszym, pisanym w Zimnej Wodzie dwunastego maja 1944, ojciec donosił:

*List ten piszę po trzyletnich katuszach i męczarniach, jakieśmy przeszli pod reżimem morderczych oprawców. Dzięki nadludzkiej ofiarności oddawcy tego listu (miał nim być Dutkiewicz) i jego rodziny udało się nam, to jest mnie, Twoim Siostrom, Kochanej Mateczce i Kochanej Deli przeżyć do tej pory, a w jaki sposób to się stało, oddawca Ci opowie może w ciągu kilku dni. Tyle bowiem jest do opowiadania! Kochane Siostry*

*są u nich od września 1942, a Kochana Matka od października tegoż roku, ja od maja 1943, zaś Kochana Dela od września 1943. Zostawiłem tu rozporządzenie ostatniej woli, z którego zorientujesz się, na wypadek, gdyby nas nie stało, do jakiego majątku z naszej strony masz prawo. Z tego majątku polecam wydać panu Ryszardowi i Annie Dutkiewiczom pół kamienicy przy ulicy Pełczyńskiej dziesięć we Lwowie i sporządzić na ich rzecz odpowiedni dokument prawny, by mogli być zainkunabulowani za właściciele połowy tej realności. Poza tym masz im wydać realność w Starych Kutach Ozjasza Drukmanunkmana, mego kuzyna, która z powodu jego śmierci prawnie ci się należy.*

*Ponieważ zbliża się front i nie wiem, co mogą nam przynieść niedalekie godziny, życzę sobie i ze mną wszyscy podpisani, by szlachetność ludzka została wynagrodzona. Masz poza tym ze swej strony okazać tym szlachetnym wdzięczność na wszelki możliwy sposób. Ponadto w imieniu Kochanej Lorki, Twojej żony, musisz też wspomnieć się o obie cegielnie z budynkami i gruntami, które należały do jej rodziców.*

*Pisać historię przeżycia znaczyłoby pisać martyrologię naszego narodu podczas obecnej wojny. Mogę ci wyznać, że trzy noce byłem już*

*w szponach zbirów. Ze wsi Kutry nikt nie przeżył. O Kochanym Zalmanie, mężu Deli, nie wiadomo nic od sierpnia 1940, a poza tym naokoło same trupy bestialsko pomordowane. Kończę. Nie chcę i nie jestem w stanie dużo pisać, życzyłbym sobie tylko słowami Wergiliusza, by „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor”\*. Twojej Kochanej Żonie, a mojej Najdroższej Synowej i Tobie, mój Najdroższy Synu, życzę dużo zdrowia, słońca, pogody ducha, szczęścia i by nikt więcej z naszego potomstwa nie przechodził podobnej gehenny. Ściskam Was i całuję do grobu i poza grób.*

*Kochający ojciec*

W drugim liście – oficjalnym testamencie – ojciec podkreślał, że Dutkiewicz o nic nie prosił, a ja mam wypełnić tę ostatnią wolę bez zastrzeżeń.

Dutkiewicz nigdy mi tych listów nie przesłał, na łożu śmierci oddał je córce, nalegając, by mi je przekazała, tak więc otrzymałem je czterdzieści cztery lata po ich napisaniu. Lecz cały majątek należący do naszej rodziny został po rosyjskiej stronie, do dziś nie wiemy, czy coś ocalało, bo Sowieci skonfiskowali i przemienili wszystko w ruinę. Nie żyje też już Stefa.

---

\* *A kiedyś niech powstanie mściciel z naszych kości (Eneida, IV 625, tłum. T. Karyłowski) – przekleństwo wypowiedziane przed samobójczą śmiercią przez Królową Kartaginy Dynonę.*



Jednak nie zaznaję spokoju, że wola ojca nie została wypełniona. W moich snach niezadośćuczynione dobro przybiera kształt mglistej, żywej istoty – gdy chcę ją dotknąć, rozplywa się w nieznanej przestrzeni, a moje ręce pozostają puste. Jedynie pszczoły krążą wokół nich złoto, promieniście, uporczywie.

Historia ocalenia rodziny Anatola-Avszaloma Thau, zmarłego w 2008.



סא  
תורת





kompletnej ciemności zaczynam badać, gdzie jestem. Wyczuwam palcami okrągłe sklepienie – nie sposób uklęknąć ani usiąść, mogę tylko stać. Zaczynam walić w mur, kopać, krzyczeć – żadnej reakcji, zupełna cisza. Czas opuszcza to miejsce, nie wiem, jak długo tu tkwię. Przed oczami migają strzępy idyllicznych obrazów z dzieciństwa, z wakacji u dziadków w Horodence, małej miejscowości blisko rumuńskiej granicy. Plączą się, zlewają twarze, dźwięki, ryczy krowa, szczeka pies, koty z podniesionymi ogonami, miaucząc, biegną do miski z jedzeniem wystawionej przez babkę w tajemnicy przed dziadkiem (nie lubił ich), szeleszczą liście targanej powiewem lipy, która dotyka okienka nad moim łóżkiem, ktoś gra na fujarce, a może to gwizd lokomotywy oddala się od stacji i grzęźnie w wieczornym mroku. Raptem wszystko to zagłusza chrzęst drzwiczek i snop dziennego światła oblewa czarny zarys czyjejś postaci. – To ja, Leinwald – słyszę, mrużę

oczy, ledwo w tej nagłej jasności widzę, jestem czarna od sadzy, wołam, że chcę do mamy, ale Leinwald tłumaczy: – Twoją mamę zabrali Niemcy, aresztowali trzech pracowników, ktoś doniósł, że przed wojną wyrażali się źle o Hitlerze – i wyciąga z chałata wymięty kawałek papieru. Pismo mamy, parę słów naskrobanych ołówkiem: „Kochanie, prawdopodobnie już się nie zobaczymy. Postaraj się wyrosnąć na porządnego człowieka”.



Rodzice pobrali się jako studenci Uniwersytetu Lwowskiego. Ojciec został stomatologiem, matka chemiczką. Przed wojną mało która kobieta pracowała poza domem i to w dodatku w przedsiębiorstwie Blumenfeld i Spółka, produkującym lakiery i farby – moja matka była taką kobietą. Jej szczupłe, ruchliwe palce ogarniały więcej.

Na czapce wojskowej ojca, w 1939 zmobilizowanego do Armii Polskiej, widniał czerwony aksamitny pasek oznaczający korpus medyczny. Piękno tego paska, dopełniającego klasyczną, wierną urodę munduru, urzeekało mnie. Też miałam własny mundurek z tarczą – we wrześniu poszłam do gimnazjum.

Ojca przydzielono do wojskowego lazaretu we Lwowie. W ciepłym powietrzu, wciąż brzemienym latem, wylęgał się jakiś uporczywy, zgrzytliwy ton. Nagle zaczęły się bombardowania. Schodziłam z mamą

do schronu. Detonacje i grzmot osuwających się budynków wprowadzały serce w bieg bez tchu – kuliłam się w jej ramionach. Tak przez niemal trzy tygodnie. Pod koniec ojciec zawiadomił nas, że podąża na południe, gdzie ewakuowano lazaret. Na pożegnanie przyniósł nam swoją żołnierską rację. Mama nie chciała jej przyjąć, lecz on się uparł: – Ja w wojsku będę miał zaopatrzenie, a wy, cywile, Bóg raczy wiedzieć.

Tymczasem (nie mieliśmy pojęcia o pakcie Ribbentropa z Mołotowem) wkraczają Sowietci, wielu Lwówian wita ich z entuzjazmem, dekorują tanki czerwonymi kwiatami, mama, strapiona, powtarza: – Co oni zrobią? – jej drobne palce błędzą po czole – co zrobią?

Od razu nacjonalizują fabrykę farb i lakierów, reorganizują moje gimnazjum imienia Słowackiego, zarządzająca nim teraz politruczka ogłasza, że nie będziemy już chodzić w mundurkach – a przecież mundurek z tarczą to ułomek mojego świata: tego świata, który podsuwa stopom grunt, zachodom i świtom nadaje oswojone barwy, w ustalonym porządku rzeczy odnawia niegasnący, szarozielony, grynszpanowy blask tradycji. – Ja chcę mundurek! – buntuję się, ale życie bezwiednie zaczyna układać się w nowych formach. Tylko drobne palce mamy coraz częściej wodzą po czole, a ono się marszczy.

Jednego popołudnia, gdzieś po miesiącu, rozlega się dzwonek u drzwi – to ojciec, już nie w mundurze,

tylko w łachmanach. Radość, zwykła ludzka zachłanna radość panuje nad tym wieczorem, bo jesteśmy razem, i nie gasi jej nawet opowieść ojca o zamęcie klęski: o tych pozbawionych dowództwa rozproszonych jednostkach, co, przekroczywszy węgierską granicę, są już tylko brudnymi, snującymi się bez celu żołnierzami. Ludzie modlą się i płaczą, ojciec zachodzi do przydrożnej chałupy, prosi o cywilne ubranie, tłumaczy gospodarzom, że wraca do Lwowa, bo żona i córka są same. Więc cieszymy się, czerpiemy z tej chwili połączenia, cokolwiek przyniesie jutro. Tego wieczoru, jak samica młode, przygarnia nas krótka terażniejszość: ciepła, żywa, miłująca.



Wszystkim uczniom w szkole kazano zapisać się do pionierów i nosić czerwoną krawatkę. – Ty do pionierów nie wstąpisz – oznajmił ojciec, któremu, jak matce, sowieckie porządki się nie podobały. Tam nacisk, tu niezgoda, co robić? – W szkole zakładaj krawatkę, ale zdejmuj ją na klatce schodowej – z kobiecą dyplomacją poradziła mama.

Dwudziestego pierwszego czerwca 1941 szkoły średnie we Lwowie uroczyście kończą rok szkolny w wielkim Parku Stryjskim. Wracam stamtąd z koleżankami w nastroju, jaki miewa się jedynie we wczesnej młodości w ciepłe popołudnia, w otoczeniu niejasnych, wybudzanych pragnień ukrytych gdzieś



w kuszącej, zahoryzontalnej przestrzeni. Zасыpiam w tym planie, w różowawej tęsknocie. Około siódmej rano budzi mnie huk detonacji. – Niedobrze to wygląda – mama omiata niespokojnym spojrzeniem drżące okno, tata identyfikuje odgłosy: to wybuchy ciężkiej artylerii, chyba z Rawy Ruskiej, czterdzieści kilometrów od nas. Kto i dlaczego bombarduje, nie wiemy. Ale Rosjanie zaczynają pakować się w panice, popłochu: upychają na ciężarówki bety, pierzyny, dzieci, taborety, babcie, garnki, wypełnione szmatami wiklinowe kosze. Rozchodzą się pogłoski, że kto chce, może jechać z nimi – dokąd, nie wiadomo. Mama się waha: wielu ucieka, bo z zachodu dochodzą wieści o represjach stosowanych przez Niemców wobec Żydów, jednak ojciec decyduje, że zostajemy. Po pierwsze w ogóle nie ufa Sowietom, po drugie – wprawdzie będziemy mieli do czynienia z wrogiem, ale kulturalnym: w czasie pierwszej wojny światowej służył w armii austriackiej, to wie, zatem lepiej postarać się przeżyć okupację pod Niemcami.

Po tygodniu bombardowań (ciągle schodzimy do schronu) wkraczają. Otacza ich blask: błyszczą czółgi, lśnią buty żołnierzy, mieniają się lufy karabinów. Nad tym blaskiem unosi się pieśń: „... i my będziemy wesoło śpiewać, gdy spod noża tryśnie żydowska krew”.

Nazajutrz ojciec wraca do domu z połamanymi żebrami, zakrwawiony. Dowleka się do pokoju, kładzie

na łóżku, każe zamknąć drzwi – liże rany w swojej gawrze, przez kolejne dni dobiega stamtąd stękanie. Potem podnosi się, obrzęknięty i posiniaczony. Szedł ulicą Sykstuską, gdy z naprzeciwka wyłoniła się grupa pijanych niemieckich żołnierzy, jeden z nich zawołał: – Czemu nas nie pozdrawiasz, Żydzie? – Pozdrawiam was – odpowiedział ojciec, ale inny wydarł się: – Jak śmiesz iść chodnikiem, Żydzie, twoje miejsce jest na jezdni! – bili go, kopali, w końcu zostawili. Zanim zebrał siły, leżał w półprzytomnym oszołomieniu.

Trzeciego dnia zgarnęli z mieszkań prominentnych obywateli Lwowa – uczonych (w tym rektora Uniwersytetu i jego profesorów), pisarzy (w tym Boya-Żeleńskiego), adwokatów, lekarzy, sędziów – siedemdziesiąt procent Żydów, trzydzieści procent Polaków. Rozstrzelali ich na wzgórzach za miastem. We Lwowie kwitły już lipy, wakacyjnie, odurzająco.



Na ulicach pojawiły się afisze, że każdy, kto ukończył trzynasty rok życia, musi posiadać dokument poświadczający jego pracę dla przedsiębiorstwa produkującego na cele wojenne. Każdy Żyd ma nosić opaskę, a za Żyda uważa się tego, czyja matka lub ojciec, babka albo dziadek byli Żydami. Poza tym co drugi dzień kontrybucja – nałożono na nas wysokie daniny. Powstały Judenrat miał ułatwić Niemcom wykonywanie tych rozporządzeń i administrowanie żydowską

społecznością. Przyszli też do ojca, zaproponowali, by został jego członkiem. Zakomunikował, że z okupantem współpracować nie będzie.

Mama chodziła codziennie do pracy. Fabryka kwitła, bo Niemcy potrzebowali lakierów i farb do samolotów i łodzi podwodnych. Rozpoczęły się łapanki. Łapanki na ulicach, łapanki w domach. Przed wojną nie miałam pojęcia, że we Lwowie jest tylu Ukraińców. Teraz to oni wywlekali ludzi z mieszkań, bili, rabowali dobytek – watahy Ukraińców i Niemców, czasami samych Ukraińców, czasami tylko Niemców. Dwa razy wtargnęli do nas, szturchnęli mamę, ojca pchnęli, nie znaleźli nic cennego, to rozpruli materace. Ojciec tłumaczył nam, że Niemcy przyrzekli Ukraińcom polityczną autonomię, jednocześnie dając im wolną rękę wobec Żydów.

Mieszkaliśmy w śródmieściu, przy głównej ulicy. Z okien rozpościerał się widok na wydarzenia, na to starcie z wysłannikami szatana, na jęki, lament i szloch odpryskujące od murów i trotuarów, w bezsile unoszące się w przestworza. Tego dnia łapali młode dziewczęta, zgarnęli też moją dziewiętnastoletnią kuzynkę, niezwykle piękną, jak ja – jedyną córkę. Wydelegowany w tej sprawie prezes gminy żydowskiej prosił, żeby je wypuścili, a Niemiec mu na to, że one są uprzywilejowane, wybrano je do służenia dzielnym żołnierzom Rzeszy jako prostytutki.

– Taka tragedia, taka tragedia – snuła się po pokoju matka, ojciec z głową ukrytą w dłoniach ciężko milczał. – Nie możesz kręcić się po mieście – zwrócił się w końcu w moją stronę, matka przytaknęła.

Wieczorami ojciec schodził do piwnicy, gdzie ukrywaliśmy radioodbiornik. Tak się dowiadaliśmy: bitwa pod Smoleńskiem przegrana, silne bombardowania Londynu, Kijów padł, Charków padł, Amerykanie wciąż nie przyłączyli się do wojny – znikąd najmniejszego pocieszenia. Nurzaliśmy się w błotnistej, dusznej matni. Moje czternaście lat bało się.



We Lwowie wybuchł głód. Głodujemy, choć mama nadal pracuje, a ojciec przyjmuje pacjentów. Z przydziału dostajemy ćwierć bochenka chleba na żołądek. Chodzę ten chleb odbierać. Najpierw stoję w długiej kolejce, a potem, wracając, wdycham jego zapach, och, jak pachnie świeży chleb, jak ta ciepła, promieniująca woń przywraca normalność! I marzę: może odłamię się jakiś okruszek i będę mogła włożyć go do ust, a jeśli się nie odłamię, to czy uszczknąć kawałek, czy nie? A kiedy mama podzieli całość, to jeść po kromce przez cały tydzień czy z miejsca pochłonąć rację i choć raz zagłuszyć głód?

Miasto ogarnia gorączka wymiany. Z kobiałkami, tobołkami, zawiniątkami zjeżdżają chłopci, przemycają mąkę, kartofle, kaszę – pieniędzy nie chcą, bo bez

wartości, wchodzą do mieszkań, rozglądają się, jeden wybiera dywan, inny obraz albo jakiś mebel. – Co dziś mamy na obiad? – próbuję żartować. – Oparcie krzesła czy nogę od stołu?

Mama gotuje cieką zupkę z krup, ale obydwójce z ojcem odsuwają talerze, bo niby niegłodni, ona przecież jadła w pracy, a on nie ma apetytu. Podtykają mi swoje porcje. Niebawem ojciec z głodu dostaje żółtaczki. Widzimy przez okno powłóczących nogami, opuchniętych ludzi, to przysiadających co chwilę, to podnoszących się z tytanicznym wysiłkiem.

Głód jest wtedy, kiedy rozwścieczona bestia rozszarpuje ci wnętrzności, drąc je na pasma, dzieląc tkanki na włókna i skręcając z nich spirale. Dopadają ci fantasmagorie: w zasięgu twoich warg krążą półmiski pełne jadła, wydzielające się z nich zapachy pieczenia, sufletów, pasztetów i ciast wsysają się w nozdrza. W tym czasie mam tylko jedno pragnienie: zjeść talerz pęczaku, dziś, jutro, pojutrze, tak przez całe życie.



Któregoś przedpołudnia ktoś dzwoni do drzwi – to oficer z trupa czaszką na czapce, boli go ząb, oczekuje pomocy. Dostaje ją – to pacjent. Później będzie kilkakrotnie wracał i przyprowadzał kolegów gestapowców. Żaden nie płaci. Gdy dzwonią, ojciec nakazuje: – Chowaj się.

W wolnych chwilach uczy mnie matematyki, fizyki, chemii, ja czytam mu na głos *Życie pszczoł*, *Przygody Sindbada żeglarza*, nowele Czechowa, poezję. Ale w rok po wkroczeniu Niemców, żeby żyć, muszę mieć poświadczenie pracy. Mamie udaje się wkręcić mnie na oddział kredek w jej fabryce. Owijam kredkę etykietą i zaklejam, tak bez końca. Od pyłu z kredek i fabrycznych wyziewów okrutnie kaszlę.

Fabryka znajduje się na terenie dzielnicy żydowskiej. W punktach kontroli pod mostami Zamarstynowskim i Kleparowskim Niemcy i Ukraińcy z żandarmerii pilnują, żeby nikt nie przeschmugłował kawałka chleba albo woreczka mąki. Nie wiedziałam, że i mamę przeszkukują codziennie z tą podnieconą gorliwością, jaką demonstrują spuszczone z łańcucha myśliwskie psy. W czasie pierwszej kontroli, urażona, stawiam opór.

Wtem ukazuje się zarządzenie, że do dzielnicy żydowskiej mają się przenieść wszyscy lwowscy Żydzi, my zostajemy, gdyż niemieccy pacjenci ojca potrzebują dentysty w centrum miasta. To dobrze, bo w naszym mieszkaniu od pewnego czasu ukrywają się dwie kobiety bez przepustek: matka ojca i jej siostra.

Wzbiera trwoga: Niemcy nasilają akcje, raz zgarniają starców, raz dzieci, kiedy indziej chorych i personel z żydowskiego szpitala – wszystkich wykańczają. W fabryce też podkręcają śrubę: ogłaszają, że dokumenty poświadczające pracę muszą zawierać

pieczęć policji. Pracuje nas tam około dwustu osób: Żydzi, Polacy i trochę Ukraińców, sześciorgu nie podstemplowują legitymacji, w tym mojej. – Za młoda na potrzeby przemysłu zbrojeniowego – orzeka Niemiec. Nie mam już prawa żyć.



Mama chowa mnie do kryjówek na terenie fabryki: na strychu, w piwnicy, pod schodami łączącymi kondygnacje. Po zmierzchu wymyka się do domu, żeby zobaczyć, czy nic się nie dzieje. Raz wraca biała jak papier, z odmienionymi rysami twarzy (oblicza zdjęte boleścią zastygają, zatrzymują się w chwili, która zadała cios): mieszkanie zapieczętowane, dozorca opowiedział, jak to Niemcy przyszli zgarnąć inną żydowską rodzinę z tej samej kamienicy, ale jedna z aresztowanych wykrzyknęła: – Dlaczego tylko nas zabieracie?! Ja wskażę, gdzie tu jeszcze ukrywają się Żydzi. – I przyszli, wyciągnęli babcię i ciocię, ojcu pozwolili zostać, a on, że nie, nie zostawi matki w niebezpieczeństwie, i powieźli ich transportem do Bełżca. Po drodze kazali opuścić wagony lekarzom i pielęgniarkom (dowiemy się o tym od kolegi ojca, który w ten sposób ocalał) – tata nie wyszedł.

Odtąd mama żyła tylko jednym: ukryć mnie tak, żeby nie znaleźli. (Palce jej dłoni wciąż odbywają wędrówkę po czole, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem). Śpimy na jakichś deskach, a ona, czuwająca, często

mnie budzi: – Wstawaj, słyszę kroki, schowamy się gdzie indziej – bo Niemcy robili nocne naloty w poszukiwaniu Żydów bez przepustek. Któregoś ranka znów mnie szturcha: – Szybko, szybko. – Na podwórzu fabrycznym stoją kilkusetlitrowe cysterny na farbę, mama sprawdza: jedna, z lakierem bezbarwnym, jest niepełna. – Wejdz do niej – pokazuje – stań na drabince. – I stoję tak z pół godziny, dopóki mnie nie wywoła. Później długo myję się terpentyną, skóra świerzbi.

W sierpniu 1942 przeprowadzają akcję, która trwa trzy tygodnie. Zabierają sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt tysięcy Żydów. Siedzę właśnie w pokoju mamy, gdy raptem dostrzegamy przez okno trzech gestapowców wchodzących do biura dyrektora. Pytają o coś Leinwalda, pracownika, który targa jakąś skrzynię. Na ucieczkę już za późno. W rogu pokoju, przy ścianie, stoi ogniotrwała żelazna kasa – mama obmacuje ją i odsuwa (jakim cudem ona, taka wątła, z kruchymi palcami, tego dokonała?), a wtedy, ku memu zdumieniu, ukazują się małe drzwiczki do fabrycznego komina. Mama mnie tam wpycha: – Stój tutaj, wyjmę cię po wszystkim.

Potem, z oddalenia, przenika jeszcze jej głos: – Pani Leinwald, nie wiem, dlaczego gestapowcy każą mi iść z nimi. Moje dziecko stoi w kominie, jeśli nie wrócę, niech ją pan wypuści.

Ostatnie jej słowa, które słyszę.





– Jak to, panie Leinwald? Co pan mówi, panie Leiwald? – wychodzę na fabryczne podwórze, rozglądam się za gestapowcami, chcę, żeby mnie zabrali, ale nikogo nie ma, podwórze razi pustką. Pętam się w niej jak po wymiecionej z dramatu scenie, aż zauważa mnie Żydówka Sonia, znajoma mamy, buchalterka: – Na miłość boską, co ty tutaj robisz?! – Ja na to, że chcę do więzienia, gdzie mama, a Sonia tłumaczy: – Ty mamy nie znajdziesz, ty się ratuj.

Nie chcę się ratować, powtarzam w kółko, że nie mam już życia, nie mam rodziców, nikogo nie mam, ale Sonia nie ustępuje. – Załatwię ci papiery. Mówisz dobrze po polsku, nie masz semickiego wyglądu. Nas tu czeka zagłada.

Błąkam się po terenie fabryki jeszcze jakieś dzień-dwa – nikt nie zwraca na mnie uwagi, nie wiem, czy coś jem, piję, gdzie śpię – pamięć mości sobie próżnię, przeganiając ten czas w obszary niepamiętne. Trwa to do momentu spotkania z fałszerzem: do tego popołudnia, gdy Sonia prowadzi mnie do małej, zaciemnionej kanciapy przy wąskiej kamienistej uliczce z dala od głównych traktów, po której przechadzają się niczyje, błękitnawe gołębie. W kącie niestary mężczyzna w okularach pisze coś zawzięcie, nie wstaje na nasz widok, podnosi wzrok dopiero, kiedy Sonia odzywa się cicho: – Popatrz na tę

dziewczynkę – i to spojrzenie zdaje się prześwieślać na wylot każdy fragment mojej twarzy. – Ujdzie – kwituje lustrację fałszerz, odwraca się plecami, zanika w pomroce.

W metryce, którą sporządza, nazywam się Muszyńska Ludwika, urodzona rok wcześniej, żebym nie była za młoda, z matki zmarłej przy porodzie i ojca, co walczył w polskim wojsku i wywieźli go na Sybir. Do metryki fałszerz dołącza dokument meldunkowy z urzędu miasta, a Sonia wytrzaśnięty skądś formularz z nowym poświadczeniem zatrudnienia w fabryce. Robota jest lipna, normalnie pieczętkę stawia się na podpisie, a tu podpisy widnieją na pieczętce, dlatego Sonia radzi, żebym starała się okazywać te papiery jedynie w sytuacji wyższej konieczności. – Najlepszą metrykę wystawiasz sobie wyglądem i zachowaniem – podkreśla, szykując mi walizeczkę z bielizną na zmianę i sukienką, i zarysowując plany na najbliższą przyszłość: pojedę do przygodnej małej miejscowości, powiem, że cierpię na suchoty, dlatego muszę pić codziennie dużo mleka i oddychać świeżym powietrzem, a ona, Sonia, będzie do mnie pisywać i przysyłać pieniądze. Lecz ja nadal się opieram, nie chcę wyjeżdżać, odcinać się od świata, który znałam. – A książkę o Macie Hari czytałaś? Teraz ty ją zagrasz, a im lepiej to uczynisz, tym większe szanse, że wygrasz życie. – Sonia milknie, wiedząc, że trafiła

celnie: skoro Mata Hari mogła udawać kogoś innego, to dlaczego nie ja?

Przed wieczorem mam opuścić getto przez dziurę w ogrodzeniu, potem zedrzeć opaskę z gwiazdą Dawida i pójść na dworzec kolejowy. Przy pożegnaniu Sonia nakazuje mi iść szybko, nie oglądać się za siebie, lecz ja się odwracam i w mig pojmuję, przed czym chciała mnie uchronić. Mój ostatni obraz getta to budynek ozdobiony trzynastoma trupami – tego dnia powiesili cały Judenrat. Idę na dworzec jak żona Lota.



Pociągi dla cywilów mają przyjechać dopiero rano, więc spędzam noc w poczekalni. Udaję, że śpię, ale do snu mi daleko, płaczą się, rwą i kotłują myśli: co dalej? dokąd jechać? a jeśli zdradzą mnie dokumenty? Ktoś obok chrapie, zażywna kobieta odmawia zdrowaśki, jakiś facet pociąga z butelki. Czy to możliwe, by nikt nie domyślił się, kim jestem?

Ze świtem staję w kolejce do kasy. Mężczyzna przede mną kupuje bilet do Tarnopola. – Dokąd? – kasjerka ma półprzymknięte powieki, jak moja przedwojenna lalka. – Do Tarnopola – odpowiadam szybko.

W pociągu zajmuję miejsce w kącie przedziału, nie odzywam się, żeby nie przykuć niczyjej uwagi. Ruszamy. Po kwadransie stajemy w polu, słysząc strzały, znów ruszamy, w naszym przedziale sadowi się

czterech Ukraińców. – No, załatwione – puszcza oko jeden do drugiego. – A co się stało? – ciekawią się ludzie. – A jakaś Żydowica uciekała ze Lwowa, to się z nią zrobiło porządek. – Ukrainiec ukazuje w uśmiechu nadzarte próchnicą zęby, uderza dłońmi w kolano: – No dawajcie, kto stawia? – Ktoś wyjmuje butelkę, która krąży z rąk do rąk, teraz moja kolej. – Nie, dziękuję – próbuję się wykręcić, jeszcze nie znam smaku wódki. – Pij, głupaja – on nalega, a mnie dopada strach, wielki, kąśliwy strach, że skupią na mnie zainteresowanie, i biorę od mordercy butelkę, łykam i raptem krew uderza mi do głowy, krztuszę się, kaszlę, a oni, rozbawieni, śmieją się do rozpuku. Mam tylko jedno pragnienie: wyjść stąd, nie oddychać tym samym kwaśnym, brudnym, zepsutym powietrzem. Po kilku godzinach pociąg zatrzymuje się, w oknach budynku stacyjnego dostrzegam doniczki, a w nich jaskrawoczerwone pelargonie, jak u babci w Horodence. Wysiadam.



Tkwią z walizeczką pośrodku peronu, rozglądam się. Kopyczyńce – odczytuję nazwę miejscowości wyrytą na drewnianej fasadzie dworcowego ceglaka. Ktoś w kolejarским ubraniu obserwuje mnie z przeciwległego krańca peronu, pewnie domyśla się, kim jestem – zbliża się, zagaduje: – A panienska ze Lwowa, tak? Panienska przywiozła coś na handel?

– Nie, proszę pana, ja mam gruźlicę i muszę pić dużo mleka, zmienić klimat.

– A to się dobrze składa – kolejarz unosi czapkę i wyciera dłonią spocone czoło – bo mam w gospodarstwie dwie kozy, a jedną dojną. Wprawdzie dziątek u mnie czworo, ale miejsce dla panienki też się znajdzie. Cenę obgada pani z moją starą.

Rodzina Bartoszyńców zajmuje mały domek, który dostała od dyrekcji kolei. Czysto tu i syto. Gospodyni stawia przede mną michę barszczu z kartoflami (jem zachłannie, każdym nerwem, jem, jakbym śniła, że za moment pryśnie ten dziwny, łaskawy sen) i trajkocze: każdy wie, że we Lwowie nie ma co jeść, tutejsi wożą tam prowiant, a przywożą ubrania. – A panienka nic ze sobą nie ma? – zdumiewa się. Daję jej dziewięćset złotych za miesiąc z góry, niedużo, normalnie za lokum i utrzymanie, wszystkiego mam tysiąc. Co będzie dalej, nie wiem.

Teraz trzeba się zameldować. Bartoszyńcy uspokaja, że na posterunku nie będą robić trudności, flaszkę im zaniesie, to czemu mają być przeciw. Nie byli. Ja zaś rozglądam się za pracę – a o nią trudno. Zgłaszam się, jak inni z dużymi problemami, na roboty do Niemiec, lecz w punkcie zbornym zerkają na metrykę i odsyłają za rok, jestem za młoda.

Któregoś wieczoru Bartoszyńcy przyprowadza na nocleg mężczyznę, który chce zorganizować

w Kopyczyńcach zwózkę drewna wysyłanego później do niemieckich fabryk i szuka kogoś, kto choć trochę zna niemiecki, będzie stał na stacji, odbierał od chłopów kłody, mierzył je i nadzorował załadunek na lory. – Może ja się nadam – proponuję natychmiast i ten obcy, przeegzaminowawszy mnie trochę, się zgadza.

Dojeżdża raz w tygodniu z Czortkowa, gdzie mieści się centrala firmy, rozmawiamy o tym i owym, a kiedyś zagaduje: – Słuchaj, Lidka (tak mnie nazywali), właściwie co ty tutaj robisz? – i z tym pytaniem zawala mi się ten kruchy kopyczyński rąbek świata, na którym próbuję dryfować w stronę ocalenia. A on przyszpila: – Bajki opowiadaj Bartoszynowi, mnie powiedz prawdę.

Brzęczy zabłąkana w firance mucha, na zewnątrz Bartoszynka doi kozę. – Nie wiem, co panu przyszło do głowy – staram się patrzeć mu w oczy, choć umknęłabym szybko w pierwszą lepszą szczelinę, w jakąś rysę na stole, na szybie, ale on przetrzymuje mój wzrok, rozciąga go niby gumową linkę: – Mnie to nie zależy, Lidka, ale jakbyś była w kłopotcie, możesz się do mnie zwrócić. Swój chłop jestem.

Odtąd nie zaznałam ulgi. Jeśli on poznał, że jestem Żydówką, to inni też się zorientują. Kopyczyńce osaczały, dławily; jak przedwiosenna marzanna w zimnych jeszcze wodach topniała we mnie, kurczyła się Mata Hari.



Przed Wielkanocą Lonka, córka Bartoszyńców, chce wiedzieć, kiedy idę do konfesjonału, bo na święta wszyscy się spowiadają. Kłamię, że już byłam. Kościoła się nie boję. We Lwowie ojciec zabierał mnie na długie piesze wycieczki, zawsze do innej dzielnicy, wstępowaliśmy do świątyń, uczył mnie, jak mam się w nich zachowywać. Czułam się bezpieczna w majestatycznym chłodzie rozmodlonych murów, w niebosiężnych ramionach łuków, w półmroku utkany z niepoliczalnych poruszeń tajemnicy.

– To wszyscy przyjmujemy komunię – cieszy się Lonka, zaplata końcówkę poluźnionego warkocza i papla, jak to w sąsiednim miasteczku Żydówka udająca katoliczkę w chwili, gdy Ciało Pańskie dotknęło jej języka, w mgnieniu padła trupem.

Ale ja nie boję się kościołów, boję się tylko ludzi, biorę do ust białą, wiotką, niemal przezroczystą krążek.



Najgorsze są noce. Nękają pytaniem, kim jestem, Lilką czy Ludwiką? Czy tą chłopską bezmyślną dziewczyną, której rolę gram za dnia, czy tamtą lwowską nastolatką, otoczoną pieczołowitą troską ludzi i mądrością ksiązek, zawierającą perspektywom otwierającej się wolności? Mam zwalczać w sobie Ludwikę czy Lilkę? Moje noce w udęcie rozdwojenia oduczały się

snu, a nawet jeśli ten brał mnie we władanie na krótko, też rozszczępiał się na pół.

W lipcu 1943 na głównej ulicy spotykam sąsiada, zawiadowcę stacji. Gaduła z niego: co słyhać, panno Lidko, jak zdrówko, panno Lidko, rączki całuję, panno Lidko, a wczoraj u nich, na imieninach żony, to dopiero wesoło było i gwarno, Hans, ten z gestapo, też przyszedł i Bimo Jaremko, Ukrainiec. – Pani go zna, prawda?

Och, trudno to nazwać znajomością, chodziliśmy we Lwowie do tej samej szkoły, starszy o dwa lata, za wolnej Polski uważał się za Polaka, za czasów sowieckich był Ukraińcem, a za Niemców folksdojczem.

Miesiąc wcześniej Lonka zabrała mnie na jakąś bibkę. Grał patefon, tańczące pary owijały sine kłęby papierosowego dymu, z których raptem wyłoniła się jego postać. Przedstawili nas: – Poznaj, to jest lwo-wiak. – Bardzo mi miło, padam do nóżek – łasił się Jaremko, ale kiedy wracałam do domu, wziął mnie pod rękę, nachylił się i wysyczał: – Myślisz, że cię nie poznałem? Sprytna z ciebie Żydowica. Nie bój się, swojak ze mnie, nie będę gadał.

Zawiadowca stacji, delektując się każdym słowem, opowiada, jak to Jaremko, popiwszy sobie na imieninach kolejarzowej, zaklinał się, że jestem Żydówką, dlatego Hans zapisał moje dane i od razu z rana wysłali je do Lwowa z zapytaniem, czy są zgodne



z tamtejszą ewidencją. Gorąco bije od rozgrzanego trotuaru, czarny kundel z wywieszonym jęzorem szuka schronienia w cieniu markizy sklepu z artykułami żelaznymi, kląskają w bruk podkowy konia ciągnącego furmankę z sianem. – A niech sprawdzają – uśmiecham się. – Może mi znajdą jakiegoś żydowskiego dziadka, przecież mają na tym punkcie *idée fixe*. – I mówimy sobie uprzejme „do widzenia”, zawiadowca podąża w swoją stronę, ja na dworzec. Do Lwowa nie pojedę, getto już zlikwidowane, więc do jakiego wsiąść pociągu, który kierunek wskazuje ocalenie?

– Lidka – ktoś mnie woła znajomym głosem, może to zwid nasączonej adrenaliną wyobraźni, może odprysk sennej paplaniny rozszczepienia. Obojętnie, w której jestem rzeczywistości, wzrok potwierdza: stoi przede mną Anatol Leopold Papierkowski, mój boss. – Proszę o przeniesienie na inną placówkę – mój głos staje się nienaturalnie wycieniony, jakby wisiał na jednej strunie. Szef ruchem ręki wskazuje przystający zagajnik, pomoże mi – zapewnia – ale chce wiedzieć wszystko. I w tym brzożowo-olchowym zagajniku, rozedrganym plamistą grą światła i cieni po raz pierwszy od dwóch lat przyznaję, że jestem Żydówką, a wyznanie to uwalnia łyzy – skryzalizowały się, są jak szklane kulki.

Boss się nie dziwi, mówi, że takich jak ja jest wielu, potem jedziemy do Czortkowa, przekazuje mi klucz

do małego pokoju przy ulicy Kolejowej osiemnaście. – Czekał na mnie – poleca i znika.

W tym pokoju, schludnym, jasnym, nie ma wody ani wygodki. Mijają długie, głuche godziny, chce mi się pić, próbuję drzemać, otępić pragnienie. W nocnej szarzyźnie wahają się kontury sprzętów. Wtem klap, klap, krople stukają w parapet, wystawiam po nie kubek – lecz to deszcz przelotny, jak trzepoczący pobłyskującymi skrzydełkami owad. – Wody – jęczę. – Oj, głupi, nie pomyślałem – mityguje się boss naza jutrz. Jest uprzejmy i trochę rozkojarzony. (Działa w podziemiu i sam się ukrywa, jak dowiem się później, a firmę, w której pracowałam, założono po to, by uratować grupę warszawskich Żydów). Teraz każe mi stawić się następnego dnia na spotkanie z dyrektorem przedsiębiorstwa i znowu wychodzi – gdzie nocuje, dokąd zmierza, nie pytam.

Zgłaszam się do biura głównej dyrekcji, a tam drzwi obite skórą, urzędnicy, elegancki wystrój, sekretarka grzecznie wskazuje mi krzesło i formularze do wypełnienia. Potem zaprasza do dyrektora. Zza wielkiego biurka podnosi się przystojny mężczyzna – Żyd jak nic. Rozmawia ze mną oficjalnie, wypytuje o kwalifikacje, na koniec zapowiada, że się odezwą. Trzy doby później, wieczorem, pojawia się w moim pokoiku z Papierkowskim i nieznanym mi człowiekiem. Informuje, że dostałam posadę w filii

w Brzeżanach i z tej okazji pójdziemy na dobrą kolację. Właściciel najokazalszej w mieście restauracji prześciga się w reweransach: padam do nóżek wielmożnego pana, wielmożny pan łaskaw zamówić co zwykle?, niechże wielmożny pan i kompania zechcą spocząć. A oni (dwóch jest z Warszawy) tryskają humorem, wspominają wspólnych znajomych, obgadują przedwojenne artystki filmowe, poruszają nieznanymi zagadnienia – gdzie się znalazłam? w jakim świecie? czy to skrzep oderwany z przeszłości, zawisły w zakazanej przestrzeni, który za chwilę rozleje się w krwawą plamę? Siedzę cichutko niby Cyganiątko i słucham, słucham, słucham...

Nazajutrz wracam z biura z dokumentacją związaną z moimi obowiązkami w Brzeżanach i zauważam jakąś nalepkę na słupie elektrycznym, która ma dziwną moc przyciągania. Skręcam w tamtą stronę, a im bliżej znajduję się celu, tym wyraźniej zbliża się do mnie moja twarz, pod nią anons policji, że twarz należy do ukrywającej się w okolicy pod fałszywym nazwiskiem Ludwika Muszyńska Żydówki i że każdy, kto doniesie o miejscu jej pobytu, zostanie wynagrodzony. Tego wieczora Papierkowski potwierdza: u Bartoszynów byli policjanci, ciągnęli ich za język, wzięli moje zdjęcie, dlatego teraz jak najszybciej mam jechać do Brzeżan. Wsiądę do pociągu, gdzie odnajdzie mnie pewien młody mężczyzna w zielonej

marynarce i zapyta, czy jestem Ludwiką Muszyńską, następnie przejdzie do innego przedziału. Zobaczmy się w Brzeżanach.



Ów mężczyzna, Polak, Adam Kunz, dwudziestoczteroletni, prowadził tu filię tej drzewnej firmy, bo lasy naokoło Brzeżan strzeliste, żywiczne, jędrne. Gdy wybuchła wojna, kończył politechnikę. Nela, jego dwudziestojednoletnia, niezwyklej urody żona, szlachetna i łagodna, była córką austriackiego oficera o nazwisku Mik, który zdezerterował z armii, gdy zakochał się w Polce z Samboru i tu wraz z nią osiadł. Tuż przed ślubem z Nelą Adam zgłądał pewnego gestapowca, dlatego obydwójce musieli się ukrywać. Mieli kontakt z podziemną organizacją, która nękała Niemców głównie akcjami sabotażowymi. Ich miłość miała coś ze świeżości rozwieszonych na wietrze prześcieradeł, spojrzenia i gesty napełniała triumfalnym, radosnym spokojem intymności, czegoś niepodzielnie własnego. Dysponowali jednym pokoikiem z podwójnym łóżkiem i małą kanapką – to na niej spałam.

Jeździłam teraz od wsi do wsi, do wójtów i sołtysów i pilnowałam, żeby na określony dzień, gdy na stację w Brzeżanach podjeżdżały specjalne pociągi, zorganizowali dowóz odpowiedniej ilości drewna. Za niewypełnienie zadania czekała ich kara. Z tych

niedalekich podróży przywoziłam jajka, kaczki, kury, więc nie głodowaliśmy.

Adam znalazł trochę większe mieszkanie – takie, co miało drugie wyjście, na wypadek, gdybyśmy musieli zwiewać, bo wraz ze zbliżaniem się frontu rosyjskiego Ukraińcy stali się jeszcze aktywniejsi, zwłaszcza banderowcy, którzy, chodząc od domu do domu, urządzali na Polakach rzezie. Mieszkaliśmy na parterze i przed zapadnięciem zmroku budowaliśmy zapory ze stołu i łóżek. Jednej nocy walą pięściami w drzwi. – *Was ist hier, Schweine!* – krzyczy Adam w tym szczególnym natchnieniu, jakie uwalnia zagrożone życie, i Ukraińcy robią w tył zwrot z kornym *sprasiwajtie*. Było jasne, że jak dowiedzą się, że my nie Niemcy, następnego dnia wrócą.

– Lepiej żebyśmy nie byli wtedy trzeźwi – Adam przed kolejną nocą wyciąga butelkę wódki, do tego cebulę na zagryzkę – jedyną, jaka była w kuchni – i tak, popijając, snujemy różne opowieści, a to o strachach dzieciństwa, diabłach z widłami kolędujących z aniołami w mroźne wieczory chrześcijańskich świąt, a to o wiejskich odmieńcach mamroczących pod nosem niepojęte zaklęcia, wymachujących rękami do postaci ze swoich rojeń, a to o grubych ciotkach i wiotkich przy nich, patyczkowatych wujkach, o stanach zapalenia w gwiazdy wiodących w objęcia metafizyki, a także o tym, co będzie po wojnie, gdy nastąpi długa,

zgaszona, liżąca niegojące się rany cisza. W środku nocy Nela już się śłania i kładzie się spać.

– Cholera, jak nas tutaj wyrzną, to moja ciotka w Nowym Jorku nie dowie się, co się ze mną stało – Adam przeciąga się, ziewa.

– A wiesz, ja mam też rodzinę w Ameryce, tylko nie pamiętam nazwiska – zasepiam się, wysilam rozkołysaną pamięć, a Adam podsuwa życzliwie: – Może Rozenberg albo Rozenkranc.

Ten jeden, jedyny raz dał mi do zrozumienia, że wie.

Noc minęła spokojnie, jednak postanowiliśmy wyjechać – Adam i Nela do Rabki, do ciotki, ja do Sambora. „Kochani moi – zwracała się Nela w liście do swoich rodziców – posyłam wam Lidkę. Odnosicie się do niej tak, jakbyście odnosili się do mnie, jest mi bardzo droga”.

Kiedy weszli Rosjanie i wróciłam do Lwowa, od razu napisałam do Rabki, że przeżyłam.



Adam przekonywał: – Tu się zaczyna normalne życie, posłałbym cię do szkoły, kształcił, nie wyjeżdżaj. – Ale w maju 1945 Polskę opuściłam. W 1971 Adamowi usuwali migdałki, nie zrobili przed operacją wszystkich badań i wykrwawił się. Taką miał, biedak, głupią śmierć. Osierocił dwóch synów.

Nelę po raz pierwszy sprowadziłam do Izraela w 1988. Przeplakałyśmy całą drogę z lotniska. – Cze-

mu wyjście to zrobili, czemu mnie ratowaliście? – pytałam. – No, a jak można było inaczej? – Nela przyglądała się palmom, ich rozcapierzonym koronom, dotąd nie widziała żywych palm. – Taka młodziutka byłaś, dziecko jeszcze.

Na jej i Adama cześć rosną w Jerozolimie piękne drzewka. Patrząc na nie, myślałam: każdy polski Żyd, który przeżył, musiał mieć swojego Polaka, ale to nieprawda – każdy polski Żyd, który przeżył, musiał mieć więcej niż jednego Polaka. Neli przyrzekłam, że jak długo będę żyła, niczego jej nie zabraknie.

Poldka Papierkowskiego odnalazłam w 1957. Był adwokatem w Krakowie, potem sędzią. Nigdy nie przyjechał do Izraela. Umarł na guza mózgu.

W tym samym 1957 przyszło mi do głowy, że powinienam odezwać się do Bartoszynów, bo wtedy znikłam bez słowa. Odpowiedzieli. Mieszkali we Wrocławiu, a ich najmłodsza córka, pod koniec wojny około dziesięcioletnia, w obozie dla nowo przybyłych w pobliżu Hajfy. Dotarłam tam, zapukałam w drzwi drewnianego baraku. – Lidka, Jezus Maria, a ty co tutaj robisz? – drobna kobiecina wybałuszyła oczy. – To ty też wyszłaś za Żyda? – Wokół jej kolan pętała się dwójka blondasków. Marysia Bartoszyn związała się z Żydem uratowanym z Auschwitz, paskudnym typem. To on zdecydował, że wyjadą do Ameryki. Nie chciała, nie wabił jej zaoceaniczny świat. Jak

długo tu byli, pomagałam im. Przed wielką podróżą przyszła się pożegnać: – Lidka, jak mi będzie dobrze, napiszę, jeśli się nie odezwę, to wiedz, że w tej Ameryce mi źle.

Żadna wiadomość nigdy od niej nie nadeszła.



W sierpniu 1944 wróciłam do Lwowa i od razu skierowałam się do starej niezburzonej synagogi, gdzie zgłaszali się uratowani Żydzi.

Siedzi tam dwóch pejsatych. (Jak oni przeżyli? – przemyka mi przez głowę). Pytam grzecznie o listę ocalonych. Pejsaci wymieniają spojrzenia, jeden zwraca się do drugiego po żydowsku. – To jakaś Polka, nie wiadomo, co z tym zrobi.

– Jestem Żydówką! – burzę się, a drugi zapewnia pierwszego: – Ona jest niebezpieczna. – Wtedy zaczynam deklamować po hebrajsku wersy psalmu, których uczy się każde żydowskie dziecko, i wreszcie dostaję listę, lecz nie znajduję na niej nikogo bliskiego, jedynie około pięciuset obcych nazwisk (przed wojną we Lwowie żyło sto pięćdziesiąt dziewięć tysięcy Żydów). Moją uwagę przyciągają cztery nazwiska o tym samym brzmieniu. – O, to cała rodzina się uratowała – dziwię się, a pejsaty potwierdza: – Tak, to jedyne taki przypadek w mieście, właściwie nie cztery, ale pięć osób, piąta to ciotka, o innym nazwisku.

Familia nazywała się Thau.



W mieście powoli żółkły liście, podziemne soki wycofywały się, kurczyły od zwiastujących jesień powiewów.



Moje córki chciały zobaczyć komin. Pojechaliśmy do Lwowa dużą gromadą – z córkami ich mężowie, dzieci. Po fabryce zostało gruzowisko otoczone drucianą, podziurawioną siatką. Komin, wąski, z odłupanymi fragmentami, pochylony jak zmurszałe drzewo, przyglądał się nam zdumionym milczeniem chorego na demencję starca.

– Jak ty się mogłaś w nim zmieścić? – pokręciła głową córka.

Trzymając się za ręce, staliśmy przy drucianej siatce niczym pielgrzymi przybyli do mekki, a światło padało na komin z ukosa, co czyniło go jeszcze bardziej zgiętym.

Historia Lili Thau, z domu Chuwis, drugiej żony Anatola-Avshaloma.



ר  
ר  
ר

ר  
ר  
ר

ר  
ר  
ר

ר  
ר  
ר

ר  
ר  
ר



**P**ierwszą matkę straciłam w wieku pięciu lat w Łucku na Wołyniu. Poszliśmy do fryzjera. Dzień był duszny i szary – słońce utknęło gdzieś za wykładziną chmur i męczyło nas swoją niemocą. Matka nagle chwyciła się za brzuch, dostała krwotoku – kuciała w kałuży krwi, jęcząc. Ktoś powiedział, że miałabym braciszka, płakałam.

Na jakiś czas oddano mnie na wychowanie do ciotki w Łodzi. (Zginęła później w tamtejszym getcie). Ojciec, z zawodu zecer, ożenił się ponownie z Lizą Teper, podobnie jak moja matka akuszerką, kobietą rozwiedzioną i bezdzietną. Przenieśliśmy się wówczas do Włodzimierza. Ludzie współczuli Lizie, że bierze takie wychudzone i wymęczone dziecko. Do wybuchu wojny uczyłam się w żydowskiej szkole podstawowej, a potem w prywatnym gimnazjum żydowskim. W rodzinie nie rozmawiało się w tym języku, choć w święta mama zapalała świece i przyrządzała koszerne posiłki. Rodzicom, niezbyt zamożnym, nie zawsze starczało

na opłacanie chesnego w moim gimnazjum, dlatego często wywoływano mnie z klasy i odsyłano do domu.

Niemcy zamknęli nas w getcie, które oplekli drutem kolczastym. Nie musieliśmy przeprowadzać się z tobołami, bo nasza ulica znalazła się na terenie wyznaczonym dla Żydów. Natychmiast dokwaterowali nam lokatorów: krawca Bechera z rodziną i niejaką panią Polakową z synem, też akuszerkę – do dwóch małych pokoi z maciupęnką kuchnią, ale za to w centrum miasta, naprzeciwko kościoła, kina i blisko parku. W kuchni Becher zainstalował swoją pracownię. Rytmiczny stukot maszyny do szycia wskrzeszał normalność, kołysał do snu.

Dzięki protekcji mojej przyjaciółki Lili Zylber zostałam sprzątaczką na posterunku żandarmerii. Praca nie należała do ciężkich, każdy o nią zabiegał. Sprzątałam gabinet oberwachmistrza Einhorna i pokoje żandarmów niższej rangi – traktowano mnie dobrze, szczególnie starszy żandarm Schacht o wystających krzywych zębach. Miał córkę w moim wieku i lubił o niej opowiadać. Na imieniny przyniosłam mu kwiaty, bo często dawał mi papierosy dla ojca i trochę wędlin. Bardzo się z astrów ucieszył.



Judenrat kierował operacją wysyłania Żydów na przymusowe roboty – mnie posłali do fabryki marmolady usytuowanej poza gettem. Wyjmowałam

pestki ze śliwek, a marmolada wędrowała do niemieckich żołnierzy na front. Wyobrażałam sobie, jak Niemcy, oblepieni marmoladą, strzelają do ofiar. Jednego dnia, wracając z pracy, u bram getta zobaczyłam żydowskich i ukraińskich policjantów gromadzących łopaty. Niebawem wyszło na jaw, że były przeznaczone do kopania dołów w miejscowości Piatydnie, dwanaście kilometrów na zachód od Włodzimierza. Niemcy popędzili tam Żydów i wszystkich zabili.

W getcie wybuchła panika, rozpowiadano o szykowanej na następny dzień wielkiej akcji. Mama, która pracowała w szpitalu na terenie getta, zdecydowała, że ukryjemy się w schronie przygotowanym dla personelu – można się tam było dostać, podnosząc wycieraczkę, pod którą zamontowano klapę. Ale mama chorowała na serce i w schronie brakowało jej powietrza. – Mam ausweis, nic mi się nie stanie – uspokajała nas i wyszła na zewnątrz. Nocą ciężki, pospieszny tupot nad głowami zakomunikował nam, że opróżniają szpital.

Tak straciłam drugą matkę. Zastanawiałam się, czy przed śmiercią zdążyła odetchnąć.

Szóstego dnia w schronie skończyła się woda. Odtąd jedno z nas wymykało się w nocy, żeby ją zdobyć. Padło na mnie. Przesuwam się z dwoma blaszаныmi kubkami w całkowitej ciemności, w podpierającej ją smolistej ciszy. Wymacuję szczeble drewnianych

schodów i krocę powoli, schody trzeszczą niemiłosiernie, jakby krztusiły się winami wszystkich przemierzających je kiedyś ukradkowych kroków. Nagle wyczuwam, że znikła wiodąca na strych drabina, słyszę niecierpliwe, napięte „pst” i oblewa mnie snop białego światła latarki, w którym upiorzeją dwa zarośnięte oblicza jakichś żydowskich uciekinierów. Spuszczają mi sznurek, przywiązuję do niego kubek, oni napełniają go i tą samą drogą posyłają do mnie, na dół – woda kolebie się, wylewa, chlupocze, wierzga, zostaje jej zaledwie tyle, że każdy w schronie może zwilżyć usta.

Nazajutrz na górze znowu głośno, żydowskie i niemieckie. Najwyraźniej Niemcy sprowadzili pod eskortą grupę niedobitków z pierwszego pogromu, żeby oczyścili szpital, w którym teraz mają być koszary. – Wychodzimy – decyduje ktoś, bo bez jedzenia i wody i tak nie mamy szans. Unosimy klapę i opuszczamy schron: korowód zgiętych, chwiejnych, brudnych postaci, sunący lękliwie, niepewnie, niby wygnańcy z hadesu podążający na sąd ostateczny. Dołączamy do sprzątających – Niemcy nie zauważają, że jest nas więcej – tak śmierć łasi się, depcze nam po piętach, gra z naszymi oddechami.

Po miesiącu koczowania w więziennych celach znowu znajdujemy się w getcie, w dzielnicy Zarzeczce, kątem u jakiejś rodziny. W szkole, w której Niemcy



urządzili magazyn pożydowskiej odzieży i pościeli, sortujemy: bielizna oddzielnie, suknie, spodnie, marynarki osobno – wszystko, co okrywało kiedyś syte, bezpieczne ciała i przechowało ich kształty, zapachy, a odbiciom w lustrze przydawało lekkości lub powagi, zaś po dezynfekcji za pośrednictwem firmy Glazer trafiało do Niemiec i otrzymywało tożsamość nowych, aryjskich, jedynie słusznych ciał.

Szerzą się pogłoski o nowej akcji, każdy szuka ocaleń u znajomych Polaków. – Uciekaj z getta – w głosie ojca pobrzmiwa ton nakazu, uczepiam się tego jak tonący brzytwy, odwracam się na pięcie i wychodzę. (Później zawieszona na chwilę sumienie odezwie się ze zdwojoną siłą i będzie dławić wyrzutem: zostawiłaś go samego, opuściłaś własnego ojca, podła).

Kiedy pracowałam w fabryce marmolady, Polakowa wręczyła mi adres Żebrowskich, małżeństwa z dwoma synami (jeden miał chyba na imię Zbyszek) i córką Alicją. Kilkakrotnie przynosiłam im różne rzeczy w zamian za chleb czy masło. Helena Żebrowska zawsze się nade mną litowała. Władysław, jej mąż, Polak i ewangelik, jako inspektor nadzorował żydowskie gimnazja w mieście, doskonale znał hebrajski. Teraz pracował w biurze niemieckiej firmy Kreisel Landwirtschaft. To do nich pukam. Żebrowskiego jeszcze nie ma, lada moment ma przyjść na obiad. Helena rozgląda się w popłochu, w przedpokoju nakłada na mnie płaszcz,

na kołku zawiesza kapelusz męża – jestem płaszczem w kapeluszu.

– Słyszałaś, Helu? Żydów biją – wita się z żoną Żebrowski.

Helena rozkłada talerze, brzęczą sztucce: – Wiem, ta biedna Dusia tu była.

– Dobrze, że poszła. – Żebrowski przygląda się, jak czerwien zupy rozlewa się po białej porcelanie.

– To jeszcze dziecko, co ona zawiniła.

Będąc płaszczem, poznaję wieczność, wieczność przylegam do wieszaka, zanim Żebrowski wraca do pracy, a Helena woła mnie do okna: szosą do Piatydni suną ciężarówki wypełnione ludźmi o pochylonych głowach, w które celują strażnicy gotowi do strzału. – Bardzo chcę ci pomóc, ale nie możesz tu zostać. – Helena splata i rozplata dłonie, kręci się po pokoju, jakby szukała zgubionego przedmiotu, potem odprowadza mnie na ulicę, przy której mieszczą się koszary. W ich pobliżu mieszka Olesia, nasza była służąca, której Sasza Rotenstein, siostrzenica mojej mamy, dała na przechowanie wartościowe rzeczy. Olesię często odwiedzają Niemcy z koszar, pewnie dlatego na mój widok żegna się, bo gdzie ukryć człowieka w jednym małym pokoju z kuchnią? Tylko we wnęce drzwiowej przesłoniętej kilimem. Ale właśnie puka gestapowiec, Olesia siada plecami do mnie, a on na wprost. Będąc kilimem, niemal nie oddycham

ze strachu, ale za to zaczyna mi burczeć w brzuchu, wtedy Olesia łapie się za swój. W końcu Niemiec wychodzi. – Wyczuwał czyjaś obecność, to pewne – przekonuje Olesia nocą, którą spędzam u niej. Rano radzi, żebym poszła na dworzec, bo tam przyjeżdżają pociągi z Polakami schwytanymi na ulicach, wywozi się ich na roboty do Niemiec. – Powiesz, że jesteś z łapanki, a dokumenty zostawiłaś w domu, nikt ci nie udowodni, że uciekłaś z getta. – Olesia maluje mi usta na czerwono, żebym wyglądała na starszą i nie kojarzyła się z zaszcztą Żydówką. Pierwszy raz mam takie wargi – lepkie, nieswoje, wyzywające.

Na dworcu wpadam na kolegę z gimnazjum, Zbyszka Krzysztofowicza, Polaka, który pracuje tam jako urzędnik. – Lepiej wyjdź z poczekalni i pospaceruj po mieście – namawia – bo transport do Niemiec przyjedzie za godzinę.

A na dworze listopadowy, mglisty chłód. Drepczę w tę i z powrotem, skulona, gdy raptem wyrasta przede mną inny mój kolega klasowy – Ukrainiec, Jurek Rogowski, ladaco, zabijaka, najgorszy uczeń. – Aha, *Żidiwka* – śmieje się półgębkiem. To koniec: jestem goła jak mysz kościelna, nie mam go czym przepłacić, szlocham i zawodzę: – Co ci z tego przyjdzie, że mnie zabiją, jestem młoda jak ty, chcę żyć. – Lecz on, nie zdejmując tego półuśmiechu, szyderczego, mdłego, ciągnie mnie na żandarmerię. A tam pełni

dyżur Schacht. – Nie martw się, urządzę cię w getcie – uspokaja, odślaniając krzywe, pałakowate zęby.

Poszliśmy do żydowskiej rodziny Libersów z czterema córkami podobnymi do leniwego i tłustego niedzielnego słońca. – Oto wasza piąta córka – przedstawił mnie Schacht. Nie wiedziałam wówczas, że złożył mojemu ojcu, na którego natknął się podczas akcji po mojej ucieczce z getta, obietnicę: jeśli kiedykolwiek mnie spotka, pomoże mi. Po wojnie zeznawałam na jego korzyść. Nie wiem, co się z nim później stało.



W getcie poznałam wtedy Mietka, mojego przyszłego męża. Miałam osiemnaście lat, on trzydzieści. Strasznie się zakochałam, poszliśmy do łóżka. Mietek znalazł pracę w fabryce szczotek i wydawało się, że życie przyobleka jakąś wątlą otulina zwyczajności. Było to złudzenie, podobne do obrazu, który – najpierw niewyraźny, migotliwy, niejednoznaczny – w końcu zwodzi wyrazistością kolorów i kształtów, by znów się rozplynać.

Któregoś ranka słyszemy strzały, zrywamy się z łóżek, wciąż nierozbudzeni, i pędzimy na przełaj. – Dusia! – woła ktoś, waham się, przystaję, ależ tak: to Susza Wasong, kolega z gimnazjum. – Prędko, tutaj! – Pokazuje drogę do schronu, który wybudował dla swojej rodziny. Żeby tam dotrzeć, trzeba było przejść przez ubikację – w przerażeniu wsadzam botki w kloakę –

w sekundę wypełniają się cuchnącą mazią, ale przecież nie mogę ich zdjąć – jestem przemieszczającym się fektorem. W schronie tracę poczucie czasu, który obkurcza się i rozwleka jednocześnie, zamazując granicę między nocą i dniem, dźwigając dziwne, ciężkie, osowiałe demony. Gdy zapada ciemność, otwieramy klapę, żeby dostać się do garnka dla kur; śnieg rozmiękcza resztki starego chleba, wygrzebujemy go, jemy łączywie. Na zewnątrz nie milkną strzały i krzyki, dopiero w wigilię Bożego Narodzenia wszystko zanika. Nocą głosy pijanych Niemców odciskają się w skrzącym powietrzu, potem znów nastaje cisza. Budka wartownicza sterczy w sporej odległości od schronu – nie ma wątpliwości, jeśli uciekać, to teraz. Nakładamy na siebie białe prześcieradła (są brudne, kojarzą się z zszarganą bielą zapomnianego święta) i czołgamy się po śniegu na drugą stronę getta. Niedaleko, po aryjskiej stronie, mieszka sąsiadka mojej szkolnej przyjaciółki, wielokrotnie spotykałam ją przed wojną. – Pani Smalowa, proszę nam pomóc, mnie i narzeczonemu. – Stoimy przed nią głodni, roztrzęsieni, zziębnięci. – A to chodźcie do piwniczki, ciasno tam, ciemno, ale jutro coś się wymyśli. – Smalowa jest w odświętnej, błękitnej bluzce, obiecuje, na moją prośbę, skontaktować się z Heleną Żebrowską. I Helena pojawia się w piwniczce, z planem: niejaka Słodkowska, Polka, żona zarządcy wielu dóbr na Wołyniu, przechowuje Żydów,

do niej się udamy. Helena bierze nas pod rękę, Mietka i mnie, śmieje się, rozmawia donośnie, żebyśmy nie wyglądali na zrozpaczonych. Słodkowskiej nie zastajemy – wyjechała z rodziną za Bug, do Hrubieszowa. Jej gosposia Blitzowa, Żydówka o pełnych, niebieskich oczach, funkcjonująca na fałszywych papierach, wdowa po adwokacie, który – zabrany do więzienia tuż po wkroczeniu Niemców, powiesił się w celi z frasunku wywołanego obrotem spraw – decyduje, że na własną odpowiedzialność ukryje nas w schronie. Wie o tym tylko Januszek, syn Słodkowskiej, zdaje się, że należący do AK, jak też o tym, że od beczynności popada się w obłęd, dlatego przynosi nam książki (strasznie popsułam sobie wtedy wzrok, mętne, zakurzone światło schronu zabieliło źrenice) i na harmonijce ustnej wygrywa nam na pocieszenie różne melodie. Blitzowa trzy razy dziennie unosi klapę i spuszcza wiaderko z pożywieniem: kartofle w mundurkach z sosem z sacharyny, mąki i octu, czerpie ze studni wodę, żebyśmy mogli się obmyć, ale to nie wystarcza i po pewnym czasie zaczynają obłazić nas wszy. Raz – akurat Mietek był na górze, pomagał Blitzowej rąbać drewno i rozmawiał z nią, bo nie mogła dojść do siebie po stracie męża – charkot samochodowego silnika rozdzwania okienne szyby i chwilę później („Nie zdążyłem się schować”, tłumaczył Mietek) w drzwiach pojawia się Słodkowska. – Kim pan jest? No, kim pan jest? – pada jedno

z tych nieuchronnych pytań każdego melodramatu i, jak w każdym melodramacie, intryga wychodzi na jaw, stawiając bohaterów w nowej sytuacyjnej konfiguracji. Chłoszcze nas brzytewny blask śniegu, omal nie powala gwałtowna agresja słońca, gdy wezwani przez Słodkowską przemierzamy podwórze. A ona leży w salonie na szezlongu w powabnym peniuarze z długimi, rozszerzającymi się rękawami. – Na ile wyceniacie swoje życie? – zwraca się do nas, pół obracając się na kanapie.

– Teraz nie mamy nic – odzywa się Mietek – ale mój kuzyn w Palestynie jest bardzo bogaty. Jeśli nas pani przechowa, odwdzięczymy się stukrotnie.

Słodkowska uderza lekko srebrną łyżeczką o porcelanową filiżankę, potem nieznacznie kiwa głową. – Póki co niech wasza opiekunka przywozi mi węgiel na opał. – I Helena Żebrowska raz w tygodniu ciągnęła do nas wózek z węglem. Od tej pory żyliśmy łatwiej, częściej wychodziliśmy na górę, żeby się umyć, zdarzało się nawet, że snuliśmy plany na przyszłość – i było to jak zjadanie zakazanego owocu z podstępного drzewa.

Jednego dnia podczas odwiedzin Heleny wspólnie jemy posiłek, a tu ktoś łomocze od frontu. – Wejdźcie do szafy – rozkazuje Blitzowa.

Szafa jest pusta, bo Słodkowska już dawno wywiozła rzeczy za Bug. Naprzeciwko szafy wisi lustro, tak, że gdy nieco uchyli się drzwi, można dojrzeć, co dzieje się na zewnątrz. Widzimy Niemców prowadzących

Blitzową i pana Najmarka z żoną, którzy niedawno dołączyli do naszej kryjówki (prawdopodobnie wydała nas sąsiadka, Ukrainka). – Boże, to koniec – szepce Mietek i cały drży. Uspokajam go: – Poczekaj, zobaczymy.

Stoimy w szafie i stoimy, milcząc. Po zmroku wychodzimy. Na stole talerze z niedokończoną zupą spozierają z wystygłym oczekiwaniem, w przedpokoju na wieszaku wisi męskie palto (pewnie Januszka) w dziwnym pomidorowym kolorze, z kieszeni wystaje rewolwer. Mietek nakłada płaszcz, pistolet zostawia – boi się: Żyd z bronią dwa razy przywołuje śmierć. Owi- jam się wełnianą chustą.

Na ulicy Ułańskiej mieszka Polak o nazwisku Buba, który obiecał kiedyś Mietkowi miejsce w schronie za opłatą – tam się kierujemy.

Jest święto Trzech Króli, wypełnione kościoły rozbrzmiewają nabożeństwami, głośniki kolędową muzyką, w niezliczonych lichtarzach płoną świece, w centrum miasta żywi gorliwym blichtrzem przekupują boże zmiłowanie, a tuż obok ciemna, wyludniona otchłań getta opowiada swoją niewysłuchaną historię. Idziemy przez nie, a kiedy wreszcie osiągamy cel, domu Buby nie ma – jedynie żerdzie spalonej chałupy i zastygły odór spalenizny, obok stodoła z bydłem. – Buba przyjdzie – rozgląda się Mietek. – Przyjdzie krowy nakarmić.



Nad ranem go zobaczyliśmy. Z wrażenia się przeżegnał: – I co ja teraz z wami pocznę, chałupy już nie mam, Ukraińcy spalili. – Wyciągnął zza pazuchy kawałek chleba, dał go nam i kazał iść dalej. Ale dokąd? Wiedziałam, że niedaleko pewna Polka – której zięć, syn rabina, doktor Jakir, nabywszy aryjskie dokumenty, został komendantem oddziału partyzanckiego AK – przechowuje Żydów u siebie w schronie. Nazywała się Zientalowa. Ale jej schron był przepelniony – ukrywało się w nim kilka rodzin, w tym Sasza Rotenstein.

Znów wyruszamy w drogę. (Drogi bez końca przyjmują kształt pętli). W okolicy jeszcze jedna Polka dekuje Żydów – żona adwokata Karola Weryho-Darowskiego, dawna znajoma mojej mamy, zapukać do niej nie strach. W drzwiach staje drobna, siwiuteńka staruszka, matka Darowskiej, której w domu nie ma – nie odsyła nas, szykuje posłanie w chlewiku dla świń, potem na srebrnej tacy przykrytej białą serwetką przynosi posiłek z parującą kawą. W chlewie zostajemy ludźmi.

Po dwóch dniach zagłąda młoda Darowska, w futrze, świeża – po bardaku roznosi się zapach jej perfum. – O Boże, nie możecie tu zostać – wymachuje dłonią, jakby odpędzała osę. Na drogę wręcza nam pakunek: dwa bochenki jęczmiennego chleba i kalesony dla Mietka.

Po wojnie dowiedzieliśmy się, że na strychu przechowywała Żydówkę Netelównę, która później osiedliła się w Tel Awiwie.



Dokąd teraz? Ponownie do Olesi? Przemarsz przez miasto (po raz który to już?) prawie pustymi ulicami ma coś z udręczonej wędrówki w zgliszczach złęgo snu. Olesia akurat przyrządza strawę, nalewa nam do talerzy. Słyszała, że w Bielanach, wiosce położonej na północ od Włodzimierza, są polscy partyzanci, radzi, żebyśmy do nich dołączyli. Wyprowadza nas na trakt, cichy, wyludniony i sinawo przemglony, a my wkraczamy nań niby dusze w odmęt, bez pieniędzy i dokumentów – namacalnych dowodów istnienia. Pod wieczór z rozrzedzonych półmrokiem przydrożnych zarośli wyłania się dach chaty. Nie unosi się z niej dym, wewnątrz nikogo nie ma, okna wydają się ślepe, sprzęty pokrywa kurz i przyzywająca żałość osamotnienia. Wspinamy się na przypiecek i zapadamy w głęboki sen. O świcie ruszamy dalej, na pierwszym zakręcie odwracam się: nie widać już chaty, zniknęła.

W Bielanach od razu natrafiamy na polskich żołnierzy w rogatywkach. Dowódca, doktor Jakir, syn rabina, w partyzantce znany jako porucznik Butrym, przydziela nas do pracy: Mietka przy czyszczeniu koni, mnie w kuchni. Partyzanci zarzynali prosiaki, z których wyrabiało się kielbasy i galaretkę z nówek – las

spowijały wonie obiecujące wieczne nasycenie. Jednak wkrótce oddział Jakira powędrował dalej, by przyłączyć się do regularnego wojska walczącego z Niemcami, a my, jak wielu Żydów, zostaliśmy. Błądząc po lesie, spotykaliśmy niedobitków z armii sowieckiej z Kazachstanu, Turkmenii i Tadżykistanu, uciekających przed niemieckim okrzykiem, wśród nich antysemitów pełną gębą, co traktowali Żydów jak niewolników. Lecz jeden chłopak, Saszka, polubił nas, a mnie się nawet oświadczył. Jeździliśmy razem furą zdobywać jedzenie. Gdy nie dało się już znieść głodu, pewien żołnierz z Tadżykistanu zarznął konia, z którym przebył szmat drogi. Jadł to mięso i zalewał się łzami.



Ja rozplakałam się na widok ciężarówek wypelnionych Rosjanami. Płakałam za wszystkie lata, kiedy moje serce było zhardziałe. Nie wiedziałam, że zmagazynowało tyle łez.



Przenieśliśmy się do Warszawy. Mietek miał tu kuzyna, który dostał służbowe mieszkanie na ulicy Karłowicza i nas przygarnął. Pracowałam jako redaktorka w wydawnictwie Książka i Wiedza. Raz, w 1953 lub 1954, w pedecie sprzedawali na kartki kalosze zwane przez lud trupiakami. Rozmawiałam o tym z kolegą: – A wiesz, po wojnie we Włodzimierzu w centrum miasta powiesili trupa, więc miał podwójną śmierć.

– To ty jesteś z Włodzimierza? – nie daje wiary. – A ja miałem tam znajomego. – No to opowiadam mu moją historię ocalenia, o Żebrowskich, a on na to, że ich zna, że mieszkają w Warszawie. Zadzwoiłam natychmiast i Helena, nie zwlekając, odwiedziła nas. Od tej pory często wpadała, przynosiła mojemu synkowi Adasiowi (urodził się w 1947, zmarł tragicznie w 1989) pomarańcze z delikatesów. Już wtedy rozmyślałam o emigracji do Izraela, Helena oponowała: – Dlaczego to wy macie wyjeżdżać? Przecież nie uczyniliście nic złego. – Odpowiadałam, że trudno być wciąż obywatelem drugiej kategorii.

Nie marzyłam o Palestynie, w domu popierało się ruch syjonistyczny o tyle o ile, czasem wrzucało do puszek drobne na zalesienie czy inne potrzeby dalekiego kraju – ale w 1957 pożegnaliśmy się z Polską. Helena postarała się, żeby jej znajome siostry zakonne wyszykowały nam dwie puchowe kołdry – tak nas wyprawiła.

Zaniechaliśmy kontaktów w 1967, bo nie chcieliśmy narażać Żebrowskich na szykany. Do Polski poleciliśmy dopiero w 1990. Zatelefonowałam. Helena i Władysław już nie żyli, odebrała Alicja. Po powrocie z Warszawy złożyłam dokumenty poświadczające, że Helena była Sprawiedliwą. Alicja pisała:

*Dusiu moja kochana, wczoraj otrzymałam list z Yad Vashem. Jestem tak wzruszona, że nie*

*mogę opanować płaczu. Jaka szkoda, że moja Mama nie dożyła tej chwili. Cieszę się ogromnie i dziękuję, że tak godnie uczciłaś jej pamięć, chylę przed Tobą czoła.*

Alicja miała raka gruczołów chłonnych, przeszła chemioterapię, wysłałam jej perukę. Jej śmierć była dla mnie ciosem. Później gościłam w Izraelu jej córkę z mężem i dziećmi: Aleksandrem i Justynką. To Alicja chciała, żeby jej wnuczka nosiła moje imię. Może to prawda, że imiona wiążą rozsypaną po czasie pamięć.

Historia Justyny-Dusi Goldgraber z domu Gerszweld.



BE  
CZ  
KA







piekarni ojca rogame miały pękate, polukrowane brzuchy. Zaczynałem je zjadać od zlizania lukru. Moja siostra i dwóch braci lubili bawić się mąką, za co, przyłapani, dostawali lanie. Z ich ubrań wyfruwały wtedy białe, jedwabiste obłoczki pyłu.

Nasze miasteczko Korzec leżało pół kilometra od granicy z Rosją i jak wszystko, co na styku, zdawało się jednocześnie zamknięte i otwarte, niby morze w zatoce. Po wybuchu wojny do 1941 roku tę okolicę okupowali Rosjanie, a potem Niemcy. Ci od razu zabrali się za wylapywanie Żydów na roboty i każdego dnia kogoś zabijali. Cztery miesiące po tym, jak weszli, zgarnęli z ulic trzystu młodych i okłamali ich, że jadą pracować do Rzeszy. To Ukraińcy wygadali się, że wszystkich rozstrzelano jakieś dwa kilometry za miastem – ciała wrzucono do wielkiej jamy.

Później nie jadłem już rogali. Niemcy wprowadzili zarządzenie, że Żydom wolno kupować żywność

tylko przez godzinę na rynku w niedzielę. Za sto-  
dołą wypełnioną drewnem na opał, obok piekarni,  
w specjalnym dole ukryliśmy razem z ojcem beczkę  
z cenniejszymi rzeczami, przykryliśmy ją deskami.

Dwudziestego maja 1943 o czwartej nad ranem  
esesmani wypędzili Żydów z domów na plac: osob-  
no kobiety i dzieci, osobno mężczyzn. Moja matka,  
siostra i dwaj bracia pięcio- i siedmioletni znaleźli się  
po jednej stronie, a ja z ojcem po drugiej. Odnosiło  
się wrażenie, że stoimy na dwóch odległych tratwach  
dryfujących w kierunku góry lodowej, z każdą chwilą  
olbrzymiejącej. Tą górą był stół, przy którym siedział  
Niemiec – kazał nam podchodzić i opróżniać kiesze-  
nie. Miałem czternaście lat i pracowałem w niemiec-  
kiej komendanturze – robiłem, co mi kazali, głównie  
czyściłem im buty, te wysokie, władcze, wyniosłe  
buty. Pokazałem dokument poświadczający moje za-  
trudnienie, ale Niemiec nawet na niego nie zerknął,  
zapewnił, że nie będzie mi już potrzebny.

Około dziesiątej przed południem ustawili ludzi  
w szóstki i popędzili osiem kilometrów za miasto.  
Na placu zostawili tylko mężczyzn, w tym mnie  
i ojca. Słońce było w zenicie i omywało bruk i fasa-  
dy kamienic przezroczystym, oślepiającym gorącym,  
gdy na placu pojawił się esesman w obryzganych  
krwią butach. Powiedział, że możemy wracać do do-  
mów.

W naszym nie było już nic oprócz leniwie wirującego pierza. (Ukraińcy zdążyli splądrować mieszkania i wywieźć, co się dało, zaprzężonymi wozami). Nazajutrz obwieszczono, że Żydzi mają przenieść się na jedną ulicę w małym getcie. Z pięciu tysięcy Żydów żyjących w miasteczku zostało tysiąc, najwyżej tysiąc dwieście.

O brzasku znów zabrali mężczyzn. Powieźli ich tam, gdzie dwa dni wcześniej zapędzili kobiety z dziećmi. Z głębokich jam wypełnionych zwłokami wydobywała się nieodwracalna cisza. Kazali sypać na nią ziemię. Ojciec rzucał piach na grób własnej żony i dzieci.

Śniło mi się białe pierze unoszące się niemrawo w sinym mroku naszego opustoszałego mieszkania.



W getcie przetrwaliśmy cztery miesiące. W wieczór poprzedzający ostatnią akcję namawiałem ojca: – Uciekajmy. – Odparł: – Ja już nie mam siły.

Rano, jak zwykle, zjawiłem się w pracy. Jeden z oficerów wręczył mi kawałek chleba i sto papierosów, chociaż nie paliłem, wywiózł mnie za miasto, a potem nagle odbezpieczył karabin i kazał iść przodem. – Uciekaj w lasy! – zawołał. – Tam są partyzanci, masz szansę przeżyć.

Biegnę, biegnę, biegnę. Z trzydzieści kilometrów dalej natykam się na trzech Żydów, uciekinierów z getta. Kopiemy ziemiankę. Gryzą nas robaki. Pod zimę nie ma co jeść. Wędrujemy z wioski do wioski, żebrząc.

Jedni dają troszkę kartofli lub chleba, inni przeganiają: – Won, bo mi tu Niemców na głowę sprowadzisz!

U jednej rodziny spotykam leśnika Józefa Szpalikowskiego z Moczulanki. – Chcesz u mnie pracować? – przyjrzał się moim ramionom, rękóm. Zapewniłem, że mogę robić wszystko.

Pojechaliśmy. Spałem w stodole, w ciepłym, miękkim i pachnącym gnieździe siana. Z chałupy obok dobiegały odgłosy krzątania żony leśnika i jego siostry, śmiech lub nawoływania dwojga dzieci – tu normalność broniła się przed deprawacją. Tylko kiedy drogą przejeżdżali Niemcy, wszyscy uciekali do lasu, bo gdyby mnie znaleźli, to wiadomo, każdy by dostał kulę w łeb.



Po półtora roku, gdy na te tereny znów weszli Rosjanie, pojechałem ze Szpalikowskim wozem do miasta. Nasz dom, nietknięty, zajmowali Ukraińcy. – Muszę zajrzeć do stodoły – oznajmiłem. Śmiali się, że chcę się pokłonić krowóm. A my chcieliśmy wykopać beczkę. Odnalazłem ją bez trudu – sobie zostawiłem niewiele, resztę dałem Szpalikowskiemu, bo był potrzebujący, miał rodzinę.

Zapytałem Ukraińców, czy nie wiedzą, co się stało z moim ojcem. Powiedzieli, że kiedy zaczęła się ostatnia akcja, podpalił mieszkanie, to w getcie – i w nim spłonął.

Znowu śniłem pierze.

Wkrótce przegoniłem z naszego domu Ukraińców, ale pod koniec 1945 Rosjanie zabrali się do wyłapywania młodych ludzi do pracy w kopalni w Donbasie i ponownie poszukałem schronienia u leśnika. Przez trzy miesiące byłem w Moczulance fryzjerem (bo uczyłem się kiedyś tego fachu), a kiedy branka do kopalni ustała, wróciłem do miasteczka. W 1946 z grupką młodych Żydów przedostałem się do Łodzi, gdzie związaliśmy się z organizacją syjonistyczną. Dzięki niej zimą 1947 dotarliśmy nielegalnie do Izraela.



Jakimś cudem Szpalikowscy dowiedzieli się, gdzie przebywam, bo w sierpniu 1963 napisali list z dołączoną fotografią i dedykacją. „Ofiarowuję naszą podobiznę na pamiątkę dla państwa Krasnostawskich”. (Ja się wtedy nazywałem Krasnostawski). Bardzo chorowali, posyłałem im lekarstwa. Po wojnie sześciodniowej w 1967 państwowe stosunki zostały zerwane i kontakt się urwał. Aż w 1980 otrzymałem list z zachodniej Polski, bo tam przesiedlili się Polacy, którzy nie chcieli żyć pod Sowietami.

*Szanowny Panie Meir.*

*Bardzo Pana zdziwi ten list. Zamierzałem odezwać się już dwadzieścia lat temu. Piszę w imieniu mojej mamusi Władysławy i zapytuję,*

*czy był Pan naszym pacjentem w czasie II wojny światowej na terenie leśniczówki podczas srogiej zimy, gdy uciekał Pan przed Niemcami. Łączę serdeczne pozdrowienia, życzę Panu i rodzinie dużo zdrowia i pomyślności w życiu osobistym.*

*Mój adres:*

*Szpalikowski Jan,  
osiedle Błękitne jedenaście A,  
mieszkanie cztery,  
Dzierżoniów*

Tak to sformułował: pacjentem. Może myślał, że lepiej zachować ostrożność. Ten Jaś, syn leśnika, miał wtedy nie więcej niż dwa latka i nawet nie wiem, czy jeszcze żyje, bo list jest przecież sprzed dwudziestu lat. Nigdy mu nie odpisałem. Zbierałem się, zbierałem i nie zebrałem. Pierze, które niekiedy porusza się lekko w moich snach, jest czarne, pachnie spalenizną.

Historia Meira Agamiego, zmarłego w 2009.



Rok 1933, park w nieokreślonym uzdrowisku,  
Chasydzi i dziewczynka, autor nieznan.



וזב  
ע  
סא



**L**ubiłam zapach kleju do skór. Mój ojciec był szewcem ortopedycznym w Przemyślu, mama prowadziła gospodarstwo. Gdy mnie urodziła, w jej organizmie utworzył się skrzep krwi, dlatego wychowywałam się u jej dwóch sióstr, przy ulicy Dworskiego czterdzieści cztery, a rodzice kilka domów dalej. Mamę odwiedzałam prawie codziennie i nie czułam jej braku. Czasami czuła się urażona, kiedy ciągnęłam ciocię za rękaw i nalegałam: – Idziemy do domu – ale prawdę można ominąć, zmienić się jej nie da.

Jedna z ciotek była zamężna. Wujek, emerytowany oficer armii austriackiej, cierpiał na astmę sercową od pierwszej wojny, kiedy to nałykał się gazów bojowych – z tego powodu dostawał rentę, bo do żadnej pracy się nie nadawał. Bardzo cenił kulturę niemiecką, czytywał na głos Goethego, Rilkego, Heinego, tak że najpierw poznałam alfabet gotycki, a później polski. W domu mówiło się po polsku i po niemiecku.

Miałam sześć lat, gdy na Przemyśl spadły bomby. Ojciec zabrał mnie ze sobą do miasta, żebym, jak to ujął, przygotowała się do życia. Na ulicach jęczeli, wzywając pomocy, ranni z obciętymi nogami. W kłębach kurzu przemykały koty z urwanymi ogonami. Nie wolno mi było rozpowiadać o tym, co widziałam i słyszałam, choć wszyscy widzieli i słyszeli to samo. Poszeptowano, że Polska została zdradzona i sprzedana, szerzyły się pogłoski o przypadkach sabotażu – podobno rozkręcano śrubki w samolotach wroga, żeby nie mogły unieść się w powietrze.

Potem na krótki okres przybyli do Przemyśla Niemcy – zdążyli zabić na ulicach sześciuset albo siedmiuset Żydów i zawarli pakt z Rosjanami: większa część miasta, leżąca na prawym brzegu Sanu, przypadła Sowieciom, ta na lewym – Niemcom. My znaleźliśmy się po rosyjskiej. Niebawem zginął mój przyrodni brat, syn ojca z pierwszego małżeństwa. Nikt nie wie, zabili go Niemcy czy Rosjanie.



W 1942, gdy w mieście niepodzielnie panowali już Niemcy, powstało getto. Ciotka przekroczyła jego granicę jako jedna z pierwszych. Przez jakiś czas za dnia przebywałam u niej, a na noc przenosiłam się do rodziców, ale w końcu wszyscy Żydzi musieli trafić do getta. Nasze poprzednie życie załadowaliśmy na furmankę. Co się nie zmieściło, ojciec oddał

na przechowanie Polakom: biżuterię, futra. Obracał się w kręgu polskiej inteligencji, bo należał do PPS, miał kontakty z Kedywem.

Getto zaczęło się stopniowo zmniejszać – jak forma pozbawiana treści, jak ciało, z którego upuszczano krew. Choć byłam czujna, nie wiedziałam tego, co doróśli, dreptałam po obrzeżach prawdy. Raz w mieszkaniu rodziców w eleganckim, odświeżonym ubraniu pojawił się mój wujek astmatyk. Obwieścił, że jedzie na roboty do Niemiec. Na wypadek omdlenia trzymał za pazuchą flaszkę octu do nacierania skroni. W getcie zbliżała się akcja – tak wujek się z nami pożegnał. Ani jego, ani dwóch ciotek już więcej nie ujrzałam. Wszyscy oni byli moi – odtąd czułam się sierotą. Płakałam. (Są płacze wylewające się z komórek najpierwszych, z najgłębszych pokładów głębin – tak płakałam). Pobiegłam na plac, gdzie kazano zebrać się Żydom, i dostałam po głowie, nie wiem od kogo. Przyniesiono mnie do domu nieprzytomną – ktoś mnie uratował. Ojciec zagroził: – Jak będziesz płakać, uduszę cię – wtedy chwyciłam dwa widelce i odparowałam: – Nie musisz mnie dusić, sama ze sobą skończę, bez cioci nie mam po co żyć – i płakałam nadal, a w tym płaczu wiło się przynoszące ulgę postanowienie, że muszę się zabić.

Mieszkaliśmy na trzecim piętrze (w jednym pokoju trzy rodziny). Siadam na parapecie, wystawiam nogi na zewnątrz i przymierzam się do skoku. Wtem czuję,

że ktoś z krzykiem wciąga mnie do środka – to koleżanka, współlokatorka przejrzała mój zamiar. (Może gdybym wtedy wyskoczyła, byłoby lepiej, uniknęłabym wielu udręek, które nie zdążyłyby zawiązać się w owoce. Im dalej w życie, tym prawdziwiej widzimy, tym rzeczywiście – udręki dojrzewają razem z nami).

Tymczasem getto podzielono na część dla pracujących i niepracujących. Mój ojciec prowadził pracownię ortopedyczną, miał dyplom stemplowany przed wojną w Berlinie, więc nawet z Niemiec dosyłało mu modele z gipsu – wykonywał buty dla pacjentów, których nigdy nie widział, a oni go chwalili. Ten zawód uratował mu życie, podobnie jak ojcu koleżanki, co wyciągnęła mnie z okna, krawcowi.

W getcie nie znało się dnia ani godziny – raz mogła być akcja na pracujących, raz na niepracujących, nie wiedziało się: będą wysiedlać czy nie. Lagier też zaczął się zmniejszać i ludzie rozglądali się za jakimś miejscem na ucieczkę, lecz dziecko było strasznym obciążeniem, z dzieckiem trudniej przeżyć, dlatego wielu rodziców je zabijało, wielu dusiło je w bunkrach, niektórzy potem wariowali.

Ojciec znalazł mi schronienie u któregoś ze swoich znajomych, ale okropnie histeryzowałam i uparłam się, że tam nie pójdę, więc znajomy wziął inną dziewczynkę. Później wrzucił ją do Sanu i zniknął razem z pieniędzmi za jej ukrywanie – nigdy go nie znaleźli.

Pomyślałam, że gdybym to ja była tą dziewczynką, owinęłabym jego sny zwojami zimnych wodorostów i wypukłymi, zamglonymi oczami śniętych ryb. Lękałby się snów.

Jeden z kolegów ojca handlował bydłem i miał kontakt z przełożoną sióstr sercanek Emilią Małkowską, która pochodziła z rodu Czartoryskich i ratowała żydowskie dzieci. – Pójdiesz tam – zakomunikował. A ja, że w żadnym klasztorze zamknąć się nie dam. Wtedy zaciągnął mnie na strych z małym okrągłym okienkiem jak z lilipuciego mikrokosmosu. Akurat trwała akcja.

Z okienka widzę wąską perspektywę ulicy Mikołaja: Niemcy wyłapują dzieci, chwytają je za nóżki i rozbijają ich główki o ściany kamienic. Płoną piramidy żywych i martwych ciał, przemieszane z drewnem, podpalane benzyną lub ropą. (Przez wiele dni miasto przesiąkał odór tej dziwnej spalenizny, a wiatr rozsiewał popiół, który osiadał na okiennych parapetach i we włosach). Na szubienicy wisi Żyd o nazwisku Manc, a po jego bokach dwa psy – kompozycja znudzonego hitlerowca. – Myślisz o śmierci? – spojrzał mi w oczy ojciec. – Oto ona. Jeśli nie pójdziesz do klasztoru, czeka cię to samo.



Polka Kazimiera Romankiewicz miała prawo przekraczać granicę gettowego lagru, bo pracowała tam w kuchni. Pozwalali jej zbierać obierki z kartofli

dla krowy, a w zamian dostarczać mleko dla dziecka komendanta lagru Schwanbergera. Kazka przemieszczała się ciągniętym przez konia małym wózkiem, którym przewoziła na aryjską stronę przykryte łupinami i szmatą żydowskie dzieci. Byłam za duża, nie zmieściłabym się w wózku, więc jedna z kobiet plewiących ogród komendanta założyła szeroki pas i obszerną pelerynę – podwinęłam nogi i uchwyciłam się pasa i tak przeszliśmy za bramę lagru. Tam dostrzegłam wartownika i zaczął strzelać, a ja biegłam, jak uczono, zygzakiem – uciekłam. Kazka już czekała i zaprowadziła mnie do klasztoru.

Zakonnice zajmowały dwupiętrowy budynek przy ulicy Mickiewicza. Było ich sześć, dzieci sześćdziesięcioro, w tym czternaścioro żydowskich, a reszta – polskie sieroty, brudne, zawszone, chore. Wielu ich rodziców zabili banderowcy. Dziewczynki z rozciągniętymi brzuchami nie różniły się od nas, Żydówek – miały tak samo rozwarte, wymoszczone strachem oczy.

Siostra przełożona od razu przedstawiła mi Hanię. – Pokaż Marysi – poleciła jej – gdzie ma spać, wprowadź w życie ochronki. – Nie dałam po sobie poznać, że wiem, kim jest Hania: córką znajomego mego ojca, Żydówką. W ubikacji objęliśmy się, pocałowały i wybuchły płaczem. Potem dołączyły kolejne dziewczynki: Zosia, Basia, Krysia. Tajne spotkanie w kloace, żeby nikt nie podejrzewał, że się znamy.



Kiedyś pierwsze piętro naszego domu zajęła ukraińska policja. A znaleźli się wśród nas trzej obrzezani chłopcy, w tym Józio, maluch. Gdy się u nas pojawił, wycieńczony, zawszony, wypełzały z niego glisty. Bardzo uważałyśmy, żeby nikt nie widział, jak się mu zmieniało pieluszki, dlatego robiły to albo siostry, albo starsze żydowskie dziewczynki. Ukraińcy upatrzyli sobie właśnie to dziecko, zabierali go do siebie, częstowali lepszym jedzeniem – bo u nas z myszami piszcząca bieda – a Józio tak się uśmiechał, tak uśmiechał (bywają dzieci, których uśmiech odsyła do czegoś pozaziemskiego, nietkniętego najmniejszym drgnieniem goryczy, pochodzącego sprzed pierwszego skażenia), że oni nosili go na rękach, całowali. I Józio – trudno to wytłumaczyć – ani razu się u nich nie zmoczył. Dopiero gdy po paru godzinach stamtąd wychodził, wołał: – Marysiu, siusiu!



Niedaleko Przemyśla Niemcy odkryli Żydów w ukraińskim klasztorze i zastrzelili sześćdziesiąt osób. Takie wieści obijały się niesłyszalnym echem o klasztorne ściany, ich groza zawisała w łukach krużganków. Na tydzień przed wkroczeniem Sowietów Niemcy dokonali egzekucji na polskiej rodzinie i Żydach, których ukrywała. Jednak czworo dzieci tej rodziny zdołało uciec, ale mieszkańcy wioski, Polacy, przepędzili je ze słowami: – Wasi rodzice ratowali

Żydów? To i szkoda, że i z wami Niemiec nie skończył. – Więc dzieci poszły do następnej osady i tam dostały kawałek chleba. Opowiedziała mi o tym jedna z ocalonych.

Groza pętała się pod nogami, łasiła się do nocnych ciemności, utrwalając bezsenność. A one, siostry, przygarniały nas, przytulały. Siostra Ligoria Grenda. Siostra Bernarda. Siostra Longina. Siostra Leokadia – probantka. Siostra Alfonsa. Siostra Jakuba, która – gdy przybyłam do klasztoru – kazała mi uklęknąć. – Ja jestem Żydówką – sprzeciwiłam się – i nie wiem, czy życie jest tego warte, żeby wyrzec się tożsamości. – Wtedy siostra Jakuba powiedziała: – Przyklęknij na końcu kaplicy i poruszaj bezgłośnie ustami, żeby to wyglądało na modlitwę.

Udawałam tak miesiąc, może dłużej i nigdy mnie nie ukarano, nie usłyszałam złego słowa. To ja pytałam – chciałam wiedzieć, jaki jest Bóg, dlaczego jednym okazuje łaskawość, a innym nie. Kiedyś ksiądz przyniósł kawałek ciasta. – Marysiu, otwórz dziubek, coś dla ciebie mam – ucieszyła się siostra Jakuba. Wszystkie to bezustannie słyssałyśmy, doświadczałyśmy czystej radości obdarowywania, gdy karmiły nas, głodując, jak matki pisklęta. I ja pod wpływem ich miłości podjęłam decyzję, że chcę się ochrzcić. A siostry protestowały: – Nie, ty masz rodziców i do nich wróć. – Podczas bombardowania Przemyśla klęczałam

przed księdzem, całowałam jego dłonie i błagałam o chrzest. – Jak spadnie bomba – odparł – udzielę ci chrztu. – Bomba nie spadła.

Po wyzwoleniu odmówiłam powrotu do rodziców. Siostry przypominały o czwartym przykazaniu: – Nie wracasz, grzeszysz. – A ja przecież grzeszyć nie chciałam, wróciłam. Kiedy wybierałam się do kościoła na nabożeństwa, ojciec mnie bił – chodziłam ze spuchniętą głową. To było piekło w piekle. Powiadają, że wszystkiego jest na świecie po dwoje: jest rzecz i jest jej odpowiednik, by istniała możliwość odróżnienia, i gdyby przy jednym nie było drugiego, nie byłoby obu. A moje piekła nie miały swoich odpowiedników, wzmacniały się, uzupełniały, stanowiły jedność: magmę gorejącego cierpienia.



W szkole uczyłam się gry na fortepianie, byłam w klasie jedyną Żydówką. Jeszcze przez cztery lata prowadziłam z ojcem wojnę o religię. W 1948 podjął decyzję o emigracji do Ameryki, gdzie osiadł jego brat. I wyjechaliśmy, najpierw do Szwecji, bo tu miała nadejść dla nas wiza. Czekano się długo, musiałam pójść do pracy. Awanturowałam się – nie zamierzałam jechać do Ameryki, wolałam do Izraela, ale ojciec protestował. Zagroziłam więc: – Jeśli chcesz, żebym pozostała Żydówką, zgódź się na Izrael, jeśli nie, wracam do Polski. – W końcu uległ pod wpływem mamy.

Przyjechałam do Izraela sama jak palec. Ojciec nigdy tu nie był. Mama dołączyła do mnie po jego śmierci – i tu umarła. Miałam męża i dziecko, a potem jeszcze jedno. Życie jakoś się potoczyło, choć utrzymać się z urzędniczej pensji było ciężko.

W Izraelu poznałam pewną Polkę, krewną moich znajomych, która miała ojca Żyda i przebywała tu turystycznie. Poprosiłam, żeby odnalazła mi zakonnice. Zrobiła to.

Siostra Małkowska, przełożona, nie żyła – jej serce nie wytrzymało napięcia tamtych dni. Siostra Alfonsa porzuciła habit i powędrowała do Australii – jako pierwsza dotarła do Izraela i otrzymała tutaj medal Sprawiedliwej. Najdłużej żyły siostra Ligorja Grenda, która mieszkała potem w Zakopanem przy ulicy Jana Pawła II numer jeden, i siostra Bernarda, osiadła potem w Krakowie.

Przyjechałam do Polski w 1986, a w rok później wręczyłam zakonnicom medale Sprawiedliwych. Bardzo ładna uroczystość odbyła się w krakowskim magistracie, zostałyśmy też przyjęte przez biskupa Macharskiego.

Hanka – ta, z którą ściszałam się w klasztornej ubikacji – nie chciała wrócić do Żydów. Rozumiałam ją. W Polsce przynajmniej miała zapewnione życie pozagrobowe, ja u Żydów – śmierć, a po śmierci pieękło – tak rozmyślałam już jako dziecko. Ale o Hankę

upomnieli się krewni, odbył się wielki proces sądowy, oni wynajęli adwokata, ona nie – jednak to Hanka wygrała i została w Przemyślu. Wyszła szczęśliwie za mąż, na rękach ją ten człowiek nosił, za wielka była jego miłość, by się w nim pomieścić, dlatego z Hanką fruwał. Odwiedzali mnie wiele razy. Obydwojgu doskwierały tylko problemy zdrowotne, a emerytura nie wystarczała na leczenie.

Hanka nie wyjawiała nigdy, że jest Żydówką. Gdybym miała – jak ona – polskie dzieci, też bym się nie przyznała. Bo w Polsce być Żydem nie wstyd, lecz sytuacja krępująca.

Historia Miriam-Marii Klain.



AR  
נע  
KA







amięć jedno gubi, drugie znajduje. Na przykład czyste koszule pachnące jak pierwszy śnieg albo czarne ptaki w ceglanej łunie ognia.

Okolicę, w której żyliśmy w Radomiu, przy Moniuszki dwadzieścia dwa, zaliczano do bardzo dobrych. Mój ojciec, dentysta, miał gabinet w naszym pięciopokojowym mieszkaniu. Uczyłam się w prywatnej szkole dla dziewcząt. Świetnie się nam powodziło. W lecie wyjeżdżaliśmy do Rabki, bo moja siostra była chorowita. Mama przy pomocy służącej zajmowała się domem. Mieszkała też z nami babcia.

Na początku wojny miałam jedenaście lat, siostra siedem. W listopadzie albo grudniu Niemcy wysiedlili naszą dzielnicę, Żydów i Polaków – wyrzucili wszystkich z parzystych numerów. (Trzeba było opróżnić dom w ciągu dwóch godzin). Przeprowadziliśmy się na ulicę Rwańską, a potem do getta na Szwarlikowską, gdzie mój ojciec wciąż pracował jako dentysta. Prawą stroną ulicy można było przejść z polskiej dzielnicy

do getta i z tego przejścia korzystali Niemcy, ale i żydowscy specjaliści: lekarze czy krawcy.

W Radomiu powstały dwa getta: jedno na Glinicach, drugie właśnie na Szwarlikowskiej. Pierwszą wywózkę zorganizowano na Glinicach. Z naszego, większego getta zabrano mnóstwo ludzi. Tego samego dnia albo nazajutrz przyszły do nas dwie Polki – siostry, nauczycielki, pacjentki ojca – i zapytały, czy jest coś, co chciałby przechować, ocalić. – Weźcie moje dzieci – rzekł. Jedna z tych sióstr zawiozła nas na jakiś czas na wieś pod Radomiem, potem przebywałyśmy u drugiej, która mieszkała w samym rynku, w domu z podwórzem przedzielonym parkanem. Po drugiej stronie było getto i szpital żydowski.

Tymczasem doszły nas słuchy o kolejnym wysiedleniu. Postanowiłam wrócić do getta i odszukać rodziców. Po zmierzchu jedna z naszych opiekunek wyjęła deskę z płotu, a my z siostrą prześlizgnęłyśmy się przez szczelinę na tamtą stronę. Ani mamy, ani taty już nie było – zostali wysłani do Treblinki. Zdecydowałyśmy jednak, że z getta się nie ruszymy.

Gdzieś po dwóch, trzech miesiącach pojawiła się wysłanniczka naszej kuzynki z Krakowa, Żydówka, która wyglądała jak dziesięć Polek. Nosiła czarny, zacieniający twarz kapelusz, taki, jaki zakłada się w żałobie. Po aryjskiej stronie poruszała się lekko, z wdziękiem, a nawet nonszalancją, jakby brała rzeczywistość

w nawias i przypatrywała się jej chytrze z ukrycia. Przyjechała z misją skontaktowania się z pewnym lekarzem – nazywał się Klajnberger – opiekującym się małą dziewczynką, której rodzice uciekli do Rosji. Zamierzała zabrać podopieczną Klajnbergera ze sobą, do Aryjczyków. Nasza kuzynka prosiła, żeby przy okazji rozeznała się, czy w Radomiu pozostał ktoś jeszcze z jej rodziny. I tak Żydówka w czarnym kapeluszu najpierw zabrała do Warszawy – do której zdążyła się z Krakowa przeprowadzić nasza kuzynka – siostrę, a później mnie. Kuzynka miała tu brata z żoną i kuzyna ożenionego z Polką, Danusią – wszyscy funkcjonowali na aryjskich papierach, nas też w takie zaopatrzone.

Zamieszkałyśmy u rodziny z dwoma synami, lecz wkrótce musiałyśmy to lokum opuścić. Nie wiem, co się stało, ale kuzyn robił jakieś interesy z jednym z tych synów i pewnego dnia gospodarze zakomunikowali nam, że nie będą nas dłużej przechowywać, bo się boją.

Kuzyn wynajmował pokój w kamienicy na Mokotowskiej, u żony polskiego oficera, który był w niewoli. Właścicielka, nieświadoma, że jest Żydem, za opłatę z najmu utrzymywała siebie i dwoje dzieci. Też się tam z siostrą przeniosłyśmy. Jednego dnia Danusia poleciła mojej siostrze: – Zejdź do pralni, przynieś koszule i bieliznę. – Ale siostra się ociągała, więc

zadeklarowałam, że zejdę sama. Wtedy siostra, zgodnie z logiką, która zawiera ziarna nielogiczności, odezwała się: – No dobrze, idę z tobą.

Po jakimś czasie wracamy, dzwoniemy do drzwi, otwiera dziecko właścicielki. Z miejsca, gdzie stoję, dostrzegam w jadalni uzbrojonych gestapowców. Trzymają na muszce kuzyna i jego żonę. – Zamknij drzwi – nakazuję cicho temu chłopcu, pociągamy siostrę, wybiegamy pędem na ulicę.

Kuzyna zabrało gestapo. Wydała go ta rodzina, u której przycupnęliśmy na początku, i z którą pokłócił się o interesy. Gdybyśmy nie zeszły do pralni, nas też by zabrali. Uratowały nas właśnie te czyste koszule, które składałyśmy wtedy do wiklinowego kosza, a które pachniały jak pierwszy śnieg.

Niebawem skontaktowałyśmy się z Danusią. Pochodziła ze Lwowa, jej brat Zbyszek wynajmował pokój u pewnej rodziny przy ulicy Odyńca na Mokotowie i organizował przerzut do Warszawy Żydów z lwowskiego getta. Zamieszkałyśmy tam z siostrą Zbyszka i Danusi, Małgosią, która dotarła ze Lwowa. W pokoju stał szeroki, toporny tapczan – niby rozplaszczony pancierz zastygłego żółwia. Spałam na nim z Małgosią, a siostra na składanym łóżku. Raz czytam jakąś kryminalną książkę, skulona na obrzeżach tapczanu, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. Zakrywam się kołdrą. To gestapo. – Wstać! – rozkazują Małgosi,

mnie nie widzą, trzęsę się pod kołdrą, w trzewiach żółwia. – Modlić się! – krzyczą do siostry. (Każdy z nas uczył się pacierza po polsku, była to pieczęć przykładana na nasze semickie czoła, na usta uległe torze). Więc ona się modli, a jeden z gestapowców, zwalisty, okrągły, siada na tapczanie, jeszcze milimetr a zmiążdży mi nogi. Nie mogę oddychać, duszę się, ciemność pod kołdrą pulsuje kręgami w białej galaretowatej otoczce. Wtedy Niemcy odchodzą, zabierając na aleję Szucha Małgosię i siostrę.

Odczekuję, aż cisza nasyci powietrze, wstaję i pukam do właścicielki mieszkania. – O Józefie święty, Maryjo! – woła na mój widok. – Jak to się stało, że cię nie wzięli?! Cud! A co z siostrą?

Siostra ma jedenaście lat, płowe włosy i promiennie błękitne oczy. Siedzi na Szucha.

Gestapowiec: – Jeśli nie przyznasz się, że jesteś Żydówką, zrobimy z ciebie mydło.

Siostra: – Nie jestem Żydówką, a przecież mydło robi się tylko z Żydów.

Gestapowiec, nieoczekiwanie, jakby przypomniał sobie, że gdzieś się spieszy: – Jesteś wolna, będzie z ciebie morowa dziewczyna.

O, tak, to był cud. Cud tej doby sypał się szczerze, przemieszczał się.

O szóstej rano siostra, bez pieniędzy, wędruje wzdłuż linii tramwajowej. Zagaduje przypadkową

kobietę: – Czy dojdę tędy na Odyńca? – Och, nie, to w zupełnie innym kierunku. – Kobieta przygląda się siostrze współczująco, wręcza jej pieniądze na bilet. – Nie dziękuj. Ale jak dotrzesz do domu, niech mama da ci parę groszy na biednych, zanieś je do kościoła.

Tego samego dnia czekam na tramwaj w Alejach Jeruzolimskich (zamierzam skontaktować się z kuzynką) i raptem czuję na plecach czyjeś spojrzenie, jedno z tych materialnych spojrzeń, które przeobrażają się w dotyk. Odwracam się, a to ona, moja siostra tak patrzy. I to był kres cudu.

Kuzynka nie wiedziała, gdzie nas umieścić i wyruszyliśmy w podróż do miasteczka koło Lwowa – zdaje się, że nazywało się Stanisławów – do obcej rodziny Żydów mieszkających w polskiej dzielnicy. W dwóch małych pokojach gnieździłiśmy się tam w sześć osób.

Na Wielkanoc zanieśliśmy do kościoła święconkę. Nad koszykami w białych serwetkach, pachnącymi swojską kiełbasą, ludzie zaczęli poszeptywać, że Niemcy zgarniają Żydów do pobliskiego getta, a tam ich wykańczają. Wracamy (koszyk postawiono pośrodku stołu), a gospodarze oznajmniają: – Boimy się was trzymać, jak wyjdzie na jaw, że jesteście Żydami, trafimy do getta. Zawieziemy was do Warszawy.

Nad gettem unosiły się łuny, krążyły w nich czarne ptaki, te, które znalazła pamięć. Zatrzymałyśmy się (ja z siostrą i jeszcze siostra kuzynki z Krakowa)

pod Warszawą, w Józefowie, przy drodze do Otwocka, w domu u pani z dwojgiem dzieci, której mąż też był polskim oficerem. Pewnej nocy ktoś zaalarmował: – Niemcy idą! – i wszyscy się rozpierzchliśmy. Chwycałam czyjś szlafrok, czerwony, w białe i czarne kwiaty, bez paska i guzików, i pędziłam co tchu w stronę stacji kolejowej. Schowałam się w drewnianej cuchnącej ubikacji. Moja siostra pobiegła w przeciwnym kierunku, wołała mnie i wołała, lecz ja słyszałam jedynie czarną, skondensowaną pustkę. Niemcy jednak nie przyszli i po paru godzinach wróciłam. Wtedy gospodyni przyznała, że lęka się o dzieci, dlatego musimy odejść. Zdjęłam czerwony szlafrok w kwiaty, zrobiło mi się go niedorzecznie żal. Znowu pojechałyśmy do Warszawy. Kuzynka przygarnęła własną siostrę, moją umieściła w jakimś klasztorze, a mnie powiedziała: – Dla ciebie miejsca nie mam.

Włóczyłam się bez celu. Mijałam swoje odbicie w przydrożnych kałużach, aż zawiodły mnie do starej ciotki naszej ostatniej gospodyni – widziałam ją niegdyś tylko raz. Była dziwna, z oddalonym wzrokiem, półśmiechem zawisłym na jakimś miłosnym wspomnieniu albo krawędzi niewidzialnego świata. Miała pokój, w którym oprócz niej spali na połowych łóżkach dwaj milczący, żyłaści mężczyźni i kuchnię z wielkim słojem napełnionym pietruszkowym wywarem, który bezustannie popijała, ponieważ chorowała

na nerki. Wieczorami lokatorzy kamienicy gromadzili się na podwórzu, by modlić się i śpiewać *Boże, coś Polskę* przy figurce Matki Boskiej z Jezusem – Żydów. I ja się modliłam. Za dnia wertowałam książkę telefoniczną, próbując odszukać nazwiska znajomych ojca. Znalazłam numer pewnego dentysty, Polaka. Nazywał się Grunwald i przyjmował w prywatnym gabinecie na Franciszkańskiej trzydzięści. Usiadłam, czekając na swoją kolej. – Gdzie twój ojciec? – spytał, gdy się przedstawiłam. – Ojca już nie ma, mamy też, ja się błąkam. Proszę mi pomóc, mogę u kogoś pracować.

Obiecał coś załatwić, kazał wrócić za dwa dni. Ale zrzędzeniem losu spotkałam potem innego znajomego Polaka, który sprzedawał dentystom różne leki. – Do kogoś ty poszła! – złapał się za głowę. – Przecież to folksdojcz!

Ten Polak nazywał się Marszak. Zajął się mną. Dzięki niemu trafiłam do rodziny Bartów.



Bartowie dysponowali wspaiałym pięciopokojowym mieszkaniem na Żoliborzu. Rodzina składała się z dziadków, młodych państwa Bart i ich dzieci, cztero- i pięcioletnich: Krystyny i Wojciecha. Wychodziłam z nimi na spacer, nie chowałam się, bo sąsiedzi zostali powiadomieni, że Rosjanie zabili moich rodziców we Lwowie, skąd pochodzę, i mam na imię – co potwierdzała metryka – Józia.



Jednego dnia jadę tramwajem odwiedzić siostrę w klasztorze i w pewnym momencie napotykam wzrok kobiety, której syn zadenuncjował moją rodzinę i Zbyszka: wzrok bez barwy, bez tonacji, bez uczucia, punktowy – wycelowany w cel pocisk. Muszę uciekać, już, natychmiast. W pierwszym wagonie są miejsca przeznaczone tylko dla Niemców – tam się przeciskam: – Proszę pozwolić mi przejść – zwracam się do jednego z nich po polsku, a on oszacowuje mnie spojrzeniem rzeczoznawcy i przesuwa się bez słowa. Wyskakuję z tramwaju na placu Trzech Krzyży, spotrzegam kościoł (cisza świątyń, ta przestrzeń ducha wyściełana modłami, przygarnia czymś matczynym), zaszywam się tam na parę godzin, potem wracam na Żoliborz.

Później nastął Wielki Piątek 1944. W tej dzielnicy wielu działało w podziemiu. Jerzy Bart, ojciec Wojtka i Krysi, też. Niemcy prowadzili akcję, szukali Żydów i broni, w nocy wtargnęli do nas.

Śpię w kuchennej niszy, bo Bartowie przyjęli na kilka dni żydowską rodzinę. Na kuchennym stole na kawałku papieru leży w częściach karabin Barta. – Schowaj ten papier – szepce do mnie w pośpiechu starsza pani. Upycham pakunek w dziurę w materacu, a tu pojawia się Niemiec. – Wstań – rozkazuje. – Potrzęsam głową: – Wstydzę się, nie mogę stać przed mężczyzną w nocnej koszuli. – On wychodzi, po chwili wraca,

otwiera wszystkie szafki, z jednej wylewa na podłogę biało przygotowane na wielkanocne ciasto. – Szko-da – śmieje się. Schylam się, żeby posprzątać, gestapowiec mnie powstrzymuje: – Podnieś się – dotyka mej twarzy, unosi ją pod brodą (ma intensywnie niebieskie tęczęwki w czarnych otokach, na czapce trupią czaszkę, która karmi mój strach) i przygląda się memu profilowi. – Możesz zostać – odzywa się po niemiecku. – Jesteś Aryjką.

Zabrali wtedy tę żydowską rodzinę, Barta, Bartową i dziadka.



Zostałam ze starszą panią i dwojgiem dzieci. Cała kamienica się litowała. Na pewien czas przenieśliśmy się do znajomych, bo ludzie z armii podziemnej czyścili mieszkanie z materiałów konspiracyjnych. Potem wróciła z Pawiaka Zofia, ale Jerzy, jej mąż i teść już nigdy. Nie wiadomo, co się z nimi stało – jedne źródła wskazują, że Jerzy został rozstrzelany przez gestapo, inne, że popełnił samobójstwo na gruzach getta – jak było, wie tylko wieczna, niesłyszalna odpowiedź.



Niebawem wybuchło powstanie warszawskie i naszą kamienicę zbombardowano. Łaziłam po ruinach z wiadrem w poszukiwaniu wody i niekiedy udawało mi się je napełnić, ale zanim docierałam z powrotem, połowa się wylewała. Wkrótce musieliśmy opuścić miasto.

Po drodze widzieliśmy Niemców podpalających dom po domu i jak kamienice słaniają się, stojąc, na podobieństwo ranionych ludzi. Doszliśmy do Cytadeli. Wygnańcy siedzieli bez wody i sanitariatów, nie było miejsca, żeby się położyć. Ruszyliśmy dalej. Pewien mężczyzna ciągnął ze sobą wodę w bańkach na mleko, ale na stacji kolejowej, do której dotarliśmy, woda lała się strumieniami z kranu – obmywała wrzody, strupy, zapieczenia, rozlewała życie. W końcu podstawiono pociąg towarowy, w każdym wagonie pełno ludzi. Jechaliśmy, nie wiedząc gdzie, ja, babcia, Zofia i jej dwoje dzieci. Pociąg często zatrzymywał się, a miejscowi rzucali nam gorące chleby, które, głodni, jedliśmy łapczywie. Babcia, nasyciwszy się takim bochnem, zachorowała na dyzenterię i zmarła. Moja pamięć zgubiła miejsce jej pochówku, a także nazwę wsi, do której później trafiliśmy – każda rodzina musiała przygarnąć tu kogoś z Warszawy. Trzymaliśmy się razem, a tubylcy znosili dla nas kartofle, mąkę, kury. Raz obraziłam się o coś na Zofię, odnalazłam sołtysa i zakomunikowałam, że chcę odłączyć się od niej i dzieci. Przydzielono mnie do miejscowej rodziny, matki z dwojgiem dzieci. Wszyscy pracowali w polu, nie byłam do tego przyzwyczajona, dlatego pomagałam w zajęciach domowych. Gospodyni czasami podróżowała do Krakowa, gdzie sprzedawała na czarno mąkę, raz zaproponowała: – Józia, jedź ze mną, co sobie zarobisz, będzie twoje.

Zarobiłam, kupiłam prezenty dla Krysi i Wojtka i poszłam do Zofii, a ona: – Tyle razem przeżyliśmy, wróc do nas. – Była chora, strasznie kasłała, niebieska-wa bladość jej skóry unosiła się nad ciałem. Wróciłam. W izbie oblepiała nas wilgoć.

Kiedyś w Krakowie natknęłam się na jednego z naszych warszawskich znajomych, który działał w podziemiu z Jerzym Bartem. Zapytałam, czy by pomógł w zamianie mieszkania. I załatwił nam miejsce we dworze koło Niedźwiedziej Góry. Wynurzały się tam pokryte sinymi kamykami wzgórze – lubiłam ich chłodny dotyk, chrzęst, jaki wydobywały spod stóp. Nudząc się, liczyłam kamienie – cyfry rosły w nieskończoność, a tymczasem od wejścia Rosjan dzieliły nas dni.

Chciałam dowiedzieć się, czy ktoś z mojej rodziny przeżył, więc wracaliśmy do Warszawy przez Radom. Spotkałam jedynie znajomych rodziców, namawiali mnie, żebym z nimi została, że przyjmą mnie jak córkę. Zofia przekonywała po swojemu: – Jesteś młoda, nikt nie wie, żeś Żydówka, możesz wyjść za mąż, mieć dom, dzieci.

Później pojechałam po siostrę, która wysłała z klasztoru list, że czeka aż ktoś z ocalałych bliskich ją stamtąd zabierze. Zakonnice prosiły, by – jeśli taka będzie jej wola – nie przeszkadzać jej w przestrzeganiu zasad wiary katolickiej. I siostra szczerze się modliła, przestała dopiero w Izraelu.



Przez długie lata nie miałam z Bartami kontaktu, dopiero gdy przestali rządzić komuniści, postarałam się o wizę i przyleciałam do Warszawy. W książce telefonicznej znalazłam numer Wojciecha. Zapytałam, czy jego matka to Zofia, a siostra Krystyna. Potwierdził.

– Ty byłeś wtedy dzieckiem. Ja jestem Józia.

Za oknem pulsował niebieski hotelowy neon. Pamięć jedno gubi, inne znajduje. Neon dołączył do czarnych ptaków i pierwszego śniegu, którym pachniały czyste koszule.

Historia Brahy Bergman.





Rok 1933, Kraków,  
Żyd i dziewczynka z kurami na ulicy, autor nieznany.



עז  
וז  
וא





łóż mnie do walizki – prosiłam brata, który wyjeżdżał do Palestyny. Mamusia żartowała: – Jak można jechać do kraju, w którym nie ma nawet kartofli?

Ja też chciałam ujrzeć tę odległą, obcą i bliską ziemię. Od dziecka marzyłam, żeby należeć do jakiejś syjonistycznej organizacji, dlatego w wieku trzynastu lat wstąpiłam do ŻOB-u – tej organizacji, która podczas wojny obrzuciła granatami kawiarnię Cyganeria, wypełnioną rozbawionymi Niemcami i ich kobietami.

Z mamusią chadzałam do Teatru Słowackiego i do Teatru Żydowskiego, choć w tym drugim nie wszystko rozumiałam, bo w domu mówiło się po polsku. Rodzice znali też biegle niemiecki i jidysz. Ojciec był kupcem. Mieszkaliśmy na granicy Kazimierza, przy ulicy Kordeckiego, ostatniej przecznicy Dietla, w pobliżu Wisły, pod Wawelem. Nie wiedziałam, że rodzice popadli w kłopoty finansowe, bo nam, dzieciom, niczego nie brakowało. Nawet, gdy po wybuchu

wojny Niemcy zamknęli szkoły dla dzieci żydowskich, prywatnych lekcji angielskiego udzielała mi mieszkająca w naszej kamienicy nauczycielka. Jak w każdym czynnie zabronionym, odnajdowało się w tym coś podniecającego, dlatego uczyłam się chętniej niż kiedyś.

W 1940 gubernator Frank obwieścił, że Kraków ma być *Judenrein*. Niemcy zamknęli ulice na Kazimierzu i kazali Żydom oddać srebro i złoto. Rodzice sprzeczyli się – ojciec chciał nieliczne kosztowności ukryć na balkonie, w skrzynce na węgiel, matka, która jako dziecko przez pewien czas mieszkała w Lipsku, gdzie dziadek miał posadę, protestowała: – Różne rzeczy można mówić o Niemcach, ale nie, że są złodziejami. Zwykłej rodzinie niczego nie wezmą. – Jednak wzięli. Wtedy rodzice podjęli decyzję o wyjeździe do Warszawy, do Leonii – bezdzietnej, dobrze sytuowanej siostry ojca. Poza krótkim futerkiem fokowym mamy, zastawą stołową i biżuterią odziedziczoną po babci nic już nie mieliśmy. Ciotki Leonii nie zastaliśmy, bo Niemcy zarekwirowali jej mieszkanie. Odtąd ciągle kogoś albo czegoś nie było – rzeczywistość przemieniała się w procesję utraty.



Ulokowaliśmy się w kawalerce na Żelaznej – w jednym pokoju pięć osób – prawdziwy luksus. Niemcy przecięli ulicę murem, nasza część miała znaleźć się po aryjskiej stronie. Lecz mama, z natury uczuciowa,

tęskniła do swoich braci – dwóch w Paryżu, czterech w Krakowie. Jeden z tych krakowskich przeniósł się do Dąbrowy Tarnowskiej i pisał w liście, że życie tam jest tańsze i łatwiejsze, więc rodzice z moim młodszym rodzeństwem do niego dołączyli. W Warszawie zostaliśmy tylko ja i Leonia. Postanowiono, że dojadę do nich po ukończeniu kursu rolniczego, na którym wykładali profesorowie uniwersytetu – kurs miał mi się kiedyś przydać do uprawy roli w Izraelu.

Zamieszkałam z ciotką w getcie przy ulicy Ceglanej. W każdym z pięciu pokoi żyła inna rodzina, kuchnia i jadalnia były wspólne. Ciocia pracowała u Többensa, w tak zwanym małym getcie, na Prostej, ja – w szopie, który wykonywał plecaki na potrzeby niemieckiego wojska. Niemcy żądali, by każdy, młody czy stary, wyrabiał odpowiednią normę i majster Tajblum przekonywał sprawniejszych, żeby wypracowywali więcej i dzielili się urobkiem ze słabszymi. To działało.

Któregoś ranka na piętrze, gdzie pracowałam, pojawia się Niemiec. Jest wściekły. (Wściekłość osadza się w kącikach zwężonych nagle warg, wydłuża nosy, owal twarzy czyni kanciastym, promieniuje błyskiem stępiałego ostrza – w tamten czas napatrzyłam się na takie twarze). – Gdzie są worki z odpadami? – wściekły podpira się pod boki. W workach ze ścinkami materiału, które zbierało się i wysyłało do Niemiec, nie mogą znajdować się żadne metalowe przedmioty

ani guziki – grozi za to egzekucja. Wściekły wysypuje na podłogę zawartość worków, przebiera rękami w strzępach jak w suchych, różnobarwnych liściach i nagle unosi palec wskazujący i kciuk z guzikiem między nimi: małym błyszczącym guzikiem na słupku, a w sekundę potem powtarza ten gest z drugim. – Kto to zrobił?! – wrzeszczy. – Kto dopuścił się sabotażu?! – chwyta za karki dwóch chłopców, którzy te worki sortowali – ich nazwiska widnieją w ewidencji dziennych i nocnych zmian pracy szopu – i pochyła ich głowy nad guzikami, zwiastunami śmierci. – Idziecie ze mną na posterunek – wściekły poprawia pas u spodni, cały wydaje się teraz pociemniały, jakby pokryła go czarna, śliska materia.

Coś wypycha mnie z szeregu, coś, czego nie znałam, a co musiało płynąć z prądem zgęstniałej raptem krwi. – Nie! – wołam. – Nie! Życie za guzik? Nie! – ale to jedynie podsycą wściekłość, czarna postać gorzej, warczy w moją stronę: – Jeszcze słowo a i ciebie wezmę! – Dwa guziki, dwa życia, dwa życia! – powtarzam w kółko i wściekły zabiera mnie z chłopakami.

– Albo zabiją nas na miejscu, albo wysłą na Umschlagplatz – próbuję ich przygotować, bo to jeszcze dzieci. Siedzimy pod zamknięciem, w milczeniu, w pomieszczeniu bez okien, w zaduchu papierosowego dymu, który przenika z kanciapy strażnika. W tym czasie majster Tajblum naradza się z ludźmi w fabryce.

Później udaje się do wściekłego. – Wiemy, że nasz los jest przesądzony – przemawia do niego. – Ale na razie potrzebujesz nas do roboty. Jeśli chcesz, żebyśmy nadal pracowali, przyprowadź ich z powrotem.

Wściekły ruchem ręki odsyła majstra bez słowa. Wieczorem nas uwalnia.

Wchodzimy do szopu po szerokich schodach, wzdłuż których ustawili się ludzie. Pozdrawiają nas, ściskają, płaczą.



Przy plecakach pracowało dużo młodych, po akcjach i selekcjach częściowo bez rodzin. Każdy pochodził z innego środowiska i miał własne poglądy polityczne, więc godzinami sprzeczaliśmy się, dyskutowali, a jeden chłopak dzięki swojej starannie ukrytej maszynie do pisania wydawał nawet gazetkę. Egzemplarzy było niewiele, ale zawsze.

Mieszkaliśmy na granicy małego i dużego getta, na Smoczej, do fabryki trzy do pięciu minut piechotą. Niemcy konwojowali nas tam i z powrotem, ale żeby zaczerpnąć otuchy i bieżących wieści (między innymi od Daniela, mojego plutonowego z Krakowa), przejechałam się do dużego getta z grupami, które wieczorami wracały z pracy, a rano w ten sam sposób uciekałam na swój teren.

W styczniu 1943 w dużym getcie odwiedziłam Jerzego i Gizelkę, przyjaciół Leonii. Ciotka i wujek

od pewnego czasu przebywali już po aryjskiej stronie dzięki Polakom: Janinie Barszczewskiej, krawcowej cioci, i Wacławowi, jej mężowi. Przyjechałam do Warszawy chuda jak patyk (bo przed wojną nie chciałam jeść, a teraz nie było co jeść) i Leonia poleciła Janinie dopasować dla mnie kilka swoich sukienek. Gdzie pracował Barszczewski, nie pytałam, wiem tylko, że najpierw pomógł wujostwu opuścić getto, a potem przyniósł mi tam ciepłą odzież – wszedł i wyszedł.

Jerzy i Gizelka, bardzo zasymilowani z Polakami, sprawiali wrażenie postaci wydzierganych z kruchej porcelany, zwłaszcza ona – śliczna, filigranowa, stąpająca tak lekko, jakby unosił ją latawiec. Jerzy działał w Judenracie i wierzył zapewnieniom Niemców, że bliskim członków Rady nie spadnie z głowy włos, że nie będą zabierani.

Tę noc spędziłam u nich.

Rano chcę opuścić getto, ale dostrzegam, że esesmani zatrzymują ludzi – w pobliżu bramy stoi ich moc. Naraż nadjeżdża auto z niemieckimi oficerami, zbliżam się do nich i oświadczam, że mam klucz do magazynu plecaków, które jeszcze dzisiaj trzeba wysłać do Rzeszy. Dlaczego to mówię? Przecież nie mam klucza. A gdyby zażądali okazania go? Przepuszczają mnie, zwiodła ich moja beczelność – koło ratunkowe strachu.

Później wsłuchuję się w odgłos własnych kroków, miękkich, nieco chybotliwych. Ulice między małym



a dużym gettem są już opustoszałe. Raptem z wnętrza tej pustki wyskakuje strzał, potem drugi, trzeci, salwa. To po raz pierwszy w getcie strzelają Żydzi.

Niebawem do Leonii dotarła wieść, że Gizelkę wraz z rodzicami wysłano transportem do obozu. Jerzy był wtedy na zwołanym przez Niemców zebraniu Judenratu. Gizelki nie uniósł latawiec.



– Dlaczego ty tu jeszcze siedzisz? Dlaczego siedzisz? – suszył mi głowę folksdojcz Fogiel, ilekroć spotykał mnie w szopie. – Wyłaż na aryjską stronę. – Dawał do zrozumienia, że ma kontakt z podziemiem, kazał zapamiętać swój adres. Leonia też się zamartwiała. (Po tym, jak zabrali Gizelkę, Wacław Barszczewski telefonował do biura szopu sprawdzić, czy przeżyłam akcję). Więc żeby ich uspokoić, w lutym 1943 wyszłam z getta na dobre. Nie wiedziałam, gdzie szukać Leonii, ale kontakt z nią utrzymywali Barszczewscy. Ciocia i wujek już nie pozwolili mi wrócić, a Barszczewski zapytał, jakie chcę mieć imię i nazwisko. Akurat mijaliśmy magiel z szyldem „Bronisława Kowalczyk” – takie popularne imię – pomyślałam, w końcu nie muszę wywodzić się ze szlachty. Następnego ranka Barszczewski przyniósł mi metrykę z parafii, która spaliła się w 1939. Ja, Kowalczyk Bronisława, urodziłam się w Małkini dwudziestego czwartego maja 1925 – jedynie ta data nie była

kłamstwem. Poszłam z metryką na policję i wyrobiłam sobie kenkartę. W lustrze u Leonii przyjrzałam się swojej twarzy przyodzianej w nowe imię – wydawała się nadmiernie upozowana, jak na starych studyjnych fotografiach.

Pewnego dnia odszukałam kamienicę, w której mieszkał Fogiel, lecz na liście lokatorów nie znalazłam tego nazwiska – po wojnie dowiedziałam się, że za współpracę z AK wywieźli go z rodziną do Oświęcimia.



Barszczewski ulokował mnie w Zatrzebiu koło Warszawy, ciasno i jakoś bezbrinnie przyłgniętym do szosy, a Leonię i jej męża w Radości, oplecionej wokół torów linii kolejowej, niedaleko, jednak dla bezpieczeństwa nie widywaliśmy się.

Trafiam do rodziny Rylskich, pomagam w opiece nad ich synkiem, przekonana, że tak odpracowuję swój tam pobyt. Później dowiaduję się, że ciocia, wprawdzie niewiele, ale za mnie płaci i – urażona – ich opuszczam.

Znalazłam pracę w Warszawie, z ogłoszenia, u rzeźnika z dwojgiem dzieci. Miał nabiegłą krwią twarz, tak, jakby tej krwi w napęczniałej, przerosłej postaci było za dużo i domagała się uwolnienia. Przeklinał, pił pędzony przez siebie bimber i paskiem od spodni bił synów. Uciekłam stamtąd bez pożegnania, na ulicy

łykałam kęsy gęstego, mglistego powietrza. Wówczas uśmiechnęło się do mnie szczęście, ponieważ potrafi ono, niczym treść poszukująca formy, dopasować się do okoliczności, minimalizując swe potrzeby, karłowaciejąc – tak działa siła życia. Moim szczęściem była garbuska, pani Trenknerówna, docent chemii z Uniwersytetu Warszawskiego, udzielająca potajemnie lekcji w swym mieszkaniu przy Złotej. Mój ojciec jest w niewoli w Rosji – skłamałam jej – a matka nie żyje. Nie dociekała, czy jestem Żydówką, odwracała się od tropów, które mogą ugrzęznąć w koleinie. Wychowywała bratanicę, półsierotę (matka zmarła przy porodzie, ojciec był w niemieckim oflagu), a ja trochę tę dziewczynkę uczyłam, pomagałam gospodyni w sprawunkach, sprzątałam.

Sierpień 1944 zaczął się upalnie. Ze Złotej przechodziło się podwórzem na Chmielną, a z Chmielnej do powstańczych placówek naprzeciwko dworca. Popołudniem odnajduję grupę ochotniczek z patrolu sanitarno-aprowizacyjnego (przez wydrążone w okiennych futrynach dziury naokoło wystają lufy) i znowu łżę: należę do Armii Krajowej i nie mogę dostać się do swoich. Kłamię, bo chcę z nimi pójść. – Przydasz się – zgadzają się od razu. Później głównie gotujemy kaszę, która zwykle okazuje się przypalona, czasem opatrujemy rannych, dziewczyny przeszkolone w pierwszej pomocy idą z chłopakami walczyć.

Raz, pod wieczór, stara kobieta błąka się w tłących się zgliszczach, zawodząc chrapliwie: – Smutno, och, jak smutno. – I wydawało się, że to jęk samego zanikającego miasta tuła się we własnym gruzowisku.



Trenknerówna skrywała się z bratanicą w piwnicach. Kiedy mogłam, przynosiłam im potrzebne rzeczy, dzieliłam się, czym miałam. Ósmego września zawieszono ogień i pracodawczyni zakomunikowała mi, że opuszcza z dzieckiem Warszawę. Ale nie była w stanie nawet unieść plecaka, więc musiałam rozstrzygnąć: towarzyszyć jej czy zostać z powstańcami. Mój dowódca ocenił, że tutaj niewiele już zdziałam: – Idź.

Docieramy do Pruszkowa, tu nas rozdzielają, mnie wysyłają do Niemiec. Z ruszającego pociągu wyrzucam wiadomość w butelce – ktoś zaniósł ją do Barszczewskich, tak Leonia dowiedziała się, że żyję. Ją też zabrali na roboty do Rzeszy, ona również mnie szukała.

Wiele butelek turlało się wówczas z nasypów kolejowych, wybuchając blaskami w jesiennym słońcu.



Po wyzwoleniu trafiam do przejściowego obozu uchodźców w północnych Niemczech. Są tu wyżsi oficerowie Armii Krajowej, potrzebują tłumaczkę angielskiego, bo zamierzają udać się do Włoch, gdzie przebywa generał Anders. Chcą, by ten wydał pozwolenie

na przyłączenie się do jego armii kobiet, które odmówiły powrotu do Polski. Wybierają mnie, Bronisławę Kowalczyk – nie wiedząc, że jestem Żydówką. Anders dziwi się, że dopiero teraz wyznaję prawdę. Tłumaczę nieporadnie, że gdy ktoś długo boi się szmalcowników, strach zacządza mu duszę, oducza jej niewinności. Z sąsiedniego pokoju wyłania się komendantka z Pomocniczej Służby Kobiet, ściska mnie, całuje, opowiada, jak to w Jerozolimie ratowali ją, gdy ledwo żywa opuściła Rosję. – Masz taki wspaniały kraj! – woła w zachwycie. Wtedy proszę Andersa, żeby wysłał mnie do Izraela, bo tam też były jego oddziały, a w Nazarecie szkoła wojskowa dla kobiet. Pod koniec 1945 dostaję rozkaz natychmiastowego wyjazdu. W nowej ojczyźnie uderza mnie suche powietrze podszyte pustynnym echem, w którym pogwizdują wiry piaskowych burz.



Mojego ojca zastrzelili na ulicy w Dąbrowie Tarnowskiej, jak dowiedziałam się od odnalezionej krewnej, a mamusia z rodzeństwem uciekła. Pewna Polka dała jej swoją metrykę i ukryła ich na strychu. Jednak mama, którą zawsze gnębiły tęsknoty i dotkliwie odczuwała brak bliskich, wróciła do krakowskiego getta (prawdopodobnie też skończyły się jej pieniądze). Tam pojęła, że popełniła śmiertelny błąd, chciała znów uciekać, ale nie zdążyła, zbiegła

tylko jej krewna. Nie wiem, co się z nimi stało. Mają groby w mej pamięci: groby żywe, ruchome, nieleżące (ludzie w nich utknęli w pozycji pionowej), utkane z gestów, uśmiechów i słów, przypominające kadry z długich jak czerwcowe dni filmów.



Szukałam Leonii w Izraelu, w Niemczech. W Boże Narodzenie 1946 wysłałam do Barszczewskich list – do Radości, bo domyślałam się, że z kamienicy na Hożej, gdzie mieszkali, nic nie zostało. I ten list Leonia dostała. Przyjechała rok po narodzinach mojego syna, w 1950. Póki żyła, utrzymywała z Barszczewskimi kontakt, ale kiedyś ktoś w imieniu Wacława wysłał z zagranicy pocztówkę z prośbą, żeby więcej nie pisać.

Potem czasy się zmieniły. W latach osiemdziesiątych moją koleżankę z Tel Awiwu odwiedziła znajoma turystka z Warszawy, poprosiłam, żeby znalazła adres Barszczewskich – zapewne żyły jeszcze ich dzieci. Tak dowiedziałam się, gdzie mieszka Janusz, ich syn. Przez kogoś, kto jeździł z młodzieżą do Warszawy, przekazałam dla niego paczuszkę. Wysłannik dzwonił i dzwonił do drzwi, lecz nikt mu nie otworzył, więc zostawił przesyłkę u sąsiadów. Później okazało się, że Janusz, bardzo już wtedy chory, nie mógł podnieść się z łóżka. Był prawnikiem, a z zamiłowania artystą malarzem – nie byle jakim – zdarzało się, że sprzedawał swoje obrazy.

Wkrótce złożyłam potrzebne dokumenty w Yad Vashem i Barszczewscy otrzymali tytuł Sprawiedliwych. Tylko dla ich córki Krystyny nie udało mi się nic załatwić, bo kiedy mnie ratowali, miała zaledwie dwanaście lat, za mało – uznali w Instytucie – żeby czynnie pomagać. Zaraz potem Janusz zmarł. Gościłam w Izraelu Irenę, jego żonę, i Krystynę. Z Ireną, głęboko wierzącą, pojechałyśmy do wszystkich świętych miejsc w Kafarnaum, Betlejem, Jerozolimie.

Do Polski nigdy nie wróciłam – wspominałam już, że groby noszę w sobie.

Historia Rachel Fleishman-Seidman.





שז  
פז  
פז





Drohobyczu dom należący do babci kończył się strychem. Nad nim sterczał stryszek, do którego nie prowadziły żadne schody. Siostra i ja wspinałyśmy się tam po drabince uplecionej przez mamę ze sznurków. Później mama wpadła na pomysł, żeby zasypywać nasze ślady czarnym pieprzem, bo mylił węch towarzyszących Niemcom psów. Ciągłe pytałyśmy, kiedy wróci tata, a mama powtarzała: – Wróci, wróci – bo ukrywała przed nami jego śmierć.

Ojciec pracował u hrabiego Gorajskiego jako dyrektor likierni w Szebniach, a później miał w Jaśle fabrykę napojów chłodzących, produkował lemoniadę, oranżadę i wodę sodową. Przyjaźnił się z burmistrzem, dlatego od razu po wybuchu wojny zwrócił się do niego z prośbą o umożliwienie nam przejazdu koleją do Drohobycza. W Jaśle była fabryka amunicji i powiadano, że przez to w mieście będzie działało się źle. Burmistrz wyraził zgodę i pojechaliśmy, ale bywają

drogi, które – choć zmienisz kierunek – i tak zawiodą cię tam, skąd umykałeś, w ciemną jamę zatracenia. Po trzech miesiącach okupacji ojciec dostał wezwanie do pracy. – Pójdę – zdecydował – bo inaczej mnie zabiją.

Tego dnia we wsi Bronica zamordowali pierwszych trzystu drohobyckich Żydów, każąc im najpierw wykopać wielki grób. Ocalał tylko pewien rabin, który oświadczył, że w szabat nie pracuje – nie wiadomo, jak długo żył.

We dnie leżałyśmy cichutko na stryszku. Z zewnątrz pięły się ku górze odgłosy krzyków, biadoleń i strzałów – Niemcy wygarniali z domów kobiety i dzieci. Gdy zaczęli likwidować getto, stało się jasne, że musimy stryszek opuścić. Jednemu z moich wujków, adwokatowi, przyjaciele zaproponowali miejsce w ich kryjówece. – A z nami co będzie? – wybuchłam płaczem. – Ja też chcę żyć! – Miałam dwanaście lat, siostra osiem. Wtedy wujek, który po śmierci taty obiecał mamie, że będzie dla nas ojcem, zdecydował: – Ty się tam schowasz zamiast mnie. – Lecz ja płakałam nadal. Cóż mi po tym, że przeżyję, skoro nie będzie już nikogo, kto nadawał światu smak kogla-mogła, i dłoni tkających ze sznurka ścieżkę tam, gdzie nie prowadzą schody.



Odtąd wujek rozpytywał rozmaitych ludzi o możliwości naszego ocalenia, mówił o tym obsesyjnie, tylko

to się dla niego liczyło. Aż pewna znajoma (późniejsza żona mojego drugiego wujka, adwokata, po wojnie aż do śmierci osiadłego w Polsce) wyznała mu, że zna Ukrainkę, która zgodziłaby się ukryć Żydów, ale nie ma gdzie. Nazywała się Anastazja Kobelczuk, z mężem, Polakiem, miała córeczkę Wieruszkę. Wujek szybko kupił jej dom przy ulicy Szaszkiewicza, ściana w ścianę z byłym gimnazjum żydowskim Błata, w czasie wojny przemianowanym na obóz pracy, w którym wypłatałam wiklinowe koszyki na granaty. A w domu, w piwnicy wujek urządził schron – skleconą z desek budę. Naokoło szczury, myszy, pchły i karaluchy. Słabiutki, mdłe światło małej lampy naftowej deformowało nasze rysy. Poza nami ukrywała się tam moja przyszła ciotka (ta, co znała Anastazję), jej ojciec i obcy, który wywiercił w podłodze niewidoczne otwory umożliwiające wtajemniczonym wejście do schronu. Wzięliśmy go ze sobą, żeby nas nie wydał.

Na tej samej ulicy małżeństwo Polaków o nazwisku Wołosańscy całkowicie bezinteresownie przechowywało i obsługiwało w schronie czterdziestu Żydów, w tym mojego drugiego wujka. Górę tej kamienicy zajmowało gestapo. Na klatce schodowej Wołosańscy, mijając się z Niemcami, wymieniali uprzejme pozdrowienia.

Rolę łączniczki między dwoma schronami pełniła Inka Kwaśniewska. Jej mąż był lekarzem miejskim,

póóniej oficerem Wojska Polskiego zamordowanym w Katyniu. Kochała Źydów, głównie z nimi się przyjaóniła. Znała bardzo dobrze pewnego wysoko postawionego gestapowca, który miał na sumieniu mnóstwo ludzi. Kiedy po zlikwidowaniu obozu pracy Niemcy wielu Źydów zamknęli, w tym dwóch moich wujków, poszła do niego i poprosiła, óeby ich uwolnił. Nie ósmielił się jej odmówić. Jego umoczona we krwi ręką złożyła óyciodajny podpis na białej kartce.

Listy przenoszone przez Inkę miały szczególną formę. Wujek wybierał fragmenty łacióskiej ksiąózki (uczyliómy się łaciny w domu i w szkole) i między wersami umieszczał własne słowa, wykreóslając zbędne litery. Przypadkowy czytelnik nic by nie zrozumiał, my odkodowywaliómy szyfr bez trudu. Nie mieliómy pojęcia, jak długo przyjdzie nam pozostawać w ukryciu, a tymczasem skoóczyły się pieniądze, więc pisaliómy do wujka siedzącego w drugiej kryjówece z zamoónymi przyjaciółmi, óeby nam pomógł – i gotówkę przez nich ofiarowywaną teó przynosiła Inka. Dla bezpieczeóstwa nie znała precyzyjnej lokalizacji schronów, listy dostarczała Wołosiańskim i Anastazji, którą wołaliómy Nastka.

Dokuczał nam głód. Kaódy dostawał dziennie kawałek chleba i jakás zupę. Cukier – oddawałam siostrze, bo straszne było z niej chuchro. Ja, niegdys ókrągłutka, przemieniłam

się w patyk. Otaczała mnie gromada patyczkowatych, wątych cieni. Ale nieopodal powstał obóz dla jeńców rosyjskich, których zatrudniano przy różnych robotach, i Nastka uzyskała zgodę na zabieranie stamtąd resztek jedzenia dla świń. To my byliśmy tymi świniami.

Pulchna, krzepka, lubiła życie towarzyskie, przyjaźniła się z obozowymi strażnikami, a w jej pokojach na górze nocami często odbywały się bibki. Baliśmy się, że jak sobie popije, to palnie coś o swoich lokatorach albo pokaże nas – te patykové, pociemniałe osobliwości przycupnięte w podziemnej klatce. Nieraz schodziła do nas i zrzędziła: – Właściwie dlaczego ja trzymam tę menażerię? Życiem własnego dziecka ryzykuję. – O, Nastka bywała okrutna mieszaniną siły, sytości i goryczy, którą smagała nas celnie i wytrwale refrenem niepocieszenia: „jeszcze nie tak prędko nadejdzie wasze wyzwolenie”.

Piotr, jej mąż, prosty niby ociosany z sęków pień, odwrotnie – dzielił się tym, co wiedział.

Mój wujek od pierwszego dnia w schronie aż do wyzwolenia pisał po polsku pamiętnik. Ból wyczekiwania na wieści – podkreślał kopiaowym ołówkiem – dokucza bardziej niż głód, brak słowa z zewnątrz zawisa zbrylonym ciężarem, którym tuczy się odwrócona nadzieja, gdy niknie płomień rachitycznej, osmolonej naftowej lampki.



Tego dnia, kiedy wkroczyli Rosjanie, Nastka poszła do kościoła i wyspowiadała się, że chowała Żydów, a potem nas pożegnała: – Jeśli grzeszyłam, niech mi Bóg wybaczy, jesteście wolni.

Najpierw wychodzimy na górę, do mieszkania, żeby nie oślepnąć od słonecznego światła. Czekamy tu na drugiego wujka, tego, który chował się z przyjaciółmi w schronie Wołosiańskich, gdzie tuż przed wyzwoleniem zaduszono nowo narodzone dziecko. Dotarł do nas w przeciwsłonecznych, podarowanych przez kogoś litościwego okularach. Ujrzałam w nich odbicie swojej białej, wychudłej twarzy z karykaturalnie powiększonymi oczami. Byłam szczęśliwa – nie do wiary, że tak może wyglądać szczęście.



Zburzony dom babci w Drohobyczu już nie istniał, więc przyjęliśmy zaproszenie przyjaciół wujka i zamieszkaliśmy u nich. Niebawem jednak stało się jasne, że tam będzie Rosja, dlatego zapakowaliśmy, co się dało, i ruszyliśmy w tygodniową podróż koleją do Polski, do Krakowa.

Na pół roku zakotwiczyliśmy w hotelu Pollera. W międzyczasie ten wujek, który był adwokatem, pojechał do Gliwic. Szukał mieszkania – pustego, bo nie chciał, jak wielu innych, wypędzać właścicieli, dając im godzinę na wyprowadzkę – i tak długo chodził,



aż znalazł. Nowi sąsiedzi, Ślązacy, ofiarowali meble, każdy coś innego, żeby miejsce od razu nadawało się do życia. Wtedy wzięliśmy do siebie Inkę Kwaśniewską ze starszą panią, jej matką, córką Dusią i mężem Tadzikiem Landochem, bo też nie mieli gdzie się podziać – jak okiem sięgnąć, świat znaczyły wędrówki pogubionych, błąkanina bezdomnych, zagnieźdżania.

Wyjechałam do Izraela w 1949, wiłam swoje gniazdo mozolnie, w duchocie wspomnień, w domu bez strychu, bez piwnicy, z roślinami doniczkowymi na parapetach.



Wujek-adwokat do śmierci mieszkał w Gliwicach. Od niego wiedziałam, że Inka Kwaśniewska umarła i Tadzik Landoch też. A Dusia? Co z córką Inki? Zadzwoiłam do szkolnej koleżanki z Gliwic: – Pomóż mi odszukać Dusię. – Koleżanka na jedno oko w ogóle nie widziała, a na drugie ledwo ledwo, więc kazała mi uzbroić się w cierpliwość, ale Dusię znalazła. Wykreśliłam numer. Łamały się nasze głosy, urywały myśli. Obiecałam, że uczynię wszystko, by razem z matką zostały uznane za Sprawiedliwe – i dotrzymałam słowa. (Wołosiańskim przyznano Medal już dawno).

Później poprosiłam profesora Shevaha Weissa, wtedy przewodniczącego Yad Vashem, żeby pomógł mi wpaść na trop Nastki. Sam, ocalony przez Polkę i Ukrainkę, odnalazł ich potomków. Lecz słuch

po Anastazji przypadł. Podobno Sowietci wywieźli ją na Sybir, bo była bardzo bogata. Ktoś ją i jej męża za-  
denuncjował.

Historia Steli Kreshes.



Rok 1932, zdjęcie znalezione na strychu domu w Kielcach,  
autor nieznany.

רש  
א



**N**iespełnione pragnienia umarłych zapewne szturchają sumienie wieczności niespokojnymi drgnieniami, ich energia ma moc wskrzeszenia. Rodzice zawsze marzyli, żeby wyemigrować do Izraela, ale państwo nie istniało, a i funduszy na podróż nie mieli. Tylko mój starszy o osiem lat brat, jak większość chłopców, należał do harcerstwa i do organizacji syjonistów Abe Kownera, w 1934 zapisał się na uniwersytet w Hajfie i wyjechał.

Ojciec mój, bardzo przystojny, wysoki i piękny, podobnie jak matka uczył w Wilnie języka hebrajskiego, literatury hebrajskiej i Tory, prowadził działalność pedagogiczną. Prawdopodobnie zamordowali go siedemnastego lipca 1941, w czas przekwitającego już na drzewach kwiecia, w ulicznej łapance. Wyszedł z domu i nie wrócił.

Mama, nauczycielka w gimnazjum o wysokim poziomie, z wszelkimi prawami państwowymi i z językiem wykładowym polskim, postanowiła wtedy, że pójdziemy do getta.

Zapisałam się do pracy – rano wychodziłam na budowę z grupą młodych ludzi, wieczorem wracałam. Jednego dnia, zimą 1942, już po kilku akcjach, nie zastałam mamy. Ciemność raziła wilgotnym chłodem, pomyślałam, że wyjdę na ulicę i postoję bez ruchu, gestapowcy zabiorą mnie i tak będzie właściwie, dopełni się moje przeznaczenie, podobnie jak uczyniło to w przypadku rodziców. Chciałam tego. Lecz wtedy stanął mi przed oczami mój brat w Izraelu: może, jeśli się uratuję, dotrę do niego, przeniosę ich pragnienie, wskrzeszę. Zdjęłam wszystkie opaski, nałożyłam płaszcz, chustkę na głowę i wyszłam. Nikt mnie nie pytał, dokąd, nikt nie szukał.

Zapukałam do pewnej rodziny zaprzyjaźnionej z rodzicami – przechowali mnie w małej komórce noc, dzień i jeszcze noc. Gospodarz, starszy pan, zaprowadził mnie potem do swoich znajomych, gdzie ktoś (nie podał nazwiska) wręczył mi metrykę i aryjskie papiery, i zapoznał z jakąś kobietą, która handlowała wódką i zawiozła mnie na wieś. Trwał karnawał i w mroźnym powietrzu krążyły drobiny czegoś nieujarzmionego, jakiegoś zatracenia – ludzie próbowali nawet tańczyć, tupiąc podszewkami o podłogi nadto hałaśliwie.

Pracowałam trochę u sołtysa – między innymi pisałam do władz podania o zmniejszenie podatków – ale trzeba mi było urządzić się gdzieś, zamieszkać. Szczęście, że w pobliskiej wsi żyła rodzina, w której



młoda osoba, córka gospodarzy, chorowała na gruźlicę (nieszczęście jednych bywa szczęściem drugich) i poszukiwali tam kogoś do opieki nad nią i jej małym dzieckiem, bo rodzice i mąż chorej pracowali w gospodarstwie, a poza tym bali się do cierpiącej zbliżyć w obawie przed zarażeniem. Więc zgłosiłam się – czesałam ją i myłam przez całą zimę. Jej oczy miały oliwny blask.

Odwiedzał ją niekiedy młodszy brat, a także z pytaniem o zdrowie zachodzili sąsiedzi – wtedy chowałam się za zasłonką za łóżkiem. Znikałam, gdy psy w obejściu szczekaniem wyczuwały obcego. Raz zawitał kolega brata chorej. Zamierzałam się już skryć, gdy gospodyni mnie powstrzymała: – Nie bój się, to Stefan, dobry chłopak.

Odtąd zaglądał niemal codziennie. Domyślił się, kim jestem, bo wyglądam zdradziecki. Jednak z nadejściem roztopów i przyptywami południowego wiatru moja podopieczna zmarła, gdyż gruźlicy umierają na wiosnę – jakby wiosna, wzbudzając życiodajne soki, niweczyła to, co ułomne. Tak znów zostałam bez przynależności, bez dachu. Ale na pogrzebie Stefan szepnął: – Pójdiesz ze mną. – I poszłam.



Raczyńscy mieli mały, trudno dostępny, wyrwany lasom, wtulony w ich świerkowo-sosnowe skraje folwark, kilka koni i osiemnaście krów. Na polu

i w obejściu pracowali bez niczyjej pomocy ojciec, matka, dwaj synowie i dwie córki. Ród był rozległy geograficznie i silnie rozgałęziony. (Edward Raczyński – prawnik i dyplomata, w czasie wojny minister spraw zagranicznych rządu polskiego w Londynie, u którego stawił się z raportami o zagładzie Żydów w Europie Jan Karski – też pochodził z tej rodziny). Wiek z górą temu jego odłamek przywędrował na Kresy, zaś ojciec Stefana, żeby nie rozdrabniać gruntów, nabył szmat ziemi na terenie niemenczyńskim, w równinnej, bogato zalesionej, dzikiej delcie między dwoma miasteczkami: Podbrodziem nad Niemnem i Niemenczynem nad Wilią. Wycie wilków układało się tu do snu z ludzkimi trwogami, w mrokach boru biesy ganiały się z poszumem orlich skrzydeł, letni, godowy, paciorkowy głos derkaczy okraszał wieczerze.

– Witaj, Zuzanno – w progu domostwa stała brunetka o pociągłej twarzy i czarnych, podobnych do moich oczach, z ogorzałymi dłońmi, słynnymi w okolicy z wyrobu serów, masła i śmietany, do których w dzień targowy ustawiała się kolejka miasteczkowych i miastowych. Matka Stefana. Zakrzętała się wokół wieczerzy, pomogłam jej.

Już pierwszego wieczoru (derkacze zawodziły monotonnie) do drzwi Raczyńskich zapukali jacyś młodzi. Psy nie szczekały, bo ich znały. Byli to szkolni koledzy Stefana. Młodzież żydowska z miasteczek

w pobliżu dużych miast współpracowała z harcerstwem z Wilna, odwiedzano się wzajemnie, konspirowano.

Jesienią i zimą 1942 w miasteczkach odbywały się akcje, a na święta Nowego Roku i Jom Kippur Niemcy zarządzili spis ludności żydowskiej – kazali wszystkim stawić się na rynku z najwartościowszymi rzeczami i oznajmili, że Żydzi pójdą do wileńskiego getta. Trasa wiodła przez knieję – ciemną, gęstą, z wilczymi ślepiami przycupniętymi za przydrożnymi drzewami, gotowymi do skoku, gdy nozdrza pochwycały zapach konia lub człowieka. Poprowadzono ich więc w las, a tam, blisko drogi, czekała już wykopana jama, do której osuwali się od kul (salwy karabinów spłoszyły wilki). Zabrano rzeczy, ciała przysypano ziemią.

Stefan i jego koledzy rozprawiali o świecie nieodległym i odległym, i o tym, co hitlerowcy wyprawiają z Żydami. Przełożeni harcerzy wkładali im do głów, żeby Niemcom nie wierzyć, a najlepiej skryć się w lasach, dzięki czemu kilkunastu chłopców nie poszło wtedy na rynek. Ocalała jeszcze jedna rodzina: dziadek z córką i wnukiem. Gdy nastała cisza, podnieśli się z dołu wypełnionego trupami, otarli się z cudzej krwi i przedostali do gospodarstwa Raczyńskich, gdzie schronili się już harcerze. Inni polscy gospodarze, zaprzyjaźnieni z miejscowymi Żydami, też

przygarnęli paru: na przykład właściciel sklepu z żelastwem znalazł kryjówkę po sąsiedzku, u naszego znajomego – w ten sposób nie wszyscy Żydzi z miasteczka zginęli.

Raczyńscy dziadka bardzo dobrze ukryli, a jego wnuczek – Jacek go nazwano – brunecik podobny do mamy Raczyńskiej, biegał po domu z innymi dziećmi; w sumie było ich sześcioro – wokół turlał się ich czysty śmiech.



W 1942 Boże Narodzenie i Chanuka zbiegły się w tych samych datach. Mijał bardzo ciężki rok, Niemcy parli naprzód, osaczały nas złe wieści, ale matka Stefana postanowiła urządzać ucztę pocieszenia i zaprosić wszystkich ukrywających się Żydów. Dziadek jadał tylko koszerne, więc kupiła w Niemenczynie różne naczynia i specjalnie dla niego w jednych gotowała mleczne, a w drugich jarzynowe potrawy – pomagałam w tym. Stół skrzył się w blasku świec. Wspominaliśmy dobre czasy i te wspomnienia odmieniały nasze oblicza, piliśmy i śpiewali *O, mój rozmarynie, Rozkwitały pąki białych róż* i *Jadą, jadą dzieci drogą*, a także pieśni żydowskie i hebrajskie. Ja zaśpiewałam piosenkę do słów poetki Racheli znad jeziora Kinneret. I popłakali się pijani i trzeźwi, Żydzi i Polacy w zaokiennej, dyskretnej ciszy śnieżnej, która na ten jeden wieczór opuściła martwych i przyłgnęła

do żywych. Odtąd, kiedy Stefana chwytła nostalgia, musiałam mu tę pieśń przywoływać – słowa były hebrajskie, lecz tęsknoty wzajemne.



W litewskiej policji w Niemenczynie pracował kolega Stefana. – Są słuchy – doniósł mu – że Raczyńscy trzymają Żydówkę. – Wkrótce kazano mi stawić się na posterunek dla sprawdzenia tożsamości. Okazuję dokumenty przesłuchującemu, a ten znajomy zagląda mu przez ramię: – Daj spokój, to przecież Polka. – I puścili mnie. Stefan czekał już z furmanką w pobliskim lesie. Na wszelki wypadek znalazł mi nowe miejsce – w domu pani Kosmowskiej, swej byłej nauczycielki – do pomocy w gospodarstwie i opieki nad dziećmi, bo jej męża, oficera polskiego w AK, widywano w domu rzadko. Za to, że mnie przyjęli, Stefan przynosił im opał, żywność i dużo wódki, bo mąż lubił sobie wypić i opowiadać, że taka czy inna grupa złapała ukrywających się Żydów. Różne bandy wtedy grasowały w głuszy, jedne zorganizowane, inne nie (w tym szajka Plechawiczów – Litwinów na usługach Niemców). Często między Litwinami i Polakami dochodziło do potyczek – odgłosy wystrzałów niosły się nad pola, czasem ściany domostw wprawiały w drżenie.

Pewnej nocy Litwini zaplanowali spalić domostwo tego oficera, zabrali ze sobą broń i wozy.

Pięć kilometrów dalej w obejściu Raczyńskich czuwał Stefan. Właściwie nie sypiał, bo pilnował swoich Żydów – każdy miał inną kryjówkę, a tym, co nie mogli jej opuścić, trzeba było dostarczać jedzenie, dzielić się wieściami (po Stalingradzie Niemcy okropnie się rozjuszyli, zabijali na potęgę), ostrzegać przed niebezpieczeństwem. Przed świtem usłyszał tętent koni, wsiadł na rower i popędził do nas, kazał zabrać dzieci (oficera nie było) i zmykać do sąsiedniej wsi. Tak uczyniliśmy. Niebawem ujrzelśmy łunę. Dom, dobytek – wszystko w niej kończyło istnienie.

W ten sposób Stefan uratował mnie jeszcze raz.

Kosmowska z dziećmi znalazła schronienie, bo na wsi zwykło się przyjmować pogorzalców pod swój dach. A co ze mną? Znowu zostałam bez przynależności.

Stefan zawiózł mnie do siostry swojego ojca, która mieszkała daleko, za borem. – Litwini i Niemcy mordują młodych – tłumaczył jej – więc uciekamy, żeby przeżyć. – Ale tam była bieda. Uzbrojeni szabrownicy, niektórzy w polskich mundurach, napadali na siedziby chłopów, ogołacali ich z wartościowszych rzeczy i przehandlowywali je na wódkę. Prawo nie działało – wojna była prawem. Któregoś dnia wpadają, przystawiają mnie do ściany, biją Stefana: – Tyś nietutejszy i chronisz swoją Żydowicę. – A on, że nieprawda, nie jestem Żydówką. Ciotka na

to wybiega po proboszcza, co mieszkał niedaleko, i lamentuje, że szykuje się nieszczęście, bo źli chcą zastrzelić jej bratanka. Ksiądz w te pędy gna do gospodarstwa, chłoszcze bandytów potępieńczym spojrzaniem: – A wy co tu robicie? – A tę Żydowicę chcemy załatwić. – Jaka z niej Żydówka – ksiądz na to. – Toż sam ją chrzcilem, jak i Stefana, rodzzonego tu przecież.

Tak nas, kłamiąc podwójnie, proboszcz ocalił. Później rozeszło się, że ci szabrownicy podający się za bojowników napadli na niewinnych ludzi – tak, że nawet duchowny musiał interweniować – i dowódca ich zdegradował, trafili do ciupy. Jednak nie chcąc narażać ciotki, pojechaliśmy dalej, do brata matki Stefana, który pisał wiersze. Pokazał mi wypełnione nimi gęsto bruliony, nabywane w wiejskim sklepie z mydłem i powidłem. W innych czasach i warunkach byłby sławnym pisarzem, jeśli jednak prawdą jest, że przeżywamy jedynie takie życie, jakie nam przysługiwało, to jego miało osiąść w tym okolonym brzozowym gajem gospodarstwie z pszenicznymi łanami za stodołą, z pasieką, z której roje pszczół wywodziły swoją bzyczącą, miodną muzykę, z szelestem kartek z utrwalonymi stanami duszy. Oddychaliśmy tą odmiennością, poezją i widokiem wiecznie zajętych pszczół, gdy nadeszła wiadomość od matki Raczyńskiej: Niemcy się wycofali, można wracać.

W drodze powrotnej towarzyszyła nam zamglona poświata – Wilno unosiły dymy, bo uciekający podpalili miasto.

Sowieci wkroczyli zakurzeni, w szarych szynelach, wychudzeni. Stefan spotkał na gościńcu jeden z ich patroli i zaprosił do siebie. Był lipiec 1944. Żydzi wyszli z ukrycia, zebrali się na podwórzu. Mama wystawiła ogromny stół, a na nim kankę z mlekiem – żołnierze pili łąpczywie, z żarem, po brodach ściekały im białe potoki.



Myśmy się ze Stefanem bardzo kochali. Któregoś dnia oświadczył się, na co odrzekłam, że dobrze, jeśli zyskam taką rodzinę. Nikt nie pytał, czy się ochrzczę. Jego ojciec nas pobłogosławił. – Wiem, że tu nie zostaniecie – pokiwał głową ze spokojem. – Pojedźcie do Wilna, ale i tam nie osiǳcie, powędrujecie do Izraela.

Nie było już czym gospodarować – Sowieci spustoszyli obejście, zabrali cały dobytek, zostawili tylko jedną krówkę. A o Izraelu rozprawiało się, choć nie było jeszcze państwa. – Wiesz co, Stefan – dumiał ojciec – ja tak sobie wyobrażam, że gdy dotrzecie do Izraela, ty i Zuzanna, to Żydzi przyjdą przypatrywać się, jak śpisz.

Pojechaliśmy do Wilna, a tam znowu łapanki – stalinowska czystka. Zabrali Stefana do więzienia



i chcieli wywieźć do łagrów na Sybir, tak jak tysiące innych – stamtąd mało kto wracał. Postanowiłam go ratować. Odszukałam żydowskich chłopców, których ocalał w czasie wojny (niektórzy zaciągali się do armii sowieckiej, chcieli mścić się na Niemcach), i poprosiłam, żeby podpisali petycję o jego uwolnienie. Wpadłam na taki pomysł, bo w fabryce, w której obydwójce pracowaliśmy, aresztowano kierownika, ucznia mojej mamy (tej nocy zabrali z fabryki dwustu Polaków), ale kiedy wstawili się za nim partyjni, to go wypuszczono. Więc zbierałam te dokumenty i organizowałam dla Stefana paczki, które pozwalano dostarczać raz w tygodniu. Żywność była na kartki, oddawaliśmy je w fabryce za obiad. Kiedy skonfiskowali kartkę Stefana, zrezygnowałam z własnych obiadów, za co otrzymywałam chleb i słoninę, które zanosiałam do więzienia, a Stefan kwitował przyjęcie paczki własnym podpisem, czym dowodził, że żyje i nie jest na Sybirze. Zdecydowałam, że powiadomię o tym jego rodziców.

Wyruszam zaraz po pracy – Wilno od Niemenczyzna dzieli dwadzieścia kilometrów, w tym osiem przez leśną gęstwę – pieszo, bo nie mam pieniędzy na transport. Docieram do miasteczka po zmierzchu – w ciemności kołyszą się pobłyskujące sennie wody rzeki. Mostu nie ma, tylko prom. – A tobie, dziewczyno, nie straszno po nocy wędrować? – dziwi się przewoźnik. Ulitował się, przewiózł mnie za darmo.

Idę przez Niemenczyn – cichy i mimo pomroki biały, bo księżyc kraęlił się w pełni i spadł śnieg – w stronę kościoła, za którym płożył się ze swym umarłym czasem cmentarz, a dalej las pełen wilków i biesów, co przylegają do cieni. „Nikt się nie dowie, jak mnie tu spotka wilk i pożre, a – co najgorsze – Stefan pomyśli, że od niego uciekłam” – takie okropieństwa kołaczą mi po głowie, ale idę, modląc się, żeby przez ten las w całości przejść. Nagle widzę, że z lewej strony, z naprzeciwka, wilk wysuwa szarobury pysk, węższy, kręci się, niespokojny, pobudzony. Truchleję, zamieniam się w posąg, bo ani do przodu, ani do tyłu ruszyć nie sposób. Zastanawiam się, czy on jest sam, czy za nim czai się wataha – wtedy nie miałabym szans. A wilk znów węższy, unosząc pysk, i przesuwa się w moją stronę, nieoczekiwanie potrząsa łbem i zawraca w ciemnicę.

Po latach pewien biolog wytłumaczył mi, że wilk lubi czystą krew, a ja na plecach i nogach miałam wrzody – gdy zdejmowałam pończochy, pękały i sączyła się z nich mętna zropiała ciecz. Pod wpływem tego zdarzenia napisałam kiedyś nowelkę (zamieszczono ją w izraelskich „Nowinach”) o tym, jak człowiek człowiekowi był wilkiem, a raz wilk człowiekowi człowiekiem.



Pewnego dnia dostrzegłam w więzieniu ogłoszenie, że jakiś oficer NKWD tego i tego dnia, w godzinach

takich a takich przyjmuje interesantów. Tej nocy w ogóle nie położyłam się spać, ustawiłam się w długiej kolejce żon, Polek i Litwinek – byłam jedyną Żydówką. Przedstawiam się temu oficerowi, przedkładam zaświadczenie z podpisami ludzi, których Stefan uratował, i przemawiam: – Niemcy zamordowali moich rodziców, krewnych, nikogo oprócz niego nie mam. Jeśli go zwolnisz, będziesz najlepszym człowiekiem na świecie, a jeżeli go nie zwolnisz, to zamknij i mnie. – Nic nie odrzekł, nawet nie podniósł oczu, tylko ze stosu innych wyjął jedną z szarych papierowych teczek, coś na niej nakreślił i odłożył na bok.

Po dziesięciu dniach słyszę strażniczkę z fabrycznej budki kontrolnej: – O, Jezus, Maria, pani Raczyńska, pani mąż wrócił! – Wynędziały, z wklęsłą twarzą, w podartym ubraniu szedł do mnie na chwiejnych nogach. Taki cud.

Ale pod Sowietami, jak przewidział ojciec, żyć się nie dało. Zaraz po wyzwoleniu spotkał nas Abe Kowner, który właśnie wyjeżdżał do Izraela. Poprosiłam, żeby odszukał mojego brata. Zrobił to.

Najpierw w 1958 jako repatrianci przekroczyliśmy polską granicę, potem zaczęliśmy starać się o wizy, bo państwo Izrael już istniało. Jednak przez dwa lata Stefan nie dostawał paszportu, bez przerwy wzywali go do ministerstwa spraw wewnętrznych, a kiedy już go dostał, to w ambasadzie izraelskiej odmówiono

mu wizy. Na szczęście ambasador okazał się kolegą gimnazjalnym mojego brata i sprawę załatwił, tak że w 1960 udało się nam w końcu stanąć na tej ziemi – pustynnej, nieznannej, nomadziej – ziemi wskrzeszonego pragnienia rodziców.



Nie mogliśmy się tu urządzić, bieda ścigała się z tęsknotą. W końcu wujek jednego z chłopców uratowanych przez Stefana zatrudnił go w swoim garażu. Ja roznosiłam rano gazety.

Kiedy powstał Yad Vashem, zapisałam się tam i zaczęłam opowiadać. Proszono, żebym odnalazła ludzi, którzy przeżyli dzięki Raczyńskim, bo moje i Stefana relacje, podobnie jak innych, przyjmowano tu z niedowierzaniem i chłodnym dystansem. – A gdzie wyście byli, jak my tutaj osuszaliśmy błota i chorowaliśmy na malarię? – pytano nieufnie. Dlatego jedni nie chcieli mówić, inni nie byli w stanie – zamknęli tamten okres, wyparli się go, obwarowali milczeniem, nawet dzieciom nie przekazywali prawdy. Dwie rzeczywistości – ich i nasza – potykały się o wzajemne niewyobrażenie: tam, daleko, wciąż wyły wilki.

Tymczasem wujek, u którego pracował Stefan, zawiadomił niemenczyńskich Żydów w Ameryce, że klepiemy biedę: nasze dzieci, w wieku dziesięciu i dwunastu lat, poszły do szkół, a nam często brakowało na chleb. Powiadomieni Żydzi uradzili, że przyślą nam

auto. Nie było jakie – taniego używanego opla kapitana, na sześć osób. Przyszli, ale opłaty celne trzeba było uregulować na miejscu, więc popadliśmy w wielkie długi. Auto stało się lokalną sensacją, wszyscy znajomi chcieli się ze Stefanem przejechać, zachodzili z winem lub wódką, no to musiało się zadbać o zakąski. Żeby przyjmować gości z fasonem tygodniami nie mieliśmy co jeść, chociaż dorabiałam w pralni, a nocami pilnowałam cudzych dzieci.

Kiedyś jeden z uratowanych przez Stefana Żydów, bardzo bogaty, na przyjęcie z okazji bar micwy syna zaprosił wszystkich niemenczynian. A gdy zaczęła się uczta, ludzie nie wokół tego chłopca się skupili, tylko mojego Stefana nosili na rękach i płakali, tak, że on sam o mało nie zemdlał ze wzruszenia.

Po uczcie wróciliśmy do swojej biedy. Przeprowadziliśmy się do tańszego domu – starej chatynki do remontu na zapadłej wsi, żeby zmniejszyć długi, utrzymywać auto i dzieci.

Lata mijały – procedura z przyznaniem Stefanowi medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przeciągała się. W końcu w 1966 przysłano zawiadomienie, ale wówczas wybuchła wojna sześciodniowa i ceremonia wręczenia odroczone.

Stefan dbał o samochód. Siadał za kierownicą i pokonywał przestrzeń. Przygarniała go. W tym kraju, w którym ocaleni z pożogi czuli się zbędni, jedynie

w aucie odzyskiwał ukojenie. W okresie kwitnienia krzewów jakarandy zbieraliśmy z karoserii fioletowe płatki.



W prasie zaczęły ukazywać się historie związane z Polakami. Na przykład ta o Apolonii Ołdak – Sprawiedliwej, która przygarnęła żydowskie dziecko porzucone przez rodziców odtransportowanych do Treblinki. Wychowała je i przywiozła do Izraela, osiedliła się w Ramat Gan pod Tel Awiwem. Jednej nocy na jej mieszkanie napadli rabusie. Policja znalazła ją leżącą i związaną pod ścianą, na której wisiał krzyż. Albo o żonie skatowanej przez żydowskiego męża – dzięki niej uratowanego – wysoko urodzonej Polce, też Sprawiedliwej. Zainteresowano się również kapitanem Kowalskim, polskim oficerem, co uratował ze stu ludzi, a tu żył w nędzy. Zadzwoiłam do zajmującego się tą tematyką dziennikarza i zaproponowałam: – Opowiem jeszcze jedną historię o Sprawiedliwym Polaku, jaki jego los. – Przyjechał, zrobił wywiad. To, co ukazywało się w prasie hebrajskiej, szybko znajdowało oddźwięk w polskiej gazecie, więc zasięg czytelników poszerzał się. Historie krążyły, napierały, wzbierały falą, której nie sposób zawrócić.

W naszym mieszkaniu pojawili się dwaj przedstawiciele parlamentu. – Zróbcie coś dla tych ludzi – zwrócił się do nich mój brat. – Przecież to bohate-

rowie, święci. – Wysłuchali i poszli. Nadal nic się nie działo. Dopiero kiedy ten dziennikarz z gazety porozumiał się z redaktorem programu „Sprawy do załatwienia” – telewizja, dopiero w zarodku, była wielką atrakcją, wszyscy siedzieli przed ekranem – fala osiągnęła apogeum.

Stefan wahał się, czy wystąpić w programie – nie chciał robić wstydu nowemu państwu Izrael. Przekonały go dorosłe już dzieci i redaktor: – Pomyśl o innych, tak można pomóc wielu.

Program na żywo wyemitowano we wtorek, o dwudziestej pierwszej trzydzieści w sylwestrowy wieczór 1985 – ciepły, wyściełany naszymi udręczonymi myślami. Przemówił prezydent Herzog. Później wszystko się odmieniło. W Knesecie debatowano. Ustalono, że wszystkim tym ludziom trzeba przyznać pensje i pomagać im w sprawach bytowych. Rozesłano okólniki do władz samorządowych instruujące, jak się nimi zająć, lecz dopiero w 1995 w parlamencie (jego przewodniczącym był Shevah Weiss) nadano tym przepisom rangę ustawy.

Ja, po wielkich staraniach, dostałam posadę sekretarki w szkole, a następnie w Histadrucie i w Związku Zawodowym Kobiet.

Ale starzeliśmy się już, zaglądaliśmy na drugą stronę. Zmarł kapitan Kowalski, a także pewna Holenderka, chrześcijanka – i nie było ich gdzie pochować.

Kowalskiego przygarnął kibuc na południu, dwie inne osoby – na północy. Ale kibuce są przecież w większości ateistyczne, grzebać w nich wierzących nie wypada. – Co będzie, gdy przyjdzie pora na nas? – zastanawialiśmy się ze Stefanem. Pragnęłam, żeby to było miejsce honorowe: żeby nasze dzieci przychodziły na groby dumne.

A na Litwie umarł ojciec, dziwnie – trafiony piorunem, który nie chciał skryć się w lesie (może zawył tam wilk?) ani w rzece, tylko odnalazł go przed chatą, niosącego bierwiona, żeby nie zamokły od burzowego deszczu. Później, w wieku dziewięćdziesięciu lat, umarła matka. Urodzona w 1900, mawiała: – Ja mam tyle lat, ile widać w kalendarzu. – Dwudziesty wiek wzrastał wraz z nią i niemal równo z nią sięgnął kresu.



Chciałam przybliżyć Stefanowi ducha narodu żydowskiego – pomyślałam, że najlepiej przez poezję. Znałam niektórych poetów piszących po hebrajsku: Bialika, Czernihowskiego i Altermana – zabrałam się do ich tłumaczenia. Przekładałam też na hebrajski polskich poetów, żeby poznały ich dzieci, nie tylko moje: Leśmiana, fraszki Leca, Staffa, mojego ulubionego, nawet w smutku zanurzonego w ozdrowieńczym źródle harmonii.

Stefan nie czuł się dobrze. Byliśmy już na emeryturze, gdy burmistrz Tel Awiwu powołał specjalny



fundusz pomocy Sprawiedliwym i sprowadził nas do miasta. (Wynajęliśmy mieszkanie – urząd dopłacał do czynszu). Zaczęłam udeptywać ścieżkę do magistratu z nową sprawą: miejsca na cmentarzu. Właśnie runęła wieść, że pewną chrześcijankę, którą pochowano na cmentarzu żydowskim, nie znając jej wyznania, odkopano i przeniesiono na cmentarz arabski. Stefan bardzo się tym przejął. Wezwał dzieci i wyraził ostatnią wolę: – Jeśli nie da się załatwić miejsca tutaj, to po mojej śmierci zawieźcie mnie do Niemenczyna. Na cmentarzu przy kościele jest działka Raczyńskich, tam znaleźli spoczywanie moi rodzice i dziadek.

Burmistrz rozkładał ręce, w końcu zwrócił się do rabinów. Najpierw nie chcieli słuchać: – Przecież to goje! – Ale rabin Tel Awiwu Lau nie zaznawał spokoju, radził się różnych mędrców. Raz, o drugiej w nocy, zadzwonił do burmistrza: – Znalazłem!

O, mędrco! Któż przeceni waszą roztropność, pojemność waszych serc, piękno waszych sumień. Oto Termutis, córka faraona – tego, co ze strachu przed spełnieniem przepowiedni o narodzinach wielkiego Izraelczyka wydał rozkaz zabicia wszystkich noworodków – zażywając ze swoją świtą kąpeli nad jedwabistymi wodami Nilu, znajduje w wiklinowym koszu dziecko, umieszczone tam przez ratującą jego życie matkę. Córka faraona, urzeczona urodą noworodka, nazwanego później Mojżeszem, obdarza go miłością

i wychowuje na następcę króla Egiptu. Ten, na skutek zawikości losu, wiodąc życie pasterza, oddała się w pustynne, samotne miejsce góry Synaj, gdzie w gorejącym, lecz nie spalającym się krzaku rozpoznaje Boga. Co począc z córką faraona, która ocalała największego żydowskiego proroka i wodza? Uznać, że jest święta – Sprawiedliwa wśród Narodów Świata, rzekli mędrzy, a żeby orzeczenie to nie zapodziało się w zawierusze dziejów, zapisali je w księgozbiornie przykazań, przepisów i zasad, jakimi wypada kierować się bogobojnym – księgozbiornie, który tamtej nocy studiował rabin Lau.

Tak to dzięki jego odkryciu na cmentarzu wydzielnio działkę dla chrześcijan, z miejscem dla żydowskich mężów i żon. U jej wejścia widnieje napis: „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata mają prawo do tamtego świata”. Pierwszego chrześcijanina pochowano tam w latach dziewięćdziesiątych, Stefan był trzydziesty drugi. Umarł pod koniec listopada 1995. Tęsknię za nim. Nie ma dnia bez tęsknoty, która siada ze mną do stołu, oblepia powietrze, głośnie, natarczywie milczy.

Historia Szoszany (Zuzanny) Raczyńskiej, zmarłej w 2007.

זכר  
זכר  
זכר  
זכר  
זכר



**Z**sześciorga rodzeństwa byłem najmłodszy. Beniaminek. Podobno siostra chciała mnie kiedyś udusić, bo chadzała już z kawalerami i wstydziła się stale kręcącego się wokół berbecia. Coś ją jednak powstrzymało – tak że od początku towarzyszyło mi szczęście.

Urodziłem się w Warszawie przy ulicy Towarowej dziesięć. Wspólne podwórze łączyło Sienną cztery, przy której ojciec prowadził restaurację, Zielną dwadzieścia i Marszałkowską sto dwadzieścia pięć. Pod tym ostatnim numerem działało kino Capitol – często do niego chadzałem. Ekran przenosił mnie w przestrzenie znane tylko drugim stronom luster. Miało się wrażenie podglądania świata istniejącego równoległe, lecz w ukryciu, jedynie od święta zdejmującego czapkę niewidkę za przyczyną promieniującego ostrym światłem projektora.

Uczęszczałem do prywatnej szkoły w Warszawie, z przedmiotami wykładanymi po polsku, ale uczo

też hebrajskiego i Biblii. Soboty i niedziele spędzaliśmy w Otwocku, gdzie ojciec miał rozlewnię piwa, którą pomagali mu zarządzać mój starszy brat i siostra. Kąpaliśmy się w Świdrze, jeżdżąc konno. Plusk wody poruszanej końskimi kopytami brzmiał jak śmiech. Liście wierzby i olch szeleściły poufnie, miękko i dźwięcznie – jakby między gałęziami zawieszono flety. Tak odzywa się szczęście.

Na krótko przed wybuchem wojny przenieśliśmy się do Otwocka i tam, dziesięcioletni, zacząłem chodzić do szkoły powszechnej. W miasteczku były cztery takie szkoły, w tym dwie dla dzieci żydowskich, ale do mojej uczęszczało też nieco Polaków. Póki co nie nękały nas problemy materialne. Drugie śniadania oddawałem w szkole koledze z biednej rodziny, a sobie kupowałem słodycze. W szynkach i gospodach podpici mężczyźni gadali, że wojna – której oddech przywiewał suchy, późnosierpniowy wiatr – też na coś się przyda, bo ludzie pomrą i stanieje chleb. Starszych na myśl o przyszłości ogarniała groza. Jako nieliczni w mieście mieliśmy radiodbiornik, więc słuchaliśmy szczekania Hitlera. Jesień ścieliła się w duchocie – zastygła, brzemienna.

Pewnego piątku nad ranem obudził mnie odgłos podobny do walenia młotami, tuż obok. Okazało się, że to bombardowanie – trafili w żydowski dom sierot Centos, zginęło kilkoro dzieci. Wybuchła panika, a wraz z nią pogłoski, że Niemcy są tuż, tuż.

Uciekliśmy do pobliskiego lasu. Ukrywaliśmy się tam około tygodnia. Z przyległych pól wykopywaliśmy kartofle i zrywaliśmy pomidory. Nigdy już takich nie jadłem: w ich słodkim, jędrnym, pachnącym miąższu zawierała się esencja dojrzałej ziemi, smak życia. Raz, gdy z jedną z koleżanek kucaliśmy przy krzewach, koło nas świsnęły kule i dziewczynce oberwało z pantofla obcas. Zwaliśmy co sił. Wówczas starsi uznali, że dalsze siedzenie w lesie nie ma sensu i wróciliśmy do domu. Tego samego dnia Niemcy wdarli się do sąsiada i zastrzelili psa. Jednak jednostka, która kwaterowała w Otwocku, składała się przeważnie z przyzwyczajonych ludzi. Chcieli się zaprzyjaźnić, przychodzili do nas na piwo. Kiedyś jeden załkał: – Narzekacie teraz, że to czy tamto wam zabieramy, ale tu nie o przedmioty chodzi, Hitler zamierza wymordować wszystkich Żydów. Ja płacę razem z wami. – Płakał, bo nie wierzył, że jest na świecie siła zdolna führera pokonać.

Gdy do ich koszar przyjechało gestapo i zakazało kontaktu z Żydami, sprzeciwili się: – Chodzić na piwo do Gilbluma nam nie zabronicie.

Z urlopów i przepustek przywozili nam pamiętki. Dali mi szesnaście albumów z plakietkami, nalepkami i znaczkami, bez trudu też dostawaliśmy przepustki – dało się żyć. Aż z Warszawy ludzie przyjeżdżali podziwiać, bo tam akcja zaczęła się w lipcu 1942 (jeszcze wtedy Żydzi zgłaszali się do Niemców na ochotnika,

wabieni obietnicami dodatkowych przydziałów na chleb i marmoladę). Jednak bezustannie trwały dyskusje, czy zostać tu, czy jechać do Warszawy.

Tak mijały dni. Żyjąc w dobrych warunkach, człowiek oddala od siebie wizję końca, przyzwyczajają się do szczęścia.



Co to jest niemiecka okupacja, poczuliśmy, gdy do miasteczka wprowadzono jednostkę SS. Chodzili od domu do domu, nocami zabijali śpiących. Zgonili ludzi na rynek, kilku pokazowo zastrzelili. Schowałem się wtedy, a brat poszedł na polski posterunek i wsadzili go do ciupy. Zabierali futra, złoto, wszystko, co miało wartość. Powstała nawet piosenka: „Trzeba oddać buty, narty, a z nartami taka bida na półtora Żyda”. Powołano Judenrat.

Rozpoczął się okres wysiedleń. Rozeszły się pogłoski, że wiozą Żydów na śmierć, ale ludzie nie dawali temu wiary. (Człowiek zaprzecza strasznym rzeczom, straszne rzeczy są jak gład u szyi, ciągnący w dół, kruszący pod stopami ziemię). Z czasem uwierzyli. Judenrat miał regularnie dostarczać czterysta osób do obozu pracy – gdy nie dostarczał, zabierano lub od razu zabijano jego członków. W pewne sobotnie popołudnie zgarnęli zastępcę komendanta policji żydowskiej – podobno istniał zatarg między nim a komendantem i ten go zadenuncjował. Mimo to postanowiliśmy



zostać w Otwocku, gdzie mieszkało tyle samo Żydów, co Polaków – chociaż to nieprecyzyjne określenie, przecież my też byliśmy Polakami.

Żydom nie wolno już było prowadzić żadnych interesów, dlatego ojciec wpadł na pomysł, że zamiast przekazać firmę Niemcom przechowa ją w prosty sposób, oddając niejakiemu Piszczalowskiemu, PPS-owskiemu aktywiście i niby wielkiemu przyjacielowi Żydów, bo przed każdymi wyborami odwiedzał bożnicę, a w swoim przedsiębiorstwie ich zatrudniał. Ale szybko zaczął się przechwalać, że niedługo to on będzie panem piwiarni, o czym donosiła nam Aniela, nasza pomoc domowa, bardzo oddana. Dlatego ojciec w ostatniej chwili poszukał kogoś innego.

Marceli Górski zarządził świnie i był właścicielem jatki na bazarze. Nie utrzymywaliśmy ze sobą bliższych kontaktów, bo jak każda tradycyjnie pobożna żydowska rodzina wieprzowiny nie jadaliśmy. Dlatego gdybym wierzył w Boga, wywnioskowałbym, że to On kazał memu ojcu przepisać na tego człowieka rozlewnię. Trzeba było przenieść ją na jego terytorium z całym oprządkowaniem. Obejście Górskiego od getta dzielił tylko parkan. Siostra, brat i ja wyrobiliśmy sobie przepustki jako pracownicy rozlewni – nielegalnie, bo na każdej widniał podpis szefa urzędu pracy Dietza, który takich dokumentów już nie sygnował – a także miejscowego komendanta policji

i komendanta wojska. Każde fachowe oko odkryłoby, że podpisy są fałszywe. Odchylaliśmy zatem w parkanie dwie sztachety i tak przedostawaliśmy się do zakładu.

Dietz nie dawał jednak Górskiemu spokoju: zapowiedział, że nas znajdą i zabiją. Raz podjeżdża ciężarowym citroenem. (Zaskoczył nas, nie zdążyliśmy uciec). Wchodzi i wskazuje na mnie: – Ty jesteś mały Gilblum.

Wśród oficerów towarzyszących Dietzowi był pewien kapitan, który znał polski i bywał u Górskich. Teraz wrzeszczy na mnie: – Załaduj mi tu natychmiast skrzynki z piwem! – Ciężarówka była dość wysoka, niezgrabnie mi to idzie, a ten krzyczy: – Co ty tak po żydowsku te skrzynki stawiasz?! Równy ładuj, jak należy!

Załadowałem, wspiąłem się na samochód, kapitan szybko ruszył. Podwiózł mnie do szlabanu. Wyskoczyłem błyskawicznie. Tak uratował mi wtedy życie – nie opuszczało mnie szczęście.



Do likwidacji getta żyliśmy jak królowie. Górski płacił nam uczciwie połowę zysku, jakbyśmy byli legalnymi wspólnikami. (Piszczalowski tymczasem przejął od jednego Żyda skład drewna i go wypędził). Tuż przed rozpoczęciem akcji znów zwróciliśmy się do Górskiego: – Pomóż. Ukryj nas. – Złapał się za gło-

wę: – Was jest osiem osób, a tu pełno pracowników, Niemcy kręcą się od rana do wieczora. Jednego to na strychu jakoś przechowam, ale nie tyłu.

Nie chcieliśmy się rozłączać i zeszliliśmy do schronu, który od jakiegoś czasu budowaliśmy z sąsiadem. Jego bazę stanowiła lodownia rozlewni, duża, głęboka, z dwiema izbami. Prowadziły do niej normalne schody. Zamurowaliśmy jedno wejście, a oddzielne, zamaskowane, wyszykowaliśmy z przeciwnej strony – zastawiały je beczki i kłapa z zamkami, żeby nikt się nie domyślił. Schron był już na ukończeniu, gdy nastąpiło wysiedlenie z otwockiego getta. Poprzedziły je złowróżbne zdarzenia. Osiemnastego sierpnia wraz z kilkoma oficerami pojawił się Niemiec dowodzący akcją w Warszawie i zażądał w urzędzie gminy planów miasta. Po drodze zabili jakiegoś żebraka – leżał skulony w kałuży krwi jak owoc w rozmiękłym mięszu.

Przygotowaliśmy trochę chleba, cukier dla piętnastu gąb, czyli dla naszej rodziny i sąsiada, ale inni zdążyli dostrzec krzątanie wokół budowy i koniec końców do kryjówki weszło ponad czterdzieści osób – zatem nasz zapas jedzenia mógł starczyć na jeden, dwa dni.

Umówiliśmy się z pewnym żydowskim policjantem, że będzie informował nas, co się dzieje. Przez trzy doby nie przychodził. W końcu puka w uzgodniony sposób i wybucha płaczem: – Miałem matkę, żonę i córkę.

Osobiście wsadziłem je do wagonu, a kiedy chciałem do nich dołączyć, ściągnęli mnie z powrotem. A przecież przyrzekli, że rodziny policjantów, którzy dobrze wykonują obowiązki, będą mogli zostać. – Opowiadał i chlupał. Dodał jeszcze, że z siedemnastu tysięcy Żydów w Otwocku zgłosiło się zaledwie osiem tysięcy, reszta się ukrywa.

Tymczasem w sąsiednim domu kopano pod podłogą otwór i zawaliła się ubikacja, więc Niemcy wraz z pomagierami, przeszukując mieszkanie po mieszkaniu, natrafili też na naszą piwnicę – a tam wszystko posypane świeżym piaskiem. Słyszymy, jak policjant, Polak, nazywał się Lewandowski, mówi do kompana: – Oni tu siedzą, wyciągnij ich. – Gównno, tu nic nie ma – na to tamten. Dzieli nas od nich tylko cienka warstwa z cegły. Raptem zaczyna grymasić czteroletni synek siostry, ktoś pokazuje na migi, że trzeba go udusić, mój ojciec protestuje i chłopiec uspokaja się – zamiera z przeczucia śmierci. (Na tej samej ulicy ukrywała się rodzina Grycmanów i tuż przed wkroczeniem Niemców inny ojciec udusił swoje dziecko. Przeżył, a potem zwariował. Obłęd to błogosławiona forma samoobrony, jak projektor w kinie potrafi przenieść w inną rzeczywistość, wznieść mur przesłaniający rozpacz).

– Jedno tylko mogę wam poradzić – podsumował nasz zbolały policjant – zdobądźcie tabletki, otrujcie się, żeby was nie wzięli żywcem.

Szukaliśmy jednak innego sposobu, bo, jeśli się je ma, niełatwo porzucić wiarę w szczęście.

Nazajutrz Górski zapłacił dwóm polskim przewodnikom, żeby nas przeprowadzili do wsi Kołbiel – około dwadzieścia kilometrów od Otwocka. Niemcy codziennie wyłapywali w miasteczku dwieście, trzysta osób na rozstrzelanie. Z czasem Żydzi, którzy już nie mieli środków do życia, przyodziawszy się w śmiertelne szaty, sami zgłaszali się na posterunek – zebrało się ich kilkuset. Wówczas lekarz wojewódzki doniósł w liście do władz, że z powodu nadmiaru zwłok lada chwila wybuchnie epidemia, więc tych, którzy czekali na zagładę, załadowali na ciężarówki i wysłali do Kołbieli. Stąd wiedzieliśmy, że Żydzi jeszcze tam są.



Szliśmy przez całą noc. Po drodze mijaliśmy rozświetloną posesję Dietza. Grała tam orkiestra. Złote poblaski w oknach figlowały jak wyszczerzone zęby diabłów.

Dokuczało mi straszne pragnienie, przykucnąłem przy kałuży błota i włożyłem w nią twarz. Odtąd kałuże typią do mnie mokrym, mętnym okiem ukojenia.

W Kołbieli mieszkańcy, którym zapłaciliśmy za lokum, przyjęli nas jak turystów. Żyło tam spokojnie – poza gettem, poza obozami – parę żydowskich rodzin, jakby na zawieruszonej, odłączonej planecie. I gdyby w Kołbieli nie zebrało się tylu uciekinierów,

prawdopodobnie nikt by ich nie zauważył. A tak czuliśmy już w powietrzu swąd posępnej przepowiedni. Wiedzona tym przecuciem moja rodzina posłała do Górskiego umyślnego. Wrócił z listem: „Poczekajcie kilka dni, coś dla was szykujemy”.

Górski miał w Otwocku niezamożnego krewnego, któremu przyrzekł dwa tysiące od łebka miesięcznie za ukrywanie nas – w sumie wychodziło szesnaście tysięcy na żywność i utrzymanie. I ten krewny, Stanisław Krup, zgodził się. Tak to tuż przed akcją wymknęliśmy się z planety namierzonej już przez machinę zagłady.

W dniach poprzedzających akcję pod przyłęsną kapliczką rozstrzelano kołbielskich mężczyzn podejrzewanych o przechowywanie Żydów. Trafiono też w metalowy krzyż. Zwłoki usunięto, a on tam został z rozbitą czaszką Chrystusa. Leżał jeszcze długo, zanim zastąpiono go innym, z Jezusem całogłowym.



W pierwszym okresie Górski płacił krewnemu z własnych pieniędzy, a zysk dzielił nadal sprawiedliwie: pół na pół. – To ty nam przysyłaj tylko połowę z naszej połowy – zdecydował ojciec. Od tej pory Górski sam zaopatrywał nas w jedzenie przy pomocy kuzynki Polci, fajnej dziewczyny.

Nasza kryjówka, zasiedlona już przez pluskwy, miała wymiary metr osiemdziesiąt na trzy. Rozmawiali-

śmy w niej cichutko albo na migi, żeby sąsiad obok niczego się nie domyślił, bo zaglądał często do Krupa i zrzędził podejrzliwie: – Słuchaj, Stasiu, jak was nie ma, to ja tu głosy słyszę.

– A bo ty nie wiesz, że u nas w kominie straszy? – odszczekiwał się Krup. Dobrze, że ludzie w takie rzeczy wierzyli. A w kominie zainstalowane były drzwiczki do podawania nam jedzenia.

Prawie zawsze razem z posiłkami gospodarze przynosili złe wiadomości; patrzyliśmy tylko, czy temu, co odbiera prowiant, trzęsą się nogi czy nie. Kiedyś przez tydzień nic nie przynosili, aż w drzwiczkach pojawiła się pewna dziewczyna, której Krupowie powierzyli tajemnicę. Mieszkała w pobliżu i była mniej więcej w moim wieku. Raz pokłóciła się w domu i zeszła do nas. Trzy dni jej szukali. Dla mnie okazały się one pamiętne – straciłem wtedy cnotę.



W tym czasie nasz gospodarz zażądał od Górskiego więcej pieniędzy, twierdził – i po części miał rację – że dużo ludzi już o kryjówce wie, dlatego on, Krup, musi postawić nowy dom, a jak nie, to wyprowadzi nas na podwórko rozlewni. Na dowód, że nie żartuje, wpakował nas w zimie do pustego budynku należącego kiedyś do getta. Omal nie pomarzliśmy na śmierć. Żeby się ogrzać, złapałem za przewody elektryczne (bo tam nie było kontaktów), aż się rozżarzyły. W tym

pomieszczeniu Krup miał niegdys nielegalnie zboże, stąd te druty na wierzchu, a kiedy przychodziła kontrola z elektrowni, dawał łapówkę i tak to się kręciło. – Co wy wyprawiacie, na słupie iskry widać! – rozsierdził się teraz i zabrał druty – tak zostaliśmy bez prądu, nawet wody nie dało się już podgrzać na elektrycznej kuchence.

W ten sposób upłynął rok. Krup od czasu do czasu różnym ludziom płacił za milczenie, a my drżeliśmy, że ktoś nie da się przekupić. Wtem pojawiły się afisze. Niemcy zapewniali, że wiedzą, ilu Żydów ukrywa się u Polaków, ale jeśli dobrowolnie się ujawnią, obejmie ich amnestia, bo potrzebne są ręce do pracy. Postanowiliśmy się zgłosić, nie dlatego, że im uwierzyliśmy, ale dlatego, że w takich warunkach nie chciało się już podtrzymywać wiary w szczęście. Przekazaliśmy Górskiemu naszą decyzję. Odparł, że ktoś musi oznajmić to jego żonie, bo sam nie ma śmiałości.

Janina Górka modliła się do wszystkich świętych, którzy na obrazach wiecznie otwarte oczy wznoszą do nieba. – Chcecie umrzeć? – spojrzała na nas podobnym wzrokiem. – To wasza decyzja, ale jeśli zrobicie to po tym, co dla was uczyniłam, zabijecie też mnie.

W takiej sytuacji nie wyszliśmy – tak znów przemówiło szczęście. Dosiedzieliśmy do lipca 1944, do wyzwolenia Otwocka od Niemców. Kryjówki nie opuszczaliśmy jeszcze przez tydzień, bo Krup przestrzegał,



że na zewnątrz grasują różne bandy i mogą nas zabić. Dyżurowaliśmy zatem przy okienku, ale już na górze. Raptem rozpoznaję przez szybę znajomego Żyda, idącego spokojnie ulicą, i wybiegam na szosę pełną Rosjan. Któryś, pijany jak bela, chwali się: – A piłem tu, u Jewreja. – Czyli u nas pił, w naszej knajpie, bo Russek nie powie Żyd, tylko Jewrej. Lecę więc do knajpy, a tam mnóstwo kiełbas, kaszanek, mięsiwa, piwo, śpiewy, wśród biesiadników kantor z Warszawy. No to w te pędy wracam z nowinami do swoich, a oni znowu siedzą w kryjówce: cisza kompletna, kłapa zamknięta. Na dole ojciec szłocha: owszem, wyszli, odwiedzili znajomego, ale wtargnęli tam jacyś dzicy i chcieli ich utłuc, cudem umknęli przez tylne drzwi.

Znowu pobiegłem do Rosjan, do piwiarni. – Chodź ze mną – namówiłem jednego. – Zaśpiewaj mojemu ojcu. – Zgodził się i, nie rzekłszy słowa wstępu, zaśpiewał. Śpiew rozczulił powietrze i wszyscy złagodnieli.

Nazajutrz pojechaliśmy ciężarówką do Lublina, jedynego większego miasta wyzwolonego, dokąd z małych miejscowości zjeżdżali Żydzi. Zaczęły się modły i odnajdowanie życia.



Po wojnie utrzymywaliśmy z Górskimi stały kontakt. Później nie było już takich możliwości: w Izraelu nic nie miałem, siedziałem w kibucu, ale zaraz po jego opuszczeniu napisałem do Janiny (Marcel już nie żył).

Po wojnie sześciodniowej komunistyczne władze w Polsce zakazały nawet listów i nastała cisza.

W czterdziestą rocznicę powstania w getcie przyjechałem do Warszawy po raz pierwszy od wojny. Szukałem Janiny, bez skutku. Pomogła mi dopiero bardzo operatywna koleżanka, od której pewnego dnia dostałem list z aktualnym adresem naszej wyba-wicielki. Mieszkała na Rakowieckiej, róg Puławskiej. Wystaraliśmy się dla niej o odszkodowanie z instytucji amerykańsko-izraelskiej. Zdenerwowałem się, bo dostała dwadzieścia dolarów. Po moim proteście odpisali, że nie mają funduszy, więc dołożyłem swoje trzydzieści dolarów i od czasu do czasu wysyłałem paczki. A ona powtarzała, że jest stara i samotna, i niczego nie potrzebuje, a my mamy przecież wnuki.

Górcy otrzymali tytuł Sprawiedliwych i odbyła się uroczystość w Yad Vashem, ale Janina cierpiała na silną astmę i z podróży zrezygnowała. Jej i Marcelego drzewka rosną krzepko, dorodnie.

Ja zaś czuję się szczęśliwy. Bo jak los, który spotka cię z prawdziwym człowiekiem, nie nazwać szczęściem?

Historia ocalenia Avrahama Gilboa (Artura Gelbluma), zmarłego w 2010.



Cieszyn, rok 1938,  
Henryk Sławik z żoną Jadwigą, autor nieznany.

אש

לך

שם



שם, אשר יש  
שמותם



**Z**e wspomnień Henryka Zvi Zimmermana: „Zegar mojego życia wybijał uporczywie: «Tam, gdzie był początek, tam jest zakończenie, ale gdzie zakończenie, tam też nowy początek»”.

Dwie fotografie z roku 1943, z Budapesztu. Na pierwszej typ amanta w zgodzie z wymogami międzywojennej elegancji: wysokie czoło, wąsik, wzrok chwacko wbity w obiektyw. Zimmerman, prawnik, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, ma trzydzieści lat.

Druga fotografia. Postać masywna, twarz okrągła, wylewająca się szczerze z konturów jak u wiejskich plebanów – tych, co zakasując sutannę, z posługą do chorych jeździli rowerem. Sławik, poseł do Sejmu Śląskiego, przekroczył czterdziestkę.

Poza ciężkimi, skondensowanymi spojrzeniami ich obu zdjęcia nie zdradzają żadnej wspólnoty losu ani czasu. Żadnego początku.



Miriam Zimmerman – drobna, wyprostowana, oczy chłonne, ciche, współniczka w poszukiwaniach

początku i dalszego ciągu – zaznacza, że jej pierwsze zdjęcie z Krynicy Górskiej datuje się na rok 1936, dokąd, małeńka, przyjeżdżała z rodzicami na letnisko, jak wiele żydowskich rodzin z Krakowa. Do śmierci męża spędzali w Polsce co najmniej dwa miesiące i Henryk irytował się, że Krynica nie jest na świecie doceniana, bo w czeskich Karłowych Warach na przykład bije tylko jedno gorące źródło, w Krynicy aż siedem – biją bezgłośnie, uparcie, rytmicznie ze źródeł swojej historii, ze swego początku, dokarmiając korzenie lasów. W okolicznych lasach rosną wciąż drzewa z tkliwą, próchniejącą pamięcią, sześćdziesięcio-, siedemdziesięcioletnie – kustosze okraszanej żywicą śmierci. Henryk Zimmerman opowiadał Miri o tamtych sosnach, jodłach, świerkach, jak pachniały.



Z woli matki zwany Herszele, urodzony w 1913 w Skale nad Zbruczem na Podolu jako szóste, najmłodsze dziecko przedsiębiorcy zbożowego, rodziców prawie nie znał, bo umarli w czasie epidemii cholery. Nie zachowały się ich fotografie, jedynie głos matki, Pesi, z domu Biterman, niezbadanym sposobem przeniknął do uszu niespełna dwulatka niskim, nosowym, równym śpiewem: „Pan Bóg stworzył chłopczyka, chłopczyk zwał się Herszele, Herszele miał żyć i rosnać, rosnać”. Wychowywany przez starsze



rodzeństwo, popołudniami uczęszcza do szkoły hebrajskiej, rano do polskiego gimnazjum, gdzie na przerwach i potańcówkach nuci się piosenki Hanka Ordonówny. Przed wyjazdem na studia do Krakowa żegnają go hucznym refrenem do melodii starej żydowskiej pieśni: „Jak Żydek umie tylko grać, to w świecie on nie zginie. Pamiętaj, kto ci skrzypce dał i co twój tata grał”. Struny skrzypiec w kulturowej symbolice przędą tony pomyślności, harmonii.

Głos matki, skrzypce – początek.



Zaraz po tym, jak na nocnym niebie widuje się kometę – wedle określenia PPS-owskiej „Gazety Robotniczej” (Sławik jest jej redaktorem) „owego zwiastującego trwogi i nieszczęścia tajemniczego włóczęgę wszechświata”, który wznieca półgłębne, zawieszane rozmowy – wybucha wojna. Po agresji Sowietów na wschodnie tereny Rzeczypospolitej przez most graniczny w Czeremoszu ewakuuje się cały polski rząd, apelując uprzednio o rozwiązanie się jednostek armii polskiej i przejście najkrótszą drogą do Rumunii i na Węgry. Polacy ciągną przez Przełęcz Użocką, Tucholską, Wyszowską i Tatarską najpierw w małych, potem w coraz większych grupach. Idą żołnierze z oddziałów frontowych w brudnych, zakrwawionych bandażach, idą cywile gołymi rękami wygrzebujący i całujący ziemię tuż przed granicznym szlabanem,

zawiązujący jej grudy w gałgany i onuce. Wielu, już po węgierskiej stronie, zdiera wyschniętą ziemię z kół wozów armatnich i ciężarówek. Modlitewnie lamentują kobiety, uchylone usta śpiących, niesionych na rękach dzieci śnią zapach mleka. Węgierskie wieśniaczki wychodzą na granicę z saganami gorącej zupy i chlebem. – Biedni wy – współczują w swoim języku.

W październiku 1939 na Węgrzech jest już pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy polskich obywateli, dziesięć tysięcy z nich to Żydzi – głównie żołnierze rozbitej armii. W Budapeszcie wciąż działa konsulat, bo między Polską a Węgrami nie ma stanu wojny, rządzi niechętny hitlerowcom Pál Teleki. Budapeszt żyje Polakami, jego elita zajmuje się Polakami, dla Polaków zbiera się odzież, organizuje przerzut mężczyzn do wojska na Zachodzie. Co zamożniejsi urzędnicy zlikwidowanych polskich instytucji cywilnych i wojskowych (– Prochu nawet nie powąchal – pokpiwają frontowi.) – z rodzinami, pieskami, papugami, pierzynami, klejnotami, pawimi piórami, patefonami, portretami przodków i zasklepionych w pozłacanych ramach martwej sielskości krajobrazów – zagnieżdżają się w pensjonatach i hotelach. Młodzi w nocnych klubach, pocieszani przez smagłe, czarnookie dziewczyny, że wojna szybko się skończy, sączą cierpkie wino.

A uchodźcy wciąż napływają. Po stronie węgierskiej służby graniczne dzielą ich na cywilnych i wojskowych i kierują do prowizorycznych obozów. W przepelnionych obozach ludzie awanturują się, modlą, przeklinają, piją. Jedni chcą wracać do Polski, do swoich domów, do rodzin, drudzy rwą się do Francji, bo tam prędzej czy później zorganizuje się polska armia.

Dwudziestego pierwszego września 1939 po trzydniowej przeprawie przez Karpaty (pogoda sprzyjała, tylko nocami smagał chłód i w czasie krótkich postojów grupki wędrowców skupiały się wokół przyśkalnych palenisk jak rozbitkowie uchwyceni tratwy) węgierską granicę przekracza Henryk Sławik, PPS-owiec, urodzony w 1894 w śląskiej wsi Szeroka, chłopski syn o fizjonomii plebana, samouk – ten, który niespełna cztery lata później będzie pozować do drugiej fotografii z początku tej historii, i o którym jego imiennik Henryk Zvi Zimmerman powie po latach: – Doznałem magnetyzmu pierwszego wrażenia.



Zanim do tego dojdzie, w łańcuchu zdarzeń musi nastąpić nieuchronna zmowa ogniów.

Ogniwo pierwsze: ruch oporu. Decyzją żydowskiego podziemia Zimmerman przyjmuje stanowisko kierownika opieki społecznej przy Judenracie w krakowskim getcie. W kuchniach i placówkach instytucji zbierają się konspiratorzy: żydowscy i polscy inteligenci.

Ogniwo drugie: propozycja. Blisko czterysta kilometrów na południe Niemcy, rozwścieczeni ostentacją, z jaką węgierska elita pomaga Polakom, żądają likwidacji konsulatu w Budapeszcie. W tej sytuacji rząd emigracyjny powołuje nowe przedstawicielstwo: Komitet Obywatelski dla Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami. W jego skład wchodzi przedstawiciele najważniejszych ugrupowań przedwojennego sejm. Jesienią 1939 József Antall, który sprawuje pieczę nad uchodźcami z Polski z ramienia węgierskiego MSZ, wizytując obóz w Helembie po lewej stronie Dunaju, poznaje Henryka Sławika. W blaszanym baraku duchota. Sławik w przedwojennej granatowej marynarce uszytej przez krawca Hipolita Purzyckiego, teścia – marynarce, co reprezentuje ciągłość odłączonego, pogwałconego świata, jego powinności, struktur i manier – przedstawia wizję przetrwania: wojna będzie długa, żeby pokonać marazm, pijaństwo, rozpacz, trzeba pozwolić uchodźcom pracować, uczyć się, żyć w dyscyplinujących rygorach. Antall proponuje: niech Sławik zajmie się Polakami na Węgrzech i wesprze w ten sposób tutejsze władze, ale uprzedza: Niemcy zastrzegli, że można pomagać tylko chrześcijanom. Sławik odruchowo zapina marynarkę.

Ogniwo trzecie: ucieczka. Po likwidacji krakowskiego getta w 1943 Zimmerman znajduje się w obozie koncentracyjnym w Biezanowie. Jednej nocy, skatowany

przez komendanta Amona Götha, zapada w ciężką skołowaciałą nieprzytomność. Ze snu wypęłza śpiew: „Herszele miał żyć i rosnać, rosnać”. Głos cętkuje ciemność, zastyga w jaśniejącej smudze na barakowym suficie, ożywia ciało dziwnym, masywnym spokojem.

Tamtego dnia strażnicy gwizdzą na robotników pracujących na torach kolejowych poza lagrem, dając sygnał do powrotu. Mleczy się i skupia mgła, poszczekują psy, szelest liści omiata spowolniałe kroki. Naraz wszystko to oddala się, rozmięka, niknie. Herszele czołga się przez zarośla w stronę szosy, a głos toruje drogę: „Herszele miał żyć, żyć...”. W godzinę później uciekinier z Julagu III w Biezanowie staje w progu mieszkania druha z konspiracji, Polaka, członka Żegoty, i wytycza (głos wypełnił powinność) nowy początek: – Przerzucicie mnie na Węgry.



Antyfaszysta Pál Teleki doświadcza w tym czasie czarnej ulgi końca: po tym, jak przegrywa polityczną walkę o neutralność kraju i staje się jasne, że niemieckie oddziały pomaszerują przez Węgry na podbój Jugosławii, strzela sobie w łeb. Urząd premiera obejmuje prohitlerowski László Bárdossy. Węgierska „dwójka” depte po piętach Polakom i Węgom podejrzanym o działalność spiskową. Z Generalnej Guberni przez zieloną granicę przedziera się coraz więcej Żydów z likwidowanych gett – węgierska straż graniczna przepędza

ich na Słowację, tu są rozstrzeliwani lub zawracani do Polski, co też oznacza śmierć, zwykle po torturach, bo gestapowcy usiłują wydobywać informacje o siatce pomocy Żydom. W siedzibie Komitetu Obywatelskiego dla Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami przy Geza utca pięć Sławik strzepuje z marynarki niewidoczny pył. Zza ściany dobiega rytmiczny, otępiający, nieustający pogwizd pracującego powielacza, z którego ześlizgują się kartki z modlitwą *Ojczy nasz*, żeby ci, co dostają katolickie papiery, bezbłędnie ją recytowali. We władzach Komitetu wrze, protestują przedstawiciele endecji: gremialne zaopatrywanie w lewe papiery także Żydów o złym wyglądzie prowokuje katastrofę, Niemcy zażądają od Węgrów zamknięcia Komitetu, a wtedy tysiące uchodźców zostaną na lodzie, ucierpi działalność konspiracyjna, ludzi, udręczonych przedłużającą się rozłąką z krajem i bliskimi, pozbawionych przedstawicielstwa, ogarnie epidemia szaleństwa.

Sześćdziesiąt lat od tamtych wydarzeń na tarasie hotelu Continental w Krynicy Henryk Zimmerman będzie powtarzał to samo, co wtedy w dyskusjach ze współnikami z podziemia: – To nie byli antysemita, kierowali się patriotyzmem, nawet jeśli nie lubili Żydów, to sprzeciwiali się ich mordowaniu, lecz istniała granica, której przekroczyć, zgodnie z własnym sumieniem, nie mogli. Z sumieniem się nie dyskutuje, nie ma wyższej instancji od sumienia.

Sławik jeszcze nie zna Zimmermana, nie słyszy tych słów. Przyjmując, po rekomendacji Antalla, pełnomocnictwo polskich władz na emigracji do kierowania Komitetem, jest świadom trudności, jakie napotka „problem żydowski” („problem żydowski” – eufemizm na użytek salonowych dysput, dyplomatycznych uwag i publicystycznych wywodów). Do tej pory udawało się kanalizować nastroje. W „Wieściach Polskich”, gazecie dla uchodźców, Sławik tłumaczył: „Dla nas uchodźca żydowski jest takim samym obywatelem jak każdy inny. Dzielimy się jednak na dobrych i złych Polaków”.

A po Budapeszcie grasują już bojówki Ferenca Szálasiego, wyłapują Żydów, spory w Komitecie nasilają się. Sławik jest przekonany, że atmosferę stonowałyby oficjalne instrukcje z Londynu, dokąd, opuściwszy Francję, ewakuował się rząd emigracyjny. Łączność szwankuje. Budapeszt zdaje się balansować na niewidzialnej krawędzi, której grzbiet wygina się, rozciąga łamliwie, kurczy.



Ogniwa z łańcucha niechybnych zdarzeń ogarnia krytyczna temperatura – Herszele podąża w stronę Węgier. Trasa przerzutu wiedzie drogą kolejową do granicy słowackiej, skąd kurierzy górskimi szlakami mają poprowadzić go do celu. Dzień ucieczki jest przejrzysty, kontury beskidzkich szczytów wyraźne, omyte przez źródłany oddech. (Pamięć przechowa

także smolisty swąd podkładów kolejowych i wiązki rozedrganego nad torami powietrza). W Ryrtrze, niedaleko Krynicy, pociąg staje. Herszele wygląda przez okno, wsiada grupa gestapowców z psami. Czas martwieje, krzepnie cisza. Raptem z tego bezczasu, z tej ciszy wyłania się czyjaś postać. Herszele wie, że to matka, której nie znał, tak, ona. Matka, której nie znał, nie odzywa się, nie śpiewa, tylko podaje mu skrzypce, obiema rękami, jak bochen wciąż ciepłego chleba. Pociąg rusza, a wraz z nim taje czas i rzadnie cisza. Herszele przeciska się do środkowych wagonów, na zakręcie skacze. Z nim skrzypce.



Rannego w nogę znajduje w lesie oddział partyzantki AK. Las odsłania trupy padłych z wycieńczenia uciekinierów – mają otwarte, przygarnięte przez nicość oczy. Żywym szkieletom tych, co skrywają się wciąż w wyścielanych igliwem jamach, pozostał wzrok, któremu głód nadał już wyraz metafizycznego nasycenia. Noce pachną żywicą. (O tym właśnie zapachu Henryk Zimmerman po dekadach będzie opowiadał żonie). Ranę osnuwa błona. Źrenice żywych i martwych mącą sny.

– Słyszałem, że sprawami uchodźców z Polski zajmuje się PPS-owiec, poseł Sejmu Śląskiego – Zimmerman przygładził białe włosy; na tarasie piątego piętra hotelu Continental w Krynicy Górskiej cienie



wczesnego popołudnia igrały z żeliwnym tworzywem balustrady, nadając jej chwiejny wystrój. – I że porządny człowiek. A znałem doktora Ignacego Schwarzbarta, członka Rady Narodowej w Londynie. Pomyślałem, że to dwa atuty do wykorzystania.

Czynione przez rząd od 1942 zabiegi dyplomatyczne, by sojusznicy przeprowadzili na terenie Niemiec bombardowania odwetowe za eksterminację polskich Żydów, nie powiodły się. Na wiosnę Szwarzbart przesłał list wyjaśniający do działaczy żydowskiego ruchu oporu w Warszawie: starania polityków napotkały nieprzezwyciężony opór i ze względów moralnych, i z obawy, że represja o charakterze zemsty może spowodować rewanz, a w rezultacie wzrost antysemityzmu. W zamyśle Herszele bomby nie padają, chodzi jedynie o wzmocnienie pozycji tych, co ratując Żydów za każdą cenę, popadli w konflikt z otoczeniem. To sprawa polska, wewnętrzna, własna.

– Napisałem list do Schwarzbarta. Prosiłem, aby zarówno on, jak i inne znaczące osobistości spowodowały wydanie przez rząd oficjalnego polecenia Delegaturze (nazywaliśmy tak Komitet Pomocy Uchodźcom) w Budapeszcie, żeby czyniła wszystko, co sprzyja ratowaniu polskich obywateli bez względu na ich wyznanie i pochodzenie.

Kurier do Londynu z apelem do Szwarzbarta jest już w drodze, kiedy Herszele żegna się z partyzantami.

W ociemniałą (nie widać gwiazd) noc przewodnik – syn znajomego leśniczego – prowadzi go przez Poprad na Słowację. (Z uwagi na ciemności i ledwie zabliznioną ranę pójdą wyjątkowo ostrożnie). Tam już inny kurier zakamuflowanymi traktami przedrze się z nim na Węgry.



– Fenomen pierwszego wrażenia – tłumaczył Zimmerman, sącząc wodę mineralną z krynickiego źródła Jan – sprawia, że pojmujesz więcej niż wiesz, ogarnia cię przekonanie, że ogniwa twego losu musiały zadzierzgnąć się z ogniwami losu człowieka, którego twarzy nigdy nie widziałeś, że to sprzężenie było wpisane w wyższy, rozparty na matrycy istnienia, samozwańczy plan. I opuszcza cię zdumienie, oswajasz się z tym, co niemożliwe – tak jak naturalnie, niewymuszenie brzmią tamte słowa, którymi Sławik wita Zimmermana na Geza utca pięć: – Otrzymałem instrukcje z Londynu, są po mojej myśli. – A więc Schwarzbart zadziałał.

Siadają naprzeciwko siebie oddzieleni ciemnym, dębowym biurkiem, o bokach obwiedzionych pasmami brązowej skóry, na zewnątrz masywna ściana deszczu międli światło ulicznej latarni, w pokoju na zasłonach, na sprzętach podrzemuje duszna, gorzko-słodka, pomieszana woń fajkowego i papierosowego tytoniu. Sławik przyznaje, że w polemikach z politycznymi przeciwnikami dotąd nie używał przymusu, bo to

pogorszyłoby sytuację, i nie chce stosować go teraz, gdy ma oficjalne poparcie rządu – woli przemawiać jak człowiek do człowieka.

Zimmerman odkłada podsuniętą przez gospodarza papierosnicę, nie pali. W logice Sławika nie znajduje błędu – mniej się zyska, wojując ze swoimi, ale wydarzenia wyprzedzają logikę, czas się jej nie trzyma, przyspiesza. Z rekonesansu Zimmermana wynika, że polscy Żydzi napotykają ostatnio trudności przy potwierdzaniu katolickich dokumentów w Delegaturze, a tym, którzy je szczęśliwie uzyskują, odmawia się legalizacji papierów w węgierskim Centralnym Urzędzie Kontroli Cudzoziemców. W dodatku teczki Polaków dostarczane są jednego dnia, Żydów innego – to ewidentna sugestia, że te drugie są trefne, to uchylanie drzwi śmierci.

Sławik podnosi się i okrąża biurko, zapewnia (Zimmerman rejestruje ledwie słyszalną wibrację znużonego głosu), że wszystkie dokumenty sygnuje własnym podpisem i pieczętką, jednak to, co dzieje się później, już od niego nie zależy, tutejsze MSW sprzyja Delegaturze, w pozostałych urzędach bywa różnie. Zapada niezręczna, osmużona deszczem cisza. – Przygotuj plan. – Sławik obmacuje kieszenie, nie znajduje papierosów. – Spotkajmy się za kilka dni.

Na ulicy Zimmerman spogląda jeszcze w okno gabinetu Sławika, ale szyby, w wilgotnych pasmach,

zamknięte jak znużone powieki, nie przepuszczają żadnego obrazu.



Miri Zimmerman, pedantyczna archiwistka życia po piekło (problem życia po piekło jest taki, że nie pomieści się już w żadnym niebie, uważał Henryk: to za ciasno mu będzie, to za gładko, to za boleśnie, jakieś bóle fantomowe podążą z piekła wszędzie), na tarasie hotelu Continental rozkłada znaczące fotografie: Zimmerman jako burmistrz Hajfy. Następnie jako poseł i przewodniczący Knesetu, tu ambasador Izraela w Nowej Zelandii, która – zaznacza Miri – w swej szczodrobliwej obfitości fauny, flory, krajobrazów wyżłobionych w czystym pięknie i klimatu przystającego do każdego organizmu, nosi znamiona rajy na ziemi, gdzie oboje spędzili trzy kojące lata. A tu fotografia w domu, z córkami. Zdjęcia odmierzające początki i końce. – Kiedyś powiedział – Miri tasuje zdjęcia jak karty, potem znowu je rozkłada – że dopóki Sławika nie odnajdzie, nie zamknie tamtych lat, pozwoli harcować żarzącym się szczątkom piekła. Rozpytywał o niego, kogo się da, lecz z za żelaznej kurtyny niemal nikt nie przybywał, a w sprzecznych relacjach ocalałych Żydów, którzy dotarli do Izraela, Sławik został zamordowany albo przeżył. Gdyby ocalał, byłby sławny jak Wallenberg, gdyby go zabito, zostałby okrzyknięty bohaterem.

Niezajęte leżaki na hotelowym tarasie raptem zajęły się od wiatru, jakby chciały przeistoczyć się w latawcę. Miri odruchowo przysłoniła dłonią fotografię.



Zimmermanowi przemyka przez głowę, że to blef. Ale Sławik ma kamienną twarz, mięsień w niej nie drgnie, tylko sińce pod oczami – oznaka niewłaściwej cyrkulacji krwi – przemawiają mową niepokoju, niedosnu. – Nikt poza mną nie wie, że jest pan Żydem, doktorze Zimmerman, to dla planu korzystne.

Po deszczach Budapeszt osnuwa złoto-rudawe światło, które przedostaje się i tu, niezdarnym zyg-zakiem przecinając podłogę. – Otrzymuje pan pół-oficjalne stanowisko łącznika między Komitetem Obywatelskim a żydowskimi uchodźcami, także biurko i moją pieczętkę. Będzie pan mógł podsuwać mi dokumenty do podpisu lub sygnować je osobiście.

Za drzwiami dzwoni telefon, stuka maszyna do pisania, ktoś domaga się audiencji u prezesa, brzęczą niesione szklanki. A więc to nie blef, Sławik dwukrotnie potwierdza: uciekinier z krakowskiego getta zostaje jego współnikiem. – Pan ryzykuje życiem, to pańskie nazwisko widnieje na pieczętce – odzywa się w końcu Zimmerman, świadomy rytualnego charakteru tego ostrzeżenia, które Sławik kwituje zniecierpliwionym: – Daj pan spokój.

Odtąd Zimmerman przyjmuje wszystkich uchodźców z Polski. (Za sprawą pracownic Komitetu, które wyszukały w magazynie odzieżowym zieloną kurteczkę w kratkę i kapelusik, z przedwojennego amanta przeistoczył się w angielskiego arystokratę z portretów wiszących wielopokoleniowo na ścianach pałacowych kondygnacji). Ustawiają się w kolejce, wypełniają formularze, pieczętka potwierdza ich katolickość – katolickość, niby krew wtłaczana masowo w żydowskie żyły, na Geza utca pięć jest pełna milczącej, tragicznej powagi. Transfuzje życia nie plamią sumień.



Tego lata i jesieni na budapesztańskich ulicach przycupnęły dzieci – jak ptaki na popas w drodze za widnokrąg – dzieci żebrzące o jedzenie, moszczące się w piwnicach przed chłodami, uczeplone rur kanalizacyjnych, wpółzające do błotnych lepianek, jam skleconych z gnijących żerdzi i papy, dzieci wyrzucone przez matki z transportów jadących do Trebłinki i Oświęcimia, znajdowane w miejscach postoju pociągów przez siostry PCK i przewożone na Węgry albo dzieci, których rodzice zmarli lub zostali zabici podczas ucieczki przez góry. Coraz więcej i więcej dzieci, nie znających węgierskiego, błąkających się, gdzie popadnie, z otępiełej tęsknoty poruszających się krokami ślepców. Przygarniała je polska Żydówka Szwajcerowa, żona Węgra, a potem jeszcze kilka zamożnych

salonowych dam, lecz dzieci już się w ich mieszkaniach nie mieściły, już przelewały się jak kipiel rwąca, spiętrzona, nieokiełznana i Szwajcerowa na akademiach żałobnych po śmierci generała Sikorskiego orędownała za tym, żeby zabrać je pod jeden dach, tam karmić i uczyć. Uroczystości gromadziły polsko-węgierską śmietankę, na ręce Sławika, jako przedstawiciela rządu, składano kondolencje, a on nagle wyjmuje ołówek z kieszeni granatowej marynarki reprezentującej ciągłość odłączonego świata i na serwetce od kawy zaczyna liczyć, ile by taki zakamuflowany sierociniec kosztował razem z pensjami dla personelu, i pokazuje te bazgroły Antallowi: – Dasz na to pozwolenie i finansowe wsparcie? – Dam.

Z setki dzieci, oficjalnie sierot po polskich oficerach, tylko kilkoro to chrześcijanie, ale w Komitecie Obywatelskim certyfikat słusznej wiary wydaje się wszystkim. (Zimmerman zapamiętał szczególnie zdjęcia kilkanaściora ze znamionami śmierci: tych węgielkożrenicznych, czarnowłosych, ostronosych).



Senność małych miasteczek ziewa bezgłośnymi drgnieniami firanek i ezoterycznym tańcem kocich łap balansujących na krawędzi dachów i śmietnikowych obmurowań, to znikających za węglem, to wyłaniających się z apatii popołudnia. W miasteczku Vác, kilkanaście kilometrów od Budapesztu, poruszenia

firanek mnożą się i fałdują czujniej, odkąd przy bocznej Torpe utca, w połowie drogi między kościołem a bożnicą, zaczyna instalować się sierociniec. Firanki rejestrują tę ostronosość, tę czarnożreniczość, tę swoistą kocią płochliwość gestów podopiecznych podążających z podłużnego, piętrowego budynku internatu – należącego do ortodoksyjnego Żyda Hirszfelda, a wydzierżawionego przez Komitet – do chrześcijańskiej świątyni na lekcje religii i nabożeństwa. Firanki z koronkową precyzją odnotowują również nieprzystawalność polsko brzmiących nazwisk do wyglądu pewnych członków personelu, w Vác bowiem nazwiska te szybko stają się znane dzięki osobliwej właściwości małych miasteczek, przenikającej wszystko, co widzialne i niewidzialne. Na przykład magister Stefan Bratkowski, nauczyciel (w istocie Icchak Bretler), czyż mógł nie budzić podejrzeń, jak każdy bogobojny Żyd paradując nieogolony w święto Rosz Haszana? Albo lekarz Kotarba (tak naprawdę Mosze Osterweil), wprawdzie ogolony nienagannie, czy na pewno nie krył w spojrzeniu jakiegoś zasupłanego cienia?

– Trzeba było zaradzić firankom – w okularach Zimmermana zaszarżała przefruwająca zięba – więc Sławik poszedł do katolickiego duchownego o nazwisku Bucharczyk i powiedział, że w sierocińcu potrzebny jest ksiądz. Bucharczyk na początku się zdziwił,



bo Starego Testamentu i znaczenia świąt żydowskich uczył już dzieci ów bogobojny Bratkowski, ale przyjął rolę aktora w seansie egzorcyzmowania firanek i codziennie odwiedzał internat w najpełniejszym świetle dnia, żeby nie przeoczyło go żadne okno, a w niedziele prowadził dzieci na msze. Z Bratkowskim i Kotarbą bardzo się zaprzyjaźnił.

Jednak firanki stygły powoli, z niedowiarą, ponieważ natura firanek nie zna sytości, zaspokojenia. I miejscowy Żyd, który sprzedawał kartofle, szepnął Tiborowi, co zaopatrywał sierociniec w żywność, że ksiądz księdzem, a ludzie swoje, mianowicie: że te dzieci nieswoje. I wkrótce stało się jasne, że firanki należy nakarmić czymś, czego w miasteczku Vác oko nie widziało ani ucho nie słyszało, czymś doniosłym i pamiętnym, czym zachłysną się starzy, młodzi i ci, którzy dopiero nastaną. Zimmerman napomknął, że przydałby się w Vác nuncjusz apostolski Angelo Rotta – niechby ludziska przestali miotać się w domysłach, czyje te dzieci, do żydowskich przecież papieski wysłannik by nie zawitał. Księdzu Bucharczykowi pomysł się spodobał, tylko jak sprawić, żeby w planie podróży watykańskiego ambasadora znalazło się to senne, nieśpiące miasteczko Vác?



Szapáry, hrabina Erzsébet Szapáry – postać tyle słynna, co nieodgadniona, tyle wpływowa, co samotna,

piękność o klasycznych, chłodnych rysach i bladości woskowych figur, bezmężna, bezdzietna, o której György Szapáry, jej krewny – na początku dwudziestego pierwszego stulecia wiceprezes Narodowego Banku Węgier – powie, że choć ich rodzina jest szczególnie mała, nierozgałęziona, długie lata nie miał pojęcia o jej istnieniu. Według Sławika i Zimmermana hrabina była jedyną osobą władną nakłonić Rottę do wizyty w Vác – zresztą nie wątpił w to nikt. Erzsébet Szapáry należała bowiem do wyróżnionego rodzaju istot posiadających dar utylizacji sprzeciwu, dar którego czujniki umiejscowiły się w zaciekłe spokojnych oczach i dystyngowanej tonacji głosu, a także w nienagannym rysunku pleców, jakby pod eleganckimi garsonkami od urodzenia rzeźbił je gorset.

Zimmerman bez trudu potrafił wyobrazić ją sobie w kardynalskim gabinecie o ścianach obitych bordowym aksamitem, zapewniającą, że nie ośmielałaby się zabierać cennego czasu znanemu z rozległej działalności duszpasterskiej (wizytował między innymi ośrodki internowanych, a w maju obóz polskich wojskowych w Szigliget) eminencji, gdyby nie sprawa niecierpiąca zwłoki. Zimmerman wyobrażał sobie, jak kardynał wzdycha, a następnie wygłasza znaną wszystkim jego interesantom formułę o cierpliwości, jednej z najcenniejszych chrześcijańskich cnót, albowiem tylko ona pozwala ogarnąć każdy ziemski problem

z perspektywy wieczności. I jak hrabina, utkwivszy wzrok w źrenicach kardynała, biorąc je w obroty owego zaciętego, nakazującego spokoju, ogłasza, że tu wchodzi w grę dokładnie ta perspektywa. I jak Angelo Rotta poprawia fałdę sutanny, chrząka, a następnie sięga po złoty dzwoneczek na biurku, którym przywołuje sekretarza, by polecił mu umieszczenie domu sierot po oficerach polskich w kalendarzu wizytacji, z nieodległą datą. I jak Erzsébet Szapáry niedostrzeżenie przesuwa się w głąb rzeźbionego krzesła i układa dłonie na jego ciężkich poręczach.

Dzień wizytacji wstał szybko i czysto, świadomy doniosłości wydarzeń. Szczególnie podczas błogosławieństwa udzielanego przez papieskiego wysłannika pochylonym głowom dzieci oraz dorosłych w dźwięku świątynnych dzwonów, światło dnia, oniemiając firanki, przybrało królewski, złotawy odcień, hołubiąc węgierskie i watykańskie flagi.

– Udało się uratować wszystkie dzieci. Przed wkroczeniem Niemców wychowawcy ulokowali je w budapesztańskich mieszkaniach, a potem ewakuowali się z nimi do Rumunii. – Na piątym piętrze krynickiego hotelu Continental Zimmerman odstawił pusty pojemnik z wodą mineralną Jan, na posadzkę spadła kropla i za chwilę stopiła się z mozaikowym tłem, zanikła jak los hrabiny, który długo pozostawał nieznany. György Szapáry zdołał ustalić jedynie,

że najprawdopodobniej schroniła się przed Niemcami w tureckim poselstwie, opuściła Węgry w 1947 i pełniła funkcję osobistego sekretarza hrabiego Mihałyego Károlyiego, mianowanego ambasadorem we Francji. Kiedy w dwa lata później zrezygnował ze stanowiska, opuściła ambasadę razem z nim, spędzając odtąd dużo czasu z rodziną Károlyich na Lazurowym Wybrzeżu w ich prowansalskiej rezydencji w skalistym, wspinającym się po wzgórzach między palmami i drzewami cytrusowymi, otwartym na morze Vence – tam, gdzie na ostatnie lata życia osiadł schorowany Witold Gombrowicz. Zmarła wiosną 1980 w Lozannie – ze swoją tajemnicą, zaciągniętą jak żeliwna kotara.



Tajemnice budowały wielowarstwowe rozpadliny, wypełzały z pytań: czy może rozplnąć się w niebycie człowiek reprezentujący przez kilka lat polskie władze? Czy ten sam los dotknął żonę Sławika i jedyne ich dziecko – córkę? Czy pamięć świadków i ocalonych zawsze wskrzesza zapomniane? Czy istnieją postaci noszące wrodzone piętno skazania na niepamięć?

– Trzeba lecieć do Polski, do Warszawy – zdecydował Zimmerman w 1987, wtedy już siedemdziesięcioletni, i Miri pomyślała: a jeśli komuniści coś złego mu zrobią, a jeśli przeszłość zatrzaśnięta na kłódkę już dawno zagarnęła ostatni ślad? Ale Henryk nadal

miał polskie obywatelstwo wzmocnione statusem izraelskiego polityka-dyplomaty, system totalitarny pękał, jego granice miękły, za kontakty Żydów z Polakami – choć nikt do nich nie zachęcał – nie groziły już represje. I Miri poleciała razem z nim szukać początku zapodzianego końca, a ten początek (Zimmerman nazwał go landszaftem destrukcji) poraził go rozmiarami szarzyzny szczelnie okrywającej budynki, cierpliwe kolejki ludzi pod pustymi sklepami, a nawet drzewa przytłumione w kwitnieniu, jak smętne końskie łby pochylone nad podziurawionymi trotuarami. – To inna Polska niż ta, którą przez pół wieku przechowałem w sercu – powtarzał w zdumieniu, próbując odpędzić owo nieprzyjemne wrażenie, jakiego doznaje się czasem we śnie: że to, co się śni, dzieje się naprawdę i nie ma z tej prawdy przebudzenia.

W hotelu z widokiem na popsuty neon sklepu obuwniczego w przeciwległej kamienicy wykonuje telefon do dobrego znajomego Mordechaja Paltzura, który trzy lata później, z końcem PRL-u, zostanie pierwszym ambasadorem Izraela w Polsce. Paltzur ma zawodowe układy w tutejszym Ministerstwie Spraw Zagranicznych, radzi, żeby skierować tam pismo. Odpowiedź z resortu jest krótka: nic o niejakiem Sławiku nie wiedzą, żadnych dokumentów na jego temat nie mają.

Pusty sklep bez butów przypomina padłe zwierzę. Zimmermanowie nie śpią.



Plan był chytry: ewakuować do Rumunii tylu polskich i węgierskich Żydów, ilu się da – jako Polaków wyznania katolickiego, którzy niby uciekają z terenów zajętych już przez Sowietów, bo nie chcą żyć pod bolszewią. Zimmerman – wciąż w zielonej kurtce w kratkę i w angielskim kapelusiku, maskujących jego miłośnicznie niekrzyczące żydostwo – przedstawił pomysł Kastnerowi i Brandowi, przywódcom Komitetu Ocalenia Węgierskich Żydów. Kręcili nosem. Trwały właśnie pertraktacje z Eichmannem w sprawie wymiany Żydów na ciężarówkę – milion ludzi za dziesięć tysięcy ciężarówek, jednak alianci nie palili się, żeby w ten sposób wzmacniać Niemców na wschodnim froncie. Dotychczas zdołano wykupić za olbrzymie sumy zaledwie wąskie grupy lub pojedynczych ludzi – projekt rumuński zakładał ratunek dla tysięcy i to niewygodnym kosztem, co poddawało w wątpliwość realność przedsięwzięcia, dlatego Kastner i Brand domagali się gwarancji ze strony Delegatury.

Zimmerman i Sławik przechadzają się wzdłuż okazałych kamienic Báthory utca, z rzeźbionymi pilastrami przyłgniętymi do fasad niby naddana warstwa lukru – ostatnio dla bezpieczeństwa, konspirując, opuszczają siedzibę Komitetu, idą w wietrznej wilgoci nad Dunajem, w przenikliwym zimnie nadciągającego końca. – Kto od nas będzie asekurować przerzut? –

Sławik rozciera ręce jak nad niewidocznym ogniskiem i Zimmerman przystaje – tak sugestywny jest obraz, którego nie ma. – Ja, panie prezesie.

W Bukareszcie trzeba rozlokować przybywających, w razie czego zorganizować im papiery, pilotować przerzut dalej – Brand i Kastner od razu wskazali na Zimmermana i dokooptowali mu kilku przedstawicieli żydowskiej młodzieżówki. Już parę tygodni wcześniej dla bezpieczeństwa „operacji Rumunia” opuścił zajmowane lokum i przygotowywał się do niej w tajnych, przysposobionych, często zmienianych bunkrach.

– Kiedy? – Sławik odrzuca zapalną, którą zdmuchnął wiatr, potem papierosa.

– Za dwa dni.

Po Dunaju płynie motorówka, charkot silnika zachłystuje się wiatrem.



– Wiedziałem, że widzimy się po raz ostatni, przecucia chadzają z nami jak łańcuchy u nóg, nawet te dobre mają w sobie coś dramatycznego w pamiętliwej, uporczywej obecności, nieodczepialności, można powiedzieć – na tarasie piątego piętra hotelu Continental w Krynicy Górskiej w 2003 słowa te obarcza już wymowa nieodwracalnych faktów dokonanych – zakończeń. – Sławik wręczył mi kopertę adresowaną do Władysława Kańskiego, który kierował cywilną

placówką polityczną KASK, nazywaną przez nas Delegaturą Polską w Rumunii. Pismo zawierało zapewnienie, że naszą misję wspiera Londyn, a także prośbę o pomoc dla wszystkich, którzy dotrą do Bukaresztu. Schowałem gryps i powiedziałem: – Niech pan ucieka. – Ziemia paliła się nam pod nogami, gestapo szykowało się do wielkiej akcji, Sławik, jego żona i córka byli na liście przeznaczonych do aresztowania, tylko ucieczka mogła go ocalić. – Uciec? – zerknął na mnie spod oka – I zostawić parę tysięcy ludzi samym sobie? – Był spokojny, prawie pogodny, a ja, nie wiedzieć czemu, zwlekałem z wyjściem, gdybym palił, sięgnąłbym po papierosa, i to on pierwszy wyciągnął rękę. Pożegnaliśmy się bez słowa. Uszedłem już kilka kroków, kiedy usłyszałem: – Powodzenia, doktorze Zimmerman. – Wtedy odwróciłem się i zobaczyłem człowieka, którego już nigdy nie zobaczę.



Dzięki „operacji Rumunia” uratuje się co najmniej kilkuset Żydów, ale prawdopodobne, że więcej – nie zachowała się żadna dokumentacja. Ocaleli też studenci z zakamuflowanej kolonii polskiej w Mohaczu pod wodzą Jakowa Rosenberga vel Józka Żelazo – trzydzieści osób.

W Mohaczu polski król Ludwik II Jagiellończyk bił się po stronie węgierskiej z Turkami, aż go zatłukli na śmierć, więc Węgrzy wystawili mu tam pomnik



i czcili. Zaledwie kilka tygodni przed ostatnim spotkaniem ze Sławikiem Zimmerman pokazał mu ten punkt na mapie i zapewnił, że to najlepsze miejsce na kamuflaż, dodatkowo blisko granicy z Jugosławią, a młodzi rwali się do walki, chcieli do partyzantki – w konspiracji od tego pragnienia kipiało. Niech będzie – przybił pieczętkę Sławik jako władza polska, a Antall jako węgierska – legalnie. Zimmerman przestrzegał, że kontakty z jugosłowiańską partyzantką należy nawiązywać ostrożnie, bo trzydziestoosobowa kolonia, nowo utworzona, może zaciekawic nie tylko życzliwych. Jakowa Rosenberga, aryjskiego jak malowanie, na komendanta wyznaczył Sławik. I tak, zabrawszy tylko najniezbędniejsze rzeczy, zainstalowali się w Mohaczu, w budynku przywołującym polski dziewiętnastowieczny dwór, do którego prowadziła kasztanowo-lipowa aleja. I gdy Zimmerman podążał nią jakiś czas potem z wieściami i zaopatrzeniem – zaśnieżoną, w ciszy hiperbolizującej stabilność i realność białych konarów i gałęzi, a także siniego, nisko zawieszonego nieba, w ciszy oddalającej rzeczywistość wojny – ujrzał dwie postaci zmierzające w jego kierunku, w których rozpoznał Tusię Gutman i Abrahama Weinryba, okutanych w watowe kurtki. Za nimi wyłaniały się z budynków niby rozbudzone mamidła, jedno po drugim, Hania i Minia Brettler, następnie Olek Gutman i Zosia Minz, Gela Milchman i Pinek

Trauman, Emil Brig i Samek Diamant, a na koniec Hans Brig i Jakow Rosenberg, poruszający się nieśpiesznie jak w procesji – czarne punkty na białym tle. Tusia pierwsza rzuciła w niego śnieżką, po niej kolejni, odpowiedział tym samym, tarzali się w śniegu i śmiali, aż Jakow Rosenberg, otrzepując się, oznajmił: – Trup Janikowskiego wypłynął – i cisza, która zwiększała stabilność rzeczy, zaniósła się czymś niepewnym.

Weszli do budynku. W obszernej jadalni pod kuchnią palił się ogień, na drewnianym stole leżał bochen chleba, przy nim nóż. Usiedli na zydlach, w ciepłe. – Chodzi o to – Jakow Rosenberg kroił chleb na pajdy, dzielił – że niedługo po naszym przyjeździe w Mohaczu pojawił się niejaki Wiktor Janikowski, żydowskiego pochodzenia, o prawdziwym nazwisku Blat. Gadano, że niemiecki konfident i ma na sumieniu wielu ludzi.

– Nasłany – rzuciła Gela Milchman, ale może ktoś inny. – Szpion do zdemaskowania grupy – przytaknął Abraham Weinryb, choć niewykluczone, że Hans Brig. Cały dzień rozmyślali. – Trzeba go zabić – skonkludowała Bela Trauman, choć prawdopodobne, że Olek Gutman. I wszyscy się zgodzili. Potem mężczyźni wyszli, a kobiety dokładały bierwion do kuchennego pieca, na którym pykała kartoflanka. W końcu wrócili, skinęli głowami.

– A jeśli ktoś go znajdzie? – zasepiła się Zosia Minz.

– Nie znajdzie, utopiliśmy w Dunaju – uspokoił jeden z nich.

Nazajutrz życie toczyło się zwyczajnie, podobnie następnego dnia, trup wypłynął dopiero dnia trzeciego. Dostrzegli go miejscowi, zawiadomili żandarmerię i zaczęło się dochodzenie. Mundurowi węszyli, każdego z osobna pytali, czy był tu niejaki Janikowski, czy go znali. Janikowski? A któż to taki? Zresztą nikt do nich nie dołączył, od początku są tu w trzydziestkę – odpierali po kolei, ale śledczy jeszcze kręcili się po okolicy, zaglądali do miejscowych i Zimmerman uznał, że trzeba odsunąć na jakiś czas plany związane z partyzantką – obserwowano ich, każdy kontakt groził wspaną.

Na kolację jadali chleb ze smalcem. Przed powrotem Zimmermana do Budapesztu zrobili sobie zdjęcie pod obeliskiem ku czci Ludwika Jagiellończyka. – Niech to szlag – przeklął Sławik, kiedy dowiedział się, że trup wypłynął. – Niech to szlag.

Potem trzydziestka z Mohacza z tymi fotografiami rozpierzchła się po świecie, po wojnie odnajdywali się w Ameryce, w Izraelu, zdjęcia blakły w dyskretny sposób, z wolna, jak tracąca opaleniznę skóra.



Komunistyczny Budapeszt nie przytłacza szarzyzną, tu między nietkniętymi przemijaniem kwartałami szerokich arterii scementował się osiadły

po goryczy smutek. – Poszukuję człowieka o nazwisku Henryk Sławik – anonsuje bez wstępu Zimmerman w polskiej ambasadzie. Bogumił Dąbrowski, attaché kulturalny, równie rzeczowo odpiera: – On nie żyje.

Ojciec Dąbrowskiego, też Henryk, współpracował z sekcją oświatową Komitetu, przykrywką dla działalności konspiracyjnej, wielu się tak kamuflowało, więc słyszał, że Sławika rozstrzelano w sierpniu 1944 w Mauthausen, lecz na tym jego wiedza się kończy, może w Instytucie Polskim, gdzie pracują Węgrzy i Polacy, są lepiej poinformowani.

Obejmując panoramę Dunaju ze Wzgórza Gellerta, z mostem Łańcuchowym najbliżej, a dalej mostami Małgorzaty, Elżbiety i Franciszka Józefa, z dostojnymi budowlami przeciwległego Pesztu, Henryk Zvi Zimmerman czuje powiew starej Europy: tej, której fragment nosił Sławik w uszytej na miarę, gatunkowo wykwiintnej marynarce, i tej, która przechowała się w kawiarniach czasów monarchii, w ścianach obitych bordowym, niekiedy spłowiałym już sukniem w złoty deseń – w jednej z tych, gdzie piją teraz z Miri kawę, krzepiąc się przed wizytą w Instytucie Polskim na Nagymező utca.

W placówce nie ma żadnych interesantów, dyżurujący urzędnik wysłuchuje owych słów-kluczy, które konstruują szkielet tej historii z początkiem bez zakończenia – w każdym razie takiego zakończenia,

co zawiązuje kolejny początek – wojna, uchodźcy, Sławik, Antall, Żydzi. Urzędnik kieruje do następnego pokoju. Przy suficie niby oszalały pajak kręci się tu duży wiatrak walczący z duchotą około-południa, za biurkiem zawalonym szpargałami brązowe, okrągłe oczy młodej, rozmawiającej przez telefon kobiety oplatają wchodzących powściągliwym znakiem zapytania. – To jest Klara Hess, wnuczka Józsefa Antalla – przedstawia ją urzędnik i znika, kobieta w pośpiechu odkłada słuchawkę, jest kompletnie zaskoczona, nikt z Polski nie pytał tu nigdy o Sławika, tak samo o dziadka. Wszyscy w rodzinie wiedzieli, że Sławik uratował mu życie, bo dziadek zmarł dopiero piętnaście lat temu, uczył chętnych łaciny i niemieckiego, tak utrzymywał rodzinę. Wszyscy znali w detalach tę scenę rozgrywającą się o świcie latem 1944 w wili na Melinda utca szesnaście, w dzielnicy przyczajonej na zalesionych wzgórzach – jednej z katowni gestapo, gdzie odbył się krótki, krwawy proces wytoczony Sławikowi i Antallowi, oskarżonym o najcięższe przestępstwa wobec Trzeciej Rzeszy: pomoc Żydom, konspirację, przerzuty, dywersję i tak dalej.

Antall się nie przyznaje, Sławik, po torturach, z sinoczerwoną, zdeformowaną obręczką twarzy potwierdza: Antall o niczym nie wiedział. Przewodniczący sądu (przez otwarte na ogród okna dobiegają ptasie tryle, wtłacza się rześkie, rosiste powietrze)

teatralnie przeciąga słowa, apelując do Sławikowego rozsądku: żonę ma przecież i córkę, prawdę powie i stąd wyjdzie, odetchnie tym ożywczym, łaskawym powietrzem wolności. Ale Sławik swoje: że József Antall pozostawał jego działalności nieświadomy, do współpracy z Komitetem wyznaczyły go węgierskie władze, zatem jest niewinny. Później sędzia każe wyprowadzić Antalla do pomieszczenia bez sprzętów, z okratowanym okienkiem, pełniącego pewnie kiedyś funkcję służbówki, i Józsefowi zdaje się, że wszystko już się dokonało albo jeszcze nie zaczęło, że czasu nie ma, a przestrzeń kurczy się do przedwymiarów główki od szpilki. Kiedy przyprowadzają go z powrotem, sala rozpraw wygląda po staremu, tylko Sławik, zakrwawiony, chwieje się na nogach, a sędzia bawi się czerwonym ołówkiem, obraca go w palcach. – No jak tam, Sławik, zmienił pan zdanie? – pyta lekko, niemal zdawkowo, a Sławik próbuje się wyprostować, unosi nieco głowę i czyni znak sprzeciwu, i raptem padają te słowa wywodzące się z ładu świata, który usieczono, z reguł i nakazów jego cywilizacyjnego rdzenia: – W imieniu prawa międzynarodowego, w imię sprawiedliwości, nie oskarżajcie go – Sławik znów obraca głowę, ciężko, niczym obręczoną żelazną sztabą. I Antall domyśla się, że szuka jego wzroku. Niespodziewanie sędzia zdecydowanym ruchem zamyka akta, kończy rozprawę.

Czarny, zaciemniony van rusza spod willi na Melinda utca, mija rezydencję Eichmanna i asfaltową, odrzewioną serpentyną sunie w dół, ku centrum miasta. Skuci z tyłu na drewnianej ławce nie widzą swoich twarzy. Antall po omacku odszukuje dłoń Sławika, ścisną ją, wydaje się, że ten stracił przytomność, jednak nie, szept brzmi zrozumiale: – *Polonia semper fidelis*.

Samochód zatrzymuje się pod bramą więzienia na Fõ utca, słońce jest dopiero w zenicie, a jakby dzieje zeszły z torów, skończyła się historia.

Miri wyjmuje z torebki białą chusteczkę, międli ją w dłoni, Zimmerman unosi rękę do czoła, jakby sprawdzał, czy nie zmieniło położenia, brązowe źrenice Klary Hess nadal okrągłają ze zdziwienia, że tyle lat po wojnie opowiada o dziadku nieznanym przyszłym z odległych stron i historia, która się skończyła – historia dyskretnie i pieczołowicie upychana w szczelinach rodzinnej pamięci – nagle wytrysnęła na zewnątrz, by zasilić cudzą pamięć – tylko dlaczego, po co? Komunizm jeszcze trwa, wciąż nie o wszystkim można mówić i w okrągłych oczach Klary Hess odzywa się czujność.

– A żona, córka Sławika? – Miri chowa chusteczkę i, nie wiedzieć czemu, znowu ją wyjmuje. (Błogosławione są pewne przedmioty bez znaczenia, błogosławione w odciążaniu ludzkich ciężarów ze znaczeniem). – Co z nimi?

– Dziadek wspomniał kiedyś, że Krysię zawieźli do Polski, do matki, rosyjską ciężarówką. Potem nie utrzymywali kontaktu. – Rozmowa się rwie, ciąg dalszy umyka. W drodze do hotelu Zimmermannowie wymyślają, jak w trzydziestoparomilionowym, totalitarnym kraju odnaleźć dwie nieznane kobiety, krewne człowieka, o którym nikt nic nie wie.



Olśnienie wskazuje właściwy tok myślenia, ma cechy wstępu do matematycznego działania, jedynie okoliczności, w jakich się rodzi, zdają się bez związku z powagą ciągu dalszego. Tak jak tego dnia, gdy Zimmermann, zaciskając czarne sznurowadło w póżbucie, ujrzał w splocie jego czubka litery bez składu i ładu, które raptem zaiskrzyły treścią, tak że wykrzyknął: – Ogłoszenie! – i w chwilę później tłumaczył Miri, że nawet w państwie totalitarnym wychodzą gazety, a w nich zamieszcza się anonsy, komunikaty, informacje, trzeba tylko zachować ostrożność, maksymalną ostrożność, powtórzył kilkakrotnie – bo ludzie są nieufni i boją się, że jak Żyd szuka Polaka, to po to, żeby zemścić się na tych, co pomagali Niemcom w wyłapywaniu i mordowaniu ukrywających się, albo też zgłasza się po swoje kosztowności czy elementy dobytku oddane sąsiadom i znajomym na przechowanie – z takich powodów poszukiwało się wtedy najczęściej, nie żeby dziękować za ocalenie.



Najpierw zatem należało przekonać kogoś, by użyzył swego adresu i polskiego nazwiska, co niebawem się udało, i szóstego listopada 1988 w tygodniku „Przekrój” pojawia się następujące ogłoszenie: „Henryk Zimmerman z Izraela poszukuje Pana Sławika, byłego konsula [zwrot grzecznościowy, wynikający z faktu, że Sławik w istocie jako prezes jedynej oficjalnej placówki Rzeczypospolitej na uchodźstwie pełnił taką funkcję] polskiego w Budapeszcie, który w latach 1943–44 dopomógł w ocaleniu wielu Polaków i Żydów. Wszelkie informacje proszę kierować na adres: Anna Janowska, ulica Stróżeckiego osiem, Kraków”.

Henryk Zimmerman mocuje się wtedy nadal z bólami fantomowymi po piekle – w starzejącym się ciele Herszele wciąż skacze z wagonu śmierci, ręce z trudem utrzymują skrzypce, ich dźwięk rozprasza nocne cisze, martwe i półmartwe twarze, które skrywały lasy, i te opatrzone nowymi tożsamościami na Géza utca pięć, twarze wychodzące mu na spotkanie w niej, czarnej procesji po ośnieżonym trakcie w Mohaczu przesuwiają się w niekończących się korowodach, potem z wolna układają się w strzępy zdań, a te w szkielet jakiejś całości, coraz wyrazistszej, ubranej w chronologię. – Zaczął spisywać wspomnienia, rozdrapywał pamięć – sylwetka Miri Zimmerman niemal zlewa się z cieniem rzucanym na taras hotelu Continental w Krynicy przez skłoniony w tę stronę potężny

dęb. – Jeden z rozdziałów poświęcił Sławikowi. Był pierwszy, nikt przedtem o Sławika się nie upomniał.

Znajoma, która zgodziła się udostępnić w „Przekroju” swój krakowski adres, niebawem wysyła mu do Izraela dwa listy – w jednym pewna kobieta informuje, że w czasie wojny jej przebywająca w Budapeszcie babka znała Sławikową (imienia nie zapamiętała), że później zabrali ją do obozu w Ravensbrück, i że po wyzwoleniu zamieszkała w Katowicach przy ulicy Różanej. Drugi jest od samej Jadwigi Sławikowej, która na zmianę z koleżanką od szóstej rano do północy aż do emerytury sprzedawała papierosy i gazety na dworcu głównym w Katowicach. (Przedtem tuż obok domu – tak, że mogła doglądać córki – prowadziła z powodzeniem sklepik z materiałami buchalteryjnymi, ale bała się, że Krysia jako dziecko człowieka w Polsce Ludowej rozmyślnie zapomnianego oraz matki prywaciary, czyli „elementu antysocjalistycznego”, nie dostanie się na studia – i z biznesiku zrezygnowała). Szóstego listopada 1988 łupało ją w kościach i skakało ciśnienie. Zamierzała zetrzeć kurze, wyręczyć Krysię – bo ona zalatana – jednak z trudem wytarła meble w jadalni – tych z przedwojennego katowickiego mieszkania, cudem przechowanych u znajomych z niemieckim pochodzeniem, pachnących płynem na korniki i fajkowym tytoniem, też przedwojennym – gdy zadzwonił telefon. Znajoma

z kiosku podekscytowanym głosem pytała, czy Jadwiga TO czytała. – A co miałam czytać? – Henryka szukają, ktoś z Izraela – znajoma jest zadowolona, że o takiej sensacji powiadamia pierwsza, a kiedy Jadwiga odkłada słuchawkę, telefon dzwoni ponownie i tak przez całe popołudnie. Wieczorem w domu pojawia się Krystyna w rozpiętym płaszczu, zdyszana, z siatką w jednej ręce, z „Przekrojem” w drugiej.

– Boże mój – bierze się za głowę Jadwiga. Znad stołu, na którym leży gazeta, spoglądają na siebie w milczeniu, w końcu Krystyna zdejmuje płaszcz.



Opowiedziały tę scenę Zimmermanowi pół roku później, na Różanej, a Krystyna przyznała, że gdy stanął w drzwiach, ogarnęło ją to samo uczucie, co na dworcu w Budapeszcie. Wszystko, co wtedy widziała: chmarę podróżnych na peronie, ojca przedzierającego się ku nim przez tłum w pełnym świetle, to, co słyszała: gwar rozmów w nieznanym języku, walc wiedeński sączący się z głośników – należało do innej rzeczywistości. Nierealność otaczała już samą jej i matki podróż z zaciemnionej, okupowanej Polski, w konspiracyjnej tajemnicy, pod fałszywymi nazwiskami. Jaskrawo oświetlony, rozkołysany walcem dworzec Keleti wieńczył tę ucieczkę do nieznanego świata przerysowanymi akcesoriami, stawiając pod znakiem zapytania jego autentyczność. Tak i teraz

Zimmerman – elegancki (owym niewymuszonym melanżem genów i przysposobionych do nich wzorców starannego wychowania), wyraźnie poruszony, siedzący przy stole z lampą z kulistym abażurem, snujący opowieść o Henryku Sławiku, jej ojcu, o tamtych latach, nie szeptem, półgębkiem, aluzjami, lecz wprost, składający obietnicę, że w dalekim Izraelu Sławik zostanie uznany – bo jakżeby inaczej – Sprawiedliwym wśród Narodów Świata – zanurzał lokatorów mieszkania przy ulicy Różanej w nierealności i Krystyna, z wykształcenia historyk sztuki, przyznawała rację Brunonowi Schulzowi, autorowi odkrycia, że nasz język nie zawiera określeń, które dozwałyby stopień realności, definiowały jej gęstość i namacalność. Dlatego zapytała: – Czy pan istnieje? – Zimmerman roześmiał się, i Miri też.

Niezaprzeczone istnienie Henryka Zimmermana mogli poświadczyć pieczęcią urzędnicy ambasady izraelskiej w Warszawie, którą nawiedzał wielokrotnie ze swoją *idée fixe*, żeby o Sławiku powstał film na miarę *Listy Schindlera*, i żeby Żydzi szukali sposobów na sfinansowanie przedsięwzięcia. Zwracał uwagę na istotne różnice między sytuacjami Sławika i Raoula Wallenberga, szwedzkiego dyplomaty, przybyłego do Budapesztu z misją uratowania jak największej grupy węgierskich Żydów przed deportacją na Wschód w lipcu 1944, kiedy szefa polskiej

Delegatury zgarnęło już gestapo. Wallenberg dysponował praktycznie nieograniczonymi funduszami od Amerykanów i Światowego Komitetu Żydów. Sławik zapewniał opiekę kilkudziesięciu tysiącom obywateli polskich na Węgrzech z pieniędzy przekazywanych tylko przez rząd na uchodźstwie i w pewnym stopniu przez władze w Budapeszcie. Ponadto jako dyplomacie z neutralnym szwedzkim paszportem Wallenbergowi za pomoc Żydom nie groziła śmierć i nie za to zginął – zabili go Sowietci, bo najprawdopodobniej nie chciał z nimi współpracować. Sławika Niemcy powiesili między innymi za ratowanie Żydów.

Henryk Zimmerman istniał niezaprzeczalnie, gdy publicznie zdumiewał się głośno, dlaczego Polska o Sławiku zapomniała. Ta komunistyczna karała go niepamięcią za to, że należał do PPS-owskiego nurtu niepodległościowego, który odrzucał dominację Sowietów, ale i ta pokomunistyczna (owszem – postawiła parę pomników, nazwała jego imieniem parę szkół i ulic) nie wykorzystwała atutu, jakim jest Sławik, w zmaganiach z rozpowszechnianymi zagranicą opiniami o antysemityzmie Polaków i przekonaniem wielu, że obozy śmierci były polskie. Polska pokomunistyczna nie postarała się, żeby nazwisko Sławika znalazło się na liście bohaterów II wojny światowej, ba – żeby stało się powszechnie znane przynajmniej we własnej ojczyźnie! – Nie rozumiem, nie pojmuję –

podkreślał zdumienie marszczeniem czoła i rozkładaniem dłoni. Swoje niezaprzeczalne istnienie ujął w trzywyrazowym tytule wspomnień z piekła: *Przeżyłem, pamiętam, świadczę*, które ukazały się w 1997 w krakowskim Wydawnictwie Baran i Suszyński, i w których opieczętował niezaprzeczalne istnienie Henryka Sławika.

Na odwrocie fotografii Sławika podarowanej Zimmermanowi Krystyna napisała: „Wielkiemu przyjacielowi mego ukochanego ojca, jedynemu, który pamięć o nim tak pięknie przechował”.



Nie miał pogrzebu w Polsce? To będzie miał w Izraelu – z pompą, honorami, nabożeństwem, modłami, jak Anders – postanawiają w Yad Vashem. W Sali Bohaterów palą się świece – znowu jasność, przejaskrawienie tła. Duszna woń kadzideł łączy się ze słodkawym, mdlącym zapachem kwiatów. Powietrze wibruje od śpiewu kantorów, migają flesze, szemrzą kamery. Są ocaleni z sierocińca Vác, z dziećmi, z wnukami. Zimmerman wstępuje na mównicę. Po jego białych włosach błąka się światło jak po wyspie skrzącego się śniegu. „Czterdzieści siedem lat temu ja, Zvi Henryk Zimmerman, zostałem wstrząśnięty masakrą, jaka rozegrała się wokół mnie. Całym sercem i duszą buntowałem się przeciwko prowadzeniu ludzi na rzeź. Ja, nazistowski więzień numer 68220, zostałem wtrą-

cony do celi śmierci w obozie koncentracyjnym dla Żydów. Los zrządził, że ja, numer 68220, tak jak wielu więźniów, stoję przed wami jako wolny obywatel państwa Izrael w miejscu poświęconym pamięci ofiar zbrodni Holocaustu, biorąc udział w podniosłej ceremonii nadania tytułu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata wielkiemu człowiekowi, Henrykowi Sławikowi. Za ocalenie od niechybnej śmierci tysięcy Żydów w czasie Holocaustu, w tym również mnie, został skazany przez Niemców na karę śmierci. Dziś my wszyscy, którzy przeżyliśmy Holocaust w Polsce, którzy przywdrowaliśmy na Węgry z obozów koncentracyjnych, lasów, bunkrów, z podziemia, i dziś żyjemy w bogatym Izraelu, pamiętamy o Henryku Sławiku, odznaczając go pośmiertnie za ocalenie nas na Węgrzech jako polskich katolików i umożliwienie nam przetrwania piekła i zamieszkania we własnym kraju. Jesteśmy szczęśliwi, że możemy złożyć wyrazy pamięci i serdeczne podziękowanie na ręce Jadwigi, wdowy po Henryku Sławiku, i córki Krystyny – człowiekowi, który miał szlachetne serce, który kochał ludzi i podejmował każde ryzyko dla ratowania osieroconych dzieci. W jego czynach i charakterze znaleźliśmy wsparcie i nadzieję w owych pamiętnych dniach ciemności i bezprawia. Uczmy nasze dzieci i wszystkich na tej ziemi, że istnieją dobrzy ludzie, tacy jak Henryk Sławik, że jest piękniejszy świat i czeka nas lepsza przyszłość”.

O, tak, tu był świat piękniejszy. Przez osiem dni uratowani przez Sławika przekazują sobie Krystynę z rąk do rąk (Jadwiga, bardzo już niedomagająca, została w Polsce) – śniadanie u jednych, obiad u drugich, kolacja u następnych – maraton fiesty, eksplozja celebry, czysta radość wieńczenia, gala pogrobowego zwycięstwa. W świecie, do którego wróciła, w stołecznym dzienniku „Życie Warszawy”, na jednej z dalszych stron poświęconych informacjom ze świata, dostrzegła notkę wciśniętą między doniesienie o wizycie prezydenta USA w Meksyku i wiadomość, że firma holenderska skarży Wałęsę o zwrot kosztów, bo odwołał wizytę. Notka brzmiała: „Jeden z dwóch tysięcy dziewięciuset siedemdziesięciu trzech. Kolejny Polak uhonorowany w Jerozolimie”.

– W każdym razie, kiedy w 1993 umarła Jadwiga – biel włosów Zimmermana na tarasie krynickiego hotelu Continental tonuje schodzące miodowo światło popołudnia – Krystyna mogła na płycie nagrobnej obok imienia matki umieścić napis: „Redaktor Henryk Sławik, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” – tak, jakby i on tam spoczywał, jakby miał własne miejsce, przynajmniej pod ziemią, gdzie każdy zrzuca własny ciężar.



Józsefowi Antallowi grobu nie zabrakło. Polecił wygrawerować na nim sylwetkę orła z rozpostartymi



skrzydłami i napis: *Polonia semper Fidelis*. Można powiedzieć: przygarniał tak Sławika, zabierał go ze sobą tam, na cmentarz Farkasrét, prosto z gestapowskiego zaciemnionego vana zjeżdżającego pagórkowatym, zadrzewionym terenem z Melinda utca do więzienia na Fő utca w centrum miasta. Dlatego Zimmerman zamierzał spotkać ich w Jerozolimie tego samego dnia, wśród Sprawiedliwych tego świata, na owej biesiadzie zwycięstwa, ale udało się to pośrednio dopiero w maju 1991. Tuż po objęciu teki premiera uwolnionych od komunistów Węgier przyjechał József Antall junior, odebrał dla ojca medal i, jakby chciał od razu mu go przekazać, młody jeszcze, wkrótce zmarł na raka.

– Piekło – Miri Zimmerman skubie rąbek chusteczki – szuka ofiar na oślepie.



Końce i początki nie znają granic, podążają z nami w rejony umilkłych pragnień, wiążą strukturę wszechświata. Sprawiedliwi odnajdują tam pourywane wątki, brzmienie skrzypiec, ton po tonie, odsłania dalsze ciągi. Tak wyraża się harmonia. Henryk Zvi Zimmerman, o czym zaświadcza Miri, umierał w spokoju, twarz po przejściu miał wypogodzoną, więc zapewne już to wiedział, być może odkrył nawet miejsce, gdzie krynickie wody wytryskują ze swego praźródła.



## Fotografie archiwalne

Na okładce wykorzystano zdjęcie nieznanymi osobami znalezione na strychu domu w Kielcach, autor nieznany, przed 1939 r., MHŻP-D100/3, depozyt w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.



s. 29 Żydzi z Przeworska, autor nieznany, wiek XX, MZŁ-DRM-443, ze zbiorów Muzeum – Zamek w Łańcutcie / Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

s. 95 Dziecko żydowskie w getcie, pocz. 1940–lato 1942, SŻIH-385/4, ze zbiorów Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny / Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

s. 129 Półkolonie letnie zorganizowane przez Towarzystwo Opieki nad Sierotami Żydowskimi, autor nieznany, Kraków 1930 r., 1-N-2846-2, ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

s. 185 Dzieci żydowskie, autor nieznany, 1941 r., SŻIH-386/3, ze zbiorów Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny / Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

S. 295 Fotografia przedstawiająca chasydów siedzących na ławce w parku, autor nieznany, przed 1939 r., MHŻP-B677, ze zbiorów Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

s. 327 Żyd i dziewczynka z kurami na ulicy, autor nieznany, Kraków rok 1933, 1-P-2377-2, ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

s. 355 Zdjęcie nieznanymi osobami znalezione na strychu domu w Kielcach, 1932 r., MHŻP-D100-2, depozyt w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

s. 395 Fotografia z uroczystości zajęcia Zaolzia przez Polskę, autor nieznany, 02.10.1938 r., SŻIH41/9, ze zbiorów Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny / Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.



## Elżbieta Isakiewicz

prozatorka, reportażystka, eseistka, autorka miniatur literackich z pogranicza poezji i prozy. Ważniejsze książki: *Ustna harmonijka*, *Czerwony ołówek*, *O Polaku, który ocalił tysiące Żydów*, *Kaprys. Przypowieść o kobiecie i mężczyźnie*, *Lekkie halki czarownic i inne mikroopowieści*, *Niewyśnione historie*. Laureatka m.in. Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2000) i Nagrody Dziennikarskiej UE w konkursie „Razem przeciw dyskryminacji” (2011).



Fanpage [www.facebook.com/E.Isakiewicz](https://www.facebook.com/E.Isakiewicz), gdzie zamieszcza miniatury literackie, gromadzi tysiące czytelników.



## SPIS TREŚCI

Skok	historia Aleksandra Allerhanda	7
Tydzień	historia Israela Rozenbluma	31
W ciszy	historia Marii Perlberger-Shmuel	37
Zabawa	historia Lusi Hornstein	65
Fabryka	historia Shlomo Wołkowicza	75
Dmuchawce	historia Ciseli Schmulowitz	97
Talizman	historia Seweryna Pilipskiego-Tytelmana	105
Podwójnie	historia Janiny (Baran) Ekier	131
Gołębie	historia Racheli (Kapłańskiej) Kalisher	153
Sumienie	historia Marii Polańskiej	171
Przypadek	historia Dawida (Eframowicza) Efratiego	187
Ostatnia wola	historia Anatola-Avshaloma Thau	219
Komin	historia Lili Thau	235
Srebrna taca	historia Justyny-Dusi Goldgraber	267
Beczka	historia Meira Agamiego	287
Dziecko	historia Miriam-Marii Klain	297
Aryjka	historia Brahy Bergman	311
Guziki	historia Rachel Fleishman-Seidman	329
Szyfry	historia Steli Kreshes	345
Wilk	historia Szoszany (Zuzanny) Raczyńskiej	357
Szczęściarz	historia Avrahama Gilboa (Artura Gelbluma)	379
Epilog. Ten który się upomniał		
	wspomnienie Henryka Zvi Zimmermana o Henryku Sławiku	397
Zdjęcia archiwalne		443
Elżbieta Isakiewicz		445

redaktor prowadzący: Hubert Musiał  
redakcja: Sylwia Majcher, Hubert Musiał  
projekt okładki: Piotr Paczuski  
projekt typograficzny, opracowanie kart tytułowych: Grzegorz Majcher

korekta: Adam Buszek, Sylwia Majcher  
Ilustracje: Ewa Mazur, Hubert Musiał  
© Copyright by Elżbieta Isakiewicz  
© Copyright for the Polish edition by Państwowy Instytut Wydawniczy, 2019

Książka dostępna jako e-book

księgarnia internetowa [www.piw.pl](http://www.piw.pl)  
[www.fb.com/panstwowyinstytutwydawniczy](https://www.facebook.com/panstwowyinstytutwydawniczy)

ISBN 978-83-66272-70-5

Warszawa 2019

Wydanie pierwsze

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019

ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa

tel. 22 826 02 01

e-mail: [piw@piw.pl](mailto:piw@piw.pl)

skład i łamanie: Grzegorz Majcher

druk i oprawa: Drukarnia READ ME w Łodzi